OBIEŻYŚWIATY

Fantazmaty
Grupa Wydawnicza

Obieżyświaty

Obieży-świały

Antologia

Opoczno 2026

Redaktor prowadzący: Dawid Wiktorski
Redaktor antologii: Alicja Janusz
Koordynacja działu redakcji: Magda Kowalewicz, Magdalena Świerczek-Gryboś
Koordynacja działu korekty: Justyna Mroczek-Żal, Ilona Żurawska
Korekta poskładowa: Iga Bortnik, Joanna Haremza, Magdalena Kłodowska, Karolina Maślińska, Renata Rabczewska, Marta Sałapata-Doskocz, Beata Sitak, Ilona Żurawska
Koordynacja działu weryfikacji: Anita Brzozowiec, Agata Graczyk, Magda Kowalewicz
Koordynacja działu recenzji: Barbara Uznańska-Loch
Koordynacja działu ilustracji: Anita Brzozowiec, Arkadiusz Nowakowski, Magdalena Świerczek-Gryboś
Koordynacja działu audio: Agata Graczyk, Magda Kowalewicz
Ilustracja na okładce: Arek Nowakowski
Projekt typograficzny okładki: Arek Nowakowski
Skład: Maria Król

Kontakt: kontakt@fantazmaty.pl

ISBN PDF: 978-83-68079-13-5
ISBN ePub: 978-83-68079-14-2
ISBN mobi: 978-83-68079-15-9
ISBN oprawa miękka: 978-83-68079-12-8

Ten utwór jest dostępny na licencji Creative Commons: Uznanie autorstwa – Użycie niekomercyjne – Bez utworów zależnych 4.0 Międzynarodowe.

Dozwolone kopiowanie i rozpowszechnianie utworu w dowolnym medium i formacie.

Uznanie autorstwa – utwór należy odpowiednio oznaczyć, podać link do licencji i wskazać, jeśli zostały dokonane w nim zmiany. Możesz to zrobić w dowolny, rozsądny sposób, o ile nie sugeruje to udzielania przez licencjodawcę poparcia dla ciebie lub sposobu, w jaki wykorzystujesz ten utwór.

Użycie niekomercyjne – nie należy wykorzystywać utworu do celów komercyjnych.

Bez utworów zależnych – remiksując, przetwarzając lub tworząc na podstawie utworu, nie wolno rozpowszechniać zmodyfikowanych treści.

Wysłuchaj audiodeskrypcji okładki:
https://hearthis.at/fantazmaty
https://www.youtube.com/c/ProjektFantazmaty

Okładka zbioru opowiadań „Obieżyświaty" wydanego przez Grupę Wydawniczą Fantazmaty w formie e-booka.

Format książki: A5, co w druku przekłada się na 21 cm wysokości i 14,8 cm szerokości.

Autor ilustracji okładkowej i literactwa: Arkadiusz Nowakowski.

Grafika cyfrowa. Zbliżenie na twarz czarnoksiężnika w kapeluszu, przyglądającego się ekranowi telefonu. Obraz zbliżony do realistycznego. Dominują ciemne kolory: szary, granatowy, z czerwonymi i białymi detalami. W tle szaro-granatowe plamy koloru.

Mężczyzna ujęty jest od ramion w górę. Jego spiczasty kapelusz częściowo znajduje się poza kadrem. W błękitnych oczach, okolonych zmarszczkami, odbija się światło z ekranu smartfona. Czarownik ma wydatny nos. Jest siwy, z krzaczastymi brwiami, długimi wąsami, długą brodą i włosami. Broda zasłania ramiona i tors mężczyzny oraz jego strój – ciemny, z szerokimi długimi rękawami. Na głowie czarownika wyświechtany szary kapelusz zakończony lekko opadającym szpicem, z szerokim rondem. Mężczyzna w prawej dłoni trzyma małą, okrągłą lupę, którą przykłada do prawego oka. W lewej dłoni ma smartfon z logiem Fantazmatów w miejscu logotypu producenta. Między telefonem a mężczyzną wyświetlają się trzy hologramy: jasne kontury grafik zdają się świecić wewnętrznym białym światłem. Na hologramach mapy fantastycznych krain z zaznaczonymi morzami i górami.

Twarz czarownika z przodu oświetlona jest białym światłem z ekranu telefonu i hologramów. Z tyłu nieznane źródło rozświetla kontury całej postaci na czerwono.

Na górze okładki, na całą jej szerokość, biały tytuł: „Obieżyświaty". Napis złożono kapitalikami, czcionką szeryfową. Litery mają różne wysokości, ich górne brzegi układają się w falę. Pod napisem

dwie równoległe linie, ciągnące się od lewej krawędzi okładki do prawej.

Na dole okładki, w lewym roku, logotyp Grupy Wydawniczej Fantazmaty. Logo to znak graficzny składający się z kilkunastu białych linii. To deltoid – czworokąt złożony z dwóch trójkątów równoramiennych, górnego i dolnego, które stykają się podstawami. Dolny trójkąt jest prostokątny, jego wierzchołek o prostym kącie skierowany jest w dół okładki. Równe boki górnego trójkąta są dwa razy dłuższe niż w dolnym trójkącie. Wznoszą się w górę okładki. Figura kształtem przypomina odwrócony do góry nogami latawiec lub diament. W czworokąt wpisano stylizowaną sylwetkę drzewa, także złożoną ze złotych linii. Dwie z gałęzi drzewa układają się w dużą literę F. Po prawej napis: Fantazmaty. Grupa Wydawnicza, złożony czcionką bezszeryfową.

Tej książki nie można kupić. Skąd więc się u ciebie wzięła? Dowiesz się na przedostatniej stronie.

Na ostatniej stronie znajdziesz informacje o gatunkach opowiadań oraz listę content warningów, czyli treści, które mogą być kontrowersyjne lub niemile widziane.

Spis treści

Nieszczepiony | APP Pekurinen **11**

Nieznane dzieło | Paul van Leeuwenkamp **35**

>**RESTART SYSTEMU** | Novae Caelum **49**

W domu pogodnego seniora na końcu świata |
John P. Murphy **55**

Somadewa: Sutra Niebiańskiej Rzeki | Vandana Singh **59**

Rozbójnicy | Lord Dunsany **77**

Krewniacy elfów | Lord Dunsany **83**

Rekompensata | Charles Victor Tench **99**

Gość | Lord Dunsany **115**

Upadek Babbulkund | Lord Dunsany **119**

Człowiek, który poznał prawdę | Algernon Blackwood **133**

Ciężar wschodzącego słońca | Vylar Kaftan **153**

Fantazmaty są tworzone przez:

Redaktorzy: Mateusz Bielecki, Dorota Bożek, Anita Brzozowiec, Aleksandra Czyż, Karolina Deryło, Kat Grzywacz, Agnieszka Jabrzyk, Amelia Kamińska, Marta Karmowska, Agnieszka Kłych, Magda Kowalewicz, Patrycja Leonarczyk, Agnieszka Mohylowska, Anna Niewiadomska, Paulina Nowakowska, Katarzyna Pikosz, Ewa Prus, Agnieszka Przybyła-Wilkin, Iwona Przybysz, Róża Puchała, Renata Rabczewska, Adam Raglan, Aneta Stawiszyńska-Marciniak, Magdalena Świerczek-Gryboś, Anita Szynal-Wójtowicz, Dawid Wiktorski, Małgorzata Wodyńska, Magdalena Zwolińska, Agata Żyła

Korektorzy: Agnieszka Anulewicz-Wypych, Iga Bortnik, Karolina Deryło, Gabriela Gardoń, Joanna Haremza, Magdalena Kłodowska, Agnieszka Kolenda, Beata Kuboń, Adrianna Kucharska, Aleksandra Machnowska, Karolina Maślińska, Justyna Mroczek-Żal, Katarzyna Muszkiet, Anna Niewiadomska, Kamila Płoszczyca, Iwona Przybysz, Renata Rabczewska, Beata Sagan-Szendzielorz, Marta Sałapata-Doskocz, Zuzanna Sarnowska, Beata Sitak, Paulina Szymańczak, Katarzyna Twarduś, Ilona Żurawska

Weryfikatorzy: Marcin Bartosiewicz, Anita Brzozowiec, Aleks Gapski, Joanna Gasińska, Agata Graczyk, Agnieszka Jabrzyk, Magdalena Kłodowska, Małgorzata Korczak, Magda Kowalewicz, Małgorzata Lewandowska, Malwina Niewielska, Patrycja Pancerz, Katarzyna Pikosz, Renata Rabczewska, Urszula Sarnowska, Monika Skołożyńska, Dorota Stolecka, Marta Szpakowska, Anita Szynal-Wójtowicz, Anna Twarowska, Barbara Uznańska-Loch, Małgorzata Wodyńska, Magdalena Zwolińska

Recenzenci: Marcin Bartosiewicz, Aleks Gapski, Aleksander Killman, Agnieszka Kłych, Beata Kuboń, Patrycja Pancerz, Bartłomiej Partyka, Magdalena Piniak-Wiktorska, Adam Raglan, Anna Sikorska, Monika Skołożyńska, Barbara Uznańska-Loch, Wiktor Warchałowski, Dawid Wiktorski, Adam Wnuk

Lektorzy: Aleksandra Czyżewska, Izabella Dobrowolska, Sebastian Filipowicz, Rafał Flejter, Jakub Kloch, Bartosz Rogowski, M. Stella Sit, Karolina Stachacz-Bartosik, Michał Szwed, Ela Zińczuk

Produkcja audio: Teodor Laskowski

Korekta audiobooków: Jadwiga Glaza, Anna Koral, Agnieszka Nowak, Agnieszka Rzepecka, Aneta Stawiszyńska-Marciniak, Katarzyna Twarduś

Graficy: Emilia Baczyńska, Wiktoria Makowska

Skład: Kinga Grodzka, Maria Król

Nieszczepiony

APP Pekurinen
Tłumaczenie: Karolina Wojciechowska
Tytuł oryginalny: *Rokottamaton*

Mikko właśnie wstawił obiad do piekarnika, kiedy Urho przyniósł do domu zranionego ptaszka. Usłyszał syna dużo wcześniej, niż go zobaczył; krzyk chłopca brzmiał bez wątpienia jak wołanie o pomoc i ojciec natychmiast, bez chwili namysłu, oderwał się od przygotowywania posiłku. Drzwiczki piekarnika zamknęły się z trzaskiem. Skarpetki ślizgały się po parkiecie, kiedy mężczyzna próbował się rozpędzić.

Gdy Mikko wpadł do przedpokoju, jego syn był już przy tylnych drzwiach, zawsze latem otwartych. Chłopiec wszedł do środka przy szeleszczącym akompaniamencie plastikowej zasłonki. Miał na sobie trawiastozieloną koszulkę i plastikowe klapki. Raczej nie chodził daleko, pewnie tylko rzucał lotkami w tarczę, którą ojciec zawiesił w maju na ścianie domku do zabawy. Coś musiało Urha wystraszyć.

Mikko wiele razy zabraniał synowi biegania po schodach. Zrobiono je z gładkiej kamiennej płyty, obramowanej grubymi listwami, i łatwo było się na nich poślizgnąć w luźnych klapkach. Za każdym razem Urho pamiętał o ostrzeżeniu przez jakiś czas – tydzień lub dwa – przynajmniej wtedy, kiedy ojciec był w zasięgu wzroku. Ale potem na podwórku zdarzało się coś ciekawego i któreś z rodziców po prostu musiało zobaczyć to natychmiast.

Albo jakaś pokusa czekająca w domu – chociażby drugie śniadanie czy gra wideo – okazywała się silniejsza od ojcowskich kazań. Mikko znów przyłapywał syna na bieganiu, udzielał mu krótkiej reprymendy i cykl się powtarzał. W zeszłym roku, w okolicy Vappu*, Urho rzeczywiście się potknął i skończył z paskudną raną na łydce. Rana wygoiła się po założeniu kilku szwów, ale w kwestii biegania lekcja została zapamiętana. Od tamtej pory Mikko już nie widywał syna chodzącego po schodach szybciej niż spokojnym truchtem – aż do teraz. Jednak tym razem się nie zezłościł. Widok biegnącego chłopca przyniósł ojcu jedynie ostrożną ulgę; świadczył o tym, że nie stało mu się nic poważnego. Urho wyglądał na zaniepokojonego, ale nie o siebie.

Wbiegł po schodach, klapiąc bucikami, lecz jakimś cudem wcale się nie potknął. Było to tym bardziej imponujące, że nawet nie musnął rękami poręczy. Coś tulił w dłoniach: jedna z nich służyła za podstawkę, a druga ochraniała to od góry. W tym pośpiechu Mikko nie zdołał dojrzeć, co to. Urho zatrzymał się tuż przed nim, na wycieraczce w przedpokoju. Nic nie mówił, dyszał tylko. Podniósł na ojca spojrzenie i powoli rozchylił dłonie. Przesłanie było jasne: potrzebował pomocy.

Mikko pokiwał głową. Zdziwiony przyjrzał się uważniej temu, co syn trzymał w rękach. Był to kanarek – pokryty żółtopomarańczowym pierzem, miękki i jakoś nierzeczywisty. Mężczyzna obejrzał ptaszka i stwierdził, że ten oddycha. Jednak na pewno był ranny. Drżąca główka kiwała się w przód i w tył; lewa powieka opadła. Blade, jasne nóżki wydawały się całe, ale ich ułożenie niepokoiło. Wystawały spod piór pod różnymi kątami, jedna była chyba złamana. Mikko nie wiedział która.

Urho patrzył na ojca z wyczekiwaniem. Konieczność zrobienia czegoś – czegokolwiek – stała się nie do zniesienia. Mężczyzna niezręcznie złapał ptaszka i obrócił go na dłoni chłopca; w głowie kłębiły się mu mgliste ostrzeżenia przed pasożytami i chorobami zakaźnymi. Kanarek miał z boku zmierzwione i zlepione w lśniącą

* Vappu – fińskie święto powitania wiosny, obchodzone pierwszego maja, najhuczniej celebrowane przez studentów (przyp. tłum.).

masę piórka, pod nimi musiało być skaleczenie. Do Mikka dotarło, że nie wie, jak ptasia skóra wygląda pod opierzeniem. Nigdy się nad tym nie zastanawiał. Nóżki zwierzątka – poniżej potencjalnego miejsca złamania – wyglądały na nieuszkodzone, ale ojciec zwrócił uwagę na coś innego. Dookoła lewej kończyny ptaka zaciśnięto cienką, jakby foliową obrączkę, z której zwisała blaszka, nie większa od łebka śrubki. To odkrycie potwierdziło coś, co i wcześniej było raczej oczywiste: kanarek do kogoś należał. Mikko pochylił się nad nim i odsunął rękę syna, żeby dojrzeć, co jest wybite na blaszce. Przez moment liczył, że znajdzie tam adres lub numer telefonu, ale się rozczarował. Zobaczył jedynie dwie stylizowane litery: MH. Pewnie inicjały właściciela.

– Gdzie go znalazłeś?

– O tam, w ogródku – pospieszył z odpowiedzią Urho i wskazał za siebie. – Pod żywopłotem.

Mikko pokiwał głową.

– O co mógł się pokaleczyć? – zastanawiał się po cichu. – Raczej nie uderzył w okno, może o okap domku do zabawy? Łatwo o niego zahaczyć. Chyba że kot Lundströmów...?

– A on nie jest szkolony? – spytał Urho.

– Raczej tak... Na pewno. Ale szkolenie podobno nie zawsze działa jak trzeba, to znaczy: u kotów. One są zadziwiająco... odporne. W ogóle to niekoniecznie zdarzyło się tutaj. Skrzydełka nie są połamane, tak mi się wydaje, mógł więc przylecieć kto wie z jak daleka...

– No. Ale potrzebuje pomocy. Musimy mu pomóc. Trzeba go zabrać do lekarki.

Mikko znów spojrzał na twarz syna. Wciąż malowało się na niej zaniepokojenie i prośba o ratunek, skierowana do taty lub do kogoś innego, tak naprawdę do kogokolwiek. Dobrze znał tę minę, ale ostatnio pojawiała się rzadziej. Coraz częściej zastępowało ją coś nowego: spojrzenie komunikujące, że Urho nie czuł się już tylko przedmiotem cudzych działań i dzieckiem potrzebującym ciągłego usługiwania. Chłopiec zrozumiał, że nie wszystko na świecie było w porządku, choć nie musiało takie być. I – że można coś zmienić. Właśnie taki wyraz twarzy syna widział teraz Mikko

i wzbudziło to w nim niewiarygodną dumę. Jednak nie miał czasu się nią napawać, należało działać. Ptaszkowi chyba już nie leciała krew i jego życie nie wydawało się zagrożone. Ale Urho nie mógł go tak dłużej trzymać. Mikko wyciągnął rękę.

– Tak. Chodźmy. Daj, wezmę go.

Urho wydawał się jednak nie zwracać na ojca uwagi. Przysunął kanarka do twarzy i nie ruszył się z miejsca. Może nie usłyszał? Mikko powtórzył, znów bez skutku. Chłopiec stał i patrzył na ptaszka, całkowicie nim zaabsorbowany. W zamyśleniu gładził pióra monotonnym ruchem. Wspaniała pewność siebie, emanująca z niego chwilę wcześniej, zmieniła się w coś trudnego do określenia. Sprawiał wrażenie zaintrygowanego głową kanarka, drżącą w jego objęciach, i półprzymkniętymi powiekami zwierzątka. Na twarzy Urha powaga mieszała się z zadziwieniem.

Mikko się pochylił. On też musiał przyznać, że w ptaszku było coś dziwnego. Tylko nie wiedział co. To odczucie nie wiązało się z żadną konkretną częścią ciała zwierzątka, z krwawiącą raną czy stłuczeniem. Chyba bardziej chodziło o dotyk Urha, a raczej o to, jak ptaszek na niego reaguje. Wyglądało, że próbuje się wyrwać na wolność. Nie miało to jednak sensu. Rączki chłopca w żaden sposób go nie krzywdziły. Mikko nigdy nie widział, żeby syn dotykał czegokolwiek tak ostrożnie. Mężczyznę zaskoczyły też uczucia, które obserwacja ptaszka wzbudziła w nim samym. Prymitywne i drzemiące gdzieś w głębi, złowieszcze, a jednocześnie przepełnione empatią. Przyglądał się, jak Urho dotyka kanarka, jego lepkich od krwi piórek i kryjących się pod nimi mięśni, drżących i wykonujących spazmatyczne, bezsensowne ruchy. Jakby ptaszek próbował uciec spod dłoni chłopca i spod dotyku, który nijak nie mógł pogorszyć urazów...

Nagle zrozumiał. Podszedł bliżej i ze wszystkich sił starał się nie okazać zaszokowania. Chwycił syna za palce i ostrożnie je rozplótł.

– Daj mi go. Nie żartuję.

Urho wciąż się wahał, nie rozumiał. Jednak coś – może ton głosu ojca – w końcu sprawiło, że rozchylił dłonie. Mikko wyjął z nich ptaszka drżącymi rękami, z nieopisaną delikatnością.

Potem, chociaż sam nie do końca wierzył w to, co mówi, dodał szeptem:

– Jego boli.

Piekarnik w kuchni poinformował przyjemnym kobiecym głosem, że zapiekanka makaronowa jest na dobrej drodze do spalenia się na węgiel.

Lekarka uśpiła ptaszka. Leżał, z cienką jak włos rurką wystającą z boku, na białej podstawce pod dużą kopułą z pleksi. Stół do badania był modelem dziecięcym, o rozmiarze w sam raz dla trzylatka. Mimo to kanarek wydawał się na nim tragikomicznie malutki. Przewody skanera cicho mruczały pod leżanką, a odór płynu do dezynfekcji mieszał się z aromatem świeżo uprasowanej bawełny.

Mikko dosadnie klął w myślach. Tego mu naprawdę nie było trzeba. Cały tydzień sam na sam z Urhem; wszystko miał zaplanowane. Solidny repertuar przyjemnych zajęć dla ojca i syna: sklejanie modelu samolotu, drobne renowacje w domu, parówki z frytkami. A tutaj – bam! – już pierwszego dnia będzie musiał porozmawiać z synem o bólu.

– Czy on jest chory? – spytał Urho.

– Tak jakby – odpowiedział Mikko po chwili namysłu. – Ma stare receptory.

Siedzieli noga przy nodze na skraju wysłużonej kanapy z drewnianą ramą. Jeszcze przed kilkoma laty lekarka stała na honorowym miejscu pod oknem w pokoju Urha. Po wczesnodziecięcych bilansach zdrowia i serii zapaleń ucha skończyła jednak w garderobie, razem z pozostałymi rzadko używanymi sprzętami domowymi.

Wokół urządzenia panował półmrok. Na zewnątrz słońce wciąż mocno świeciło, ale jego promienie słabły, gdy przecinały garderobę, pochłaniane przez ściany i stosiki tekstyliów. Kopuła lekarki emitowała światło, które jednak tylko podkreślało ciemność panującą w pomieszczeniu, kurczyło świat do dwóch jaskrawych

prostokątów. Pośrodku jednego z nich leżał zraniony ptaszek, drugim był panel kontrolny lekarki. Wyniki badań krwi, foldery z danymi medycznymi i zalecenia terapeutyczne w spokojnym tempie przesuwały się na ekranie dotykowym. Mikko dziękował losowi za to, że w swoim czasie wybrali z Sinikką model odpowiedni zarówno dla ludzi, jak i dla zwierząt. Rozważali przygarnięcie szczeniaka, dla scementowania rodziny. Plan po cichu został pogrzebany tuż po narodzinach Urha.

Urho pogładził akrylową kopułę palcem wskazującym.

– Możemy się tym zarazić?

Mikko pokręcił głową.

– Nie, w każdym razie nie tak po prostu. Ale kiedyś to była pandemia. Czyli epidemia na skalę całego świata. Wszyscy zarażali się jeszcze przed narodzinami.

Urho zastanowił się przez chwilę.

– Czyli ludzie też?

– Tak – przyznał niechętnie Mikko. – Zobacz, tak ogólnie chodzi o to, że na świecie są różne niebezpieczeństwa. Rzeczy, których trzeba unikać. Również w naszych czasach.

Chłopiec przytaknął.

– Jeśli rozetniesz rękę o ostrą gałąź albo skręcisz kostkę podczas biegania, uszkodzisz ciało. Skaleczenia mogą ulec zakażeniu, kończyny stać się bezużyteczne. Możliwość przeżycia gwałtownie maleje. Musi być coś... jakiś mechanizm chroniący przed powikłaniami.

– Reakcja obronna? – zaproponował ostrożnie Urho.

– Tak jest. Ty taką masz. My mamy. Ale to sztuczna, skomplikowana konstrukcja, która nie mogłaby powstać w wyniku ślepej ewolucji. Musieliśmy zbudować ją sami.

Mikko wziął wdech i upewnił się, że chłopiec wciąż słucha. Nie miał się czego obawiać; spojrzenie Urha wreszcie oderwało się od kanarka i spotkało ze wzrokiem ojca. Ciągnął więc:

– Natura miała dużo mniej do dyspozycji, dlatego z tych klocków, które mogła wykorzystać, ułożyła ból. Ból... tak naprawdę ani trochę nie przypomina reakcji obronnej. Nie jest wyspecjalizowaną blokadą organizmu przed używaniem zranionej części

ciała. To raczej skomplikowana mieszanka aktywacji dolnych części mózgu i ciała migdałowatego, lęku, wyuczonej bezradności i zmian w autonomicznym układzie nerwowym. Wszystkie te reakcje mają wspólny cel: chronić ciało, dopóki nie powróci do sprawności.

Mikko poprawił się na kanapie. Obserwował syna, w którego życiu nagle pojawiła się nadzwyczaj duża porcja nowości. Mówił dalej:

– I najistotniejsze w bólu jest to, że nie da się nim świadomie zarządzać. Niekiedy trwa jeszcze długo po spełnieniu swojego zadania. Mózg nie ma środków, żeby odróżnić świeże obrażenia od starszych, już zarejestrowanych. Wcale nie przyzwyczaja się do ciągłego bólu, a wręcz przeciwnie, uwrażliwia się na niego. U niektórych biedaków nawet malutka, niewinna bolesność z biegiem czasu urasta do niesłabnącego cierpienia, które nie ma nic wspólnego z pierwotnym zranieniem. Ból nie jest wyłącznie problemem medycznym, wiąże się z nim o wiele więcej. Ma niewyobrażalny wpływ na światopogląd, kulturę, sztukę, nawet na wierzenia...

Zawiesił głos. Wiedział, że mówi zbyt długo i tylko częściowo do syna. Mimo wszystko bał się zamilknąć. Bo gdy tylko chłopiec przestanie słuchać i przetrawi jego słowa, nieuchronnie przejdzie do kolejnego pytania, dużo trudniejszego.

Jednak Urho nadal bez słowa wpatrywał się w lekarkę. Okienko tekstowe, znajdujące się pośrodku ekranu, informowało, że badanie wciąż trwa. Obrączka na nóżce ptaka wywołała zakłócenia podczas obrazowania, więc urządzenie poprosiło o wpisanie hasła, które pozwoli na jej usunięcie. Mikko długo i sumiennie przeszukiwał pamięć, w końcu przypomniał sobie kod dostępu. Mikroskopijne robotyczne chwytaki, umieszczone przy krawędzi kopuły, ożyły, a Urho przyglądał się im ze spokojnym zainteresowaniem.

Mikko westchnął. Kiedyś, przed narodzeniem syna, wyobrażał sobie, jak będzie objaśniał mu wszechświat i tajemnice życia. To miało być takie łatwe, w końcu był inteligentnym i wykształconym dorosłym, który zdobył mnóstwo wiedzy i doświadczenia.

Urho z kolei był dzieckiem, jego dzieckiem, niezwykle chłonnym i pojętnym. Co mogłoby pójść nie tak? Miał po prostu przelać na syna wiedzę zebraną przez siedemdziesiąt dziewięć lat swojego życia – jak z jednego naczynia do drugiego. Zamierzał obalać powszechne przesądy, z góry unikać wszelkich niezręcznych porównań i upraszczających kłamstewek, które kiedyś stały na drodze do jego własnego zrozumienia. Chciał dać mu dwadzieścia lat przewagi. A teraz, kiedy nadszedł ten czas, wszystko okazało się całkowitym błądzeniem po omacku i pospieszną improwizacją.

– Czyj on jest? – spytał Urho.

Mikko przełknął ślinę i próbował ukryć zdenerwowanie. No i tyle z tego wyszło.

– Nie wiem – odpowiedział. – Ale to nie jest teraz takie...

– Czy oni są gdzieś tutaj? – Urho przerwał mu głosem, w którym pobrzmiewała panika. – W pobliżu?

– Niekoniecznie. To znaczy na pewno nie. Przecież kanarek umie latać, mógł tu przyfrunąć z bardzo daleka.

Urho zerwał się na równe nogi.

– Czy on należy do Sióstr Bolesnych?

– Do kogo?

– Do Sióstr Bolesnych – odparł chłopiec z oczami wielkimi z przerażenia. – Czy to ich ptaszek? One... mogły go specjalnie skrzywdzić! Dla jakiegoś testu albo żeby go zjeść, albo tak dla zabawy, bo ich szczepionki za dobrze działają i Siostry nie czują bólu nawet w głowie, kiedy kogoś innego boli... – Wziął gwałtowny wdech, po którym nastąpiło jeszcze kilka krótszych, szybszych oddechów.

Mikko ukląkł, położył dłonie na ramionach synka. Widok zlęknionego chłopca aż ścisnął go za gardło.

– Na pewno nie – zaczął niezręcznie. – Skąd ty w ogóle... Ale nie, w żadnym wypadku. Siostry Bolesne to wymyślona bajka. Miejska legenda.

– Ale Viljami powiedział, że one tu mieszkają! I że mają zwierzęta, nieszczepione...

Mikko złapał syna za policzek i delikatnie nakierował jego twarz ku sobie.

– Viljami plecie bzdury. Jak myślisz, dlaczego?

Urho milczał, więc Mikko sam sobie odpowiedział:

– Dlatego że Siostry Bolesne i inne tego typu rzeczy to straszne historie. Dorośli opowiadają je czasem dzieciom, żeby się dobrze zachowywały. A Viljami bez dwóch zdań dobrze się nie zachowuje, skoro rozpowszechnia takie głupoty. A ty chciałbyś zrobić coś dobrego? Żebyśmy obaj zachowali się dobrze?

Urho zastanawiał się nad pytaniem, wzrok miał szklisty. W końcu ostrożnie pokiwał głową. Na jego twarz powoli wracały zdrowe rumieńce, a oddech się uspokoił.

– Dobrze – ciągnął Mikko. – W takim razie zapomnijmy chwilowo o bezsensownych rozmyślaniach i skupmy się na tym, żeby ten biedny ptaszek otrzymał pomoc, której potrzebuje. Okej?

Chłopiec nie wyglądał na przekonanego. Ojciec jednak nie dał mu czasu na ponowne protesty. Spojrzał znacząco na zegarek, potem na kuchenne drzwi.

– No tak, na pewno jesteś głodny. Idziemy spróbować tatusiowej specjalności!

Jedli w ciszy. Urho przeżuwał stwardniały wierzch makaronowej zapiekanki, którą ojciec wyjątkowo pozwolił mu polać całą masą keczupu. Mikko przyglądał się chłopcu, ale w jego zachowaniu nie dostrzegał nic niezwykłego. Może syn był nieco poważniejszy, ale nawet większe zmartwienia nigdy nie odbierały mu apetytu.

Co jakiś czas Mikko zerkał przez kuchenne okno na ogródek. Wciąż podążał wzrokiem w stronę trawnika pod żywopłotem, tam, gdzie Urho podobno znalazł kanarka. Wszystko wyglądało normalnie. Tarcza do gry w rzutki wisiała na swoim miejscu, na ścianie domku do zabawy, obramowana pokaźną płytą ze sklejki. Na pierwszym planie widział postrzępione krzewy porzeczki i klomby obsadzone roślinami, które od lat – z niewielkim powodzeniem – Sinikka próbowała pobudzić do kwitnienia. Dostrzegał wyraźnie każdy szczegół, o tej porze roku nawet o północy nie było całkiem

ciemno*. Zieleń trawy nabrała jednak głębi, a cień zbiornika na deszczówkę rozciągał się aż pod kamienny murek. Zbliżał się wieczór.

– I nie możemy go... jakoś naprawić? – spytał Urho.

Słowa chłopca wydostały się między dwoma gryzami, spod grubej warstwy makaronu i masy mleczno-jajecznej. W niewinnej oprawie.

Mikko opuścił widelec. Porcelana zadźwięczała jak kościelny dzwon.

– Hm. Może damy radę. Umieścimy w jego komórkach geny programujące odpowiednie kanały jonowe i neuroprzekaźniki. Tak, to jest w zasięgu możliwości. Na pewno trzeba będzie dokupić jakiś dodatkowy moduł do lekarki. I kilka partii wektorów wirusowych. Tak naprawdę nie chodzi o to, czy możemy to zrobić, ale czy powinniśmy.

Chłopiec patrzył na niego ze zmarszczonymi brwiami, wyraźnie niezadowolony z odpowiedzi. Mikko szukał słów, miał sucho w ustach. Po chwili podjął:

– Szczepionkę zawsze podaje się najwcześniej, jak to możliwe, najlepiej jeszcze przed narodzinami. I nie bez powodu. Dzięki temu z wyprzedzeniem można powstrzymać chorobę i pozwolić układowi nerwowemu rozwijać się bez jej wpływu. Później... No, później nie jest już tak łatwo. Ból pozostawia w organizmie ślad. Wokół niego, jak powykręcany pień drzewa, rosną struktury przekazujące uczucia związane z karą i nagrodą. Tych uczuć nie da się tak łatwo uwolnić bez ich naruszania. Aby wyzdrowieć, dorosły organizm wymaga poważnej rehabilitacji. Ponownego uczenia się nawet najprostszych rzeczy. Ból jest tak stary, jak pierwsze układy nerwowe. Głęboko zakorzeniony.

Wziął łyk mleka, żeby złagodzić palenie w gardle, i ciągnął:

* W Finlandii około przesilenia letniego dzień jest bardzo długi. Na południu kraju słońce zachodzi tylko na parę godzin, co sprawia, że nigdy nie zapadają całkowite ciemności. Na północy – za kołem podbiegunowym – występuje dzień polarny i słońce świeci przez całą dobę (przyp. tłum.).

– No. Dobrze to wyjaśniłem? Nie wiem. W każdym razie chodzi o to, że to... on... – Wskazał w kierunku garderoby. – Czy możemy podjąć za niego decyzję? Nie wydaje mi się. Nie możemy odgadnąć, czego by chciał. Gdyby tylko potrafił mówić i zrozumieć znaczenie tego, co zamierzamy mu zrobić... Wiem jedynie, że w przeszłości nawet wielu takich, którym zaoferowano to samo i którzy rozumieli, odmówiło mimo wszystko. Wielu mądrych ludzi. I kochanych przez bliskich.

Urho nie odpowiedział, Mikko też już niczego nie dodał. Wyczerpały mu się słowa, a tam, skąd wyszły, nagle pojawiła się pustka. Przez moment się zastanawiał, czy na tym nie zakończyć. Nie zostawić ptaszka w lekarce. Pozwolić synkowi go odwiedzać, ale odmówić udzielenia odpowiedzi na kolejne pytania, do powrotu Sinikki z konferencji. Potem razem przegadają całą sprawę za jednym zamachem.

Plan był kuszący, ale w ostatecznym rozrachunku daremny. Mówiąc wprost, stanowił zwykłe tchórzostwo, a poza tym i tak by nie zadziałał. Jeśli Urho nie otrzyma odpowiedzi, za parę dni będzie chodził po ścianach. Tak jak i sam Mikko.

Chłopiec skończył jeść. Spojrzał na ojca i spytał bezbarwnym głosem:

– No to co z nim zrobimy?

– Nie wiem. Musimy się zastanowić. Ale w końcu znajdziemy jakieś rozwiązanie. Na pewno. To nie są łatwe sprawy, trzeba zachować spokój i przemyśleć różne opcje...

– A jak jego nie da się wyleczyć?! – wykrzyknął Urho. – Tak naprawdę? Ani wypuścić w takim stanie? No i na pewno nie oddamy go Sio... właścicielom? Co innego możemy z nim zrobić? Wsadzić do klatki wysłanej czymś miękkim, żeby nie zrobił sobie krzywdy? Albo... – Chłopiec przerwał, oczy mu się zaszkliły. – Bo przecież nie zrobimy mu nic złego? – W jego głosie nie pobrzmiewał już bunt. – Nie chcę mu robić nic złego.

– Nie – odpowiedział pospiesznie Mikko. – W żadnym wypadku. Nie martw się. To znaczy wątpię. Owszem, musimy się zastanowić. I spytać o zdanie kogoś mądrzejszego. Może weterynarza, takiego z prawdziwego zdarzenia, który zna się też na kwestiach etycz...

Urho wlepił spojrzenie w podłogę, nieprzekonany. Dolna warga mu drżała. Mikko przytulił go; nic innego nie potrafił zrobić. Pogładził syna po włosach i wypowiedział słowa, których od razu pożałował:

– To są sprawy dorosłych.

Urho wyszedł markotny, bo nie chciał dłużej rozmawiać. Mikko został w kuchni, trochę z poczuciem winy, że wcześniej marzył o ciszy. Teraz dostał to, czego chciał. Zawzięcie szorował naczynie żaroodporne po zapiekance, włókna szczoteczki skrzypiały o szkło. Urho na pewno potrzebował czasu na zastanowienie. Powiedział, że idzie poczytać, a ojciec się na to zgodził. Łatwo można było się domyślić, na jaki temat, ale w domu raczej nie mieli materiałów całkowicie nieodpowiednich dla dzieci. Niech zaspokoi ciekawość.

Mężczyzna szczerze wierzył, że lepiej niż większość ojców w historii ludzkości da radę zapewnić synowi spokojne życie. Inaczej jaki sens miałoby cokolwiek? Ludzie wyeliminowali tak wiele chorób, usunęli tak wiele źródeł niesprawiedliwości i przemocy. Nie wszystko się jednak zmieniło. Nawet on nie mógł ochronić Urha przed żalem i zagubieniem. Pomyślał o kanarku, o tym niewinnym okruchu natury w kącie garderoby. I o jego właścicielu, wobec którego czuł bezradną, rozpaloną do białości wściekłość. Za to, co ten zrobił ptaszkowi, a już szczególnie – Urhowi. Że postawił chłopca przed zbyt poważnym wyborem, zmusił go do zadawania pytań, nad którymi powinien się zastanawiać dopiero w znacznie dojrzalszym wieku. Teraz on, ojciec, musiał zminimalizować szkody i naprawić świat syna, żeby znów był cały i bezpieczny.

Najbardziej wstrząsnęło nim to, że Urho wiedział o Siostrach Bolesnych.

Plotki na ich temat zaczęły się pojawiać w trakcie pierwszych testów szczepionki. Rozpowszechniali je ludzie i stowarzyszenia sprzeciwiające się projektowi – nie z powodu potencjalnego ryzyka

czy wyzwań natury praktycznej, ale wyłącznie dla zasady. Uważali, że uzdrowienie z bólu jest niezgodne z naturą, że pozbawi jednostkę możliwości duchowego rozwoju i że oznacza odrzucenie człowieczeństwa. Zupełnie nie mieli racji – co mógłby udowodnić każdy zaszczepiony – ale mimo to udało się im wiele osób przekonać do rezygnacji z leczenia. W najgorszych przypadkach odmowa dotyczyła również innych podstawowych operacji: inhibitorów starzenia i implantów neuroprotekcyjnych. Rodzice rzucali dzieci na pożarcie już raz wyeliminowanym schorzeniom – dzieci, które najłatwiej byłoby wyleczyć. Stanowiło to największą tragedię stulecia, a jej przyczynami i skutkami wciąż zajmowały się podręczniki medycyny i bioetyki. To nie były rozważania dla małego chłopca. Mikko dodał kolejną pozycję do mentalnej listy rzeczy do załatwienia, szybko się wydłużającej: przydałoby się zebranie ojców z okolicy. Potem westchnął, spłukał naczynie i położył je na suszarce. Wyszedł z kuchni i skierował się do garderoby, a wykładzina z tworzywa sztucznego pochłaniała odgłos jego kroków.

Diagnoza lekarki była gotowa. W głowie i w szyi ptaszka maszyna nie wykryła nic poważniejszego od stłuczeń, ale lewa kość piszczelowa uległa złamaniu tuż pod kolanem. W boku były dwie zabrudzone rany cięte, z których głębsza sięgała powięzi mięśnia. Na jej gojenie lekarka zaproponowała parę szwów, pozostałe obrażenia wymagały odpoczynku. Patogeny, które dostały się do ran, spowodowały krótkotrwałe zakażenie bakteryjne, jednak własny układ immunologiczny kanarka najprawdopodobniej sobie z tym poradzi. Wystarczy zapewnić ptaszkowi jedzenie i wodę oraz trzymać go w miejscu zabezpieczonym przed siłami natury. Za dwa tygodnie będzie można otworzyć tylne drzwi i wypuścić rekonwalescenta na wolność.

Mikko z roztargnieniem pokiwał głową i zamknął okno dialogowe. Spojrzał na ptaszka wciąż nieruchomo leżącego pod kopułą. Potem otworzył menu główne, zaczął szukać wyników genotypowania. Poważny przypadek znęcania się nad zwierzętami powinno się zgłosić na policję, do zgłoszenia dobrze byłoby załączyć dowód na niezaszczepienie kanarka. Mikko przesuwał

menu w dół, mijał rozmaite badania laboratoryjne, diagnostykę obrazową i zabiegi. Gdzie, do diaska, podziała się ta opcja? Wkrótce strumień ikon się zatrzymał. Mikko dotarł do końca listy, przeoczył to, czego szukał. Przewrócił oczami i uniósł palec, żeby wrócić na początek. Nie dokończył jednak ruchu, bo jego uwagę przykuł ostatni obrazek.

Ikona na pierwszy rzut oka niczym się nie różniła od wcześniejszych: podobny ciemnoszary prostokąt bez konturów. Ale miała jakąś dziwną moc. Zbliżający się do niej palec zwolnił, zupełnie jakby powietrze nad wyświetlaczem stało się lepkie. Gdy Mikko wreszcie dotknął ikony, ekran się rozmazał. Na środku wyskoczyło okienko z pytaniem, czy jest pewien, a potem jeszcze prośba o wpisanie hasła. Mężczyzna wprowadził je bez namysłu, wyjątkowo udało mu się to przy pierwszej próbie. Z radosnym podskokiem zniknęło menu główne, a na jego miejscu pojawiła się inna lista.

Do tej pory Mikko otworzył to drugie menu tylko raz, lata temu. Głównie chyba po to, żeby się przekonać, że ono rzeczywiście istnieje. Jego układ graficzny, w porównaniu z innymi, był nadzwyczaj prosty, wręcz ascetyczny. Pośrodku ekranu znajdowała się jedna jedyna ikona: pokaźny jaskrawoczerwony okrąg, w którym widniała strzelba myśliwska. Obraz wyglądał anachronicznie i w jakiś sposób surowo. Mówiono, że testerzy pierwszych modeli upierali się konkretnie przy tym symbolu, i to tak mocno, iż producent w końcu się poddał. O sprawie wspominał przegląd „Świata Techniki" – podobno miała związek z jakimś przedpotopowym amerykańskim filmem.

Mikko oparł nadgarstek tuż pod wyświetlaczem. Spoconą dłonią przelotnie dotknął szklanej powierzchni i dotarło do niego, jak ogromnie zaniepokoił się perspektywą pozostawienia tłustego śladu. Mrugnął, po czym dalej patrzył na ekran, chociaż niezupełnie go widział.

To było takie proste. Jednym gestem zapewni godne zakończenie zagadki letniego dnia, schludne i pouczające. Pewna odwieczna prawda zostanie przekazana kolejnemu pokoleniu. Urho oczywiście będzie miał więcej pytań, ale Mikko da radę na

nie odpowiedzieć. Chłopiec nie widział raportu, a bez dwóch zdań istniały obrażenia, którymi nawet lekarka nie da rady się zająć. Na pewno.

Tak, tak powinien postąpić. Im dłużej będą wałkować tę sprawę, tym trudniejsza stanie się dla Urha. A najgorsze, że syn nieuchronnie będzie się obwiniał, zastanawiał, co powiedział nie tak albo o czym nie wspomniał, skoro nie udało mu się przekonać taty. Mikko mógłby go do znudzenia zapewniać, że to problemy dorosłych, powoływać się na prawo, Boga i Sinikkę. Ale bez względu na wszystko chłopca już zawsze będzie dręczyło, czy postąpili właściwie. Nie, to się tak nie mogło skończyć. W takim wieku jeszcze trzeba go było przed tym chronić. Jeszcze chwilę dłużej.

Następnego ranka Urho zbiegnie na dół i od razu spyta o ptaszka. O ile nie popędzi prosto do garderoby. Nie, najmądrzej będzie zamknąć drzwi na klucz. Mikko posadzi syna przy kuchennym stole, sam usiądzie obok i przekaże nowiny. Będzie płacz, jasne, ale tylko przez jakiś czas. Potem Urho będzie go oskarżał, odgadnie, jak potoczyły się sprawy. On wszystkiego się wyprze i powie, że kanarek umarł z powodu obrażeń. Albo i się przyzna, że jako dorosły sam rozstrzygnął sprawę, i uzasadni, czemu nie mógł postąpić inaczej. Tak naprawdę Mikko nie przemyślał jeszcze wszystkiego do końca. W każdym razie ciężar decyzji spadnie z barków syna, czy to na jego własne, czy to na ślepy los. A wspomnienia, które pozostaną chłopcu po tym wydarzeniu, przyniosą mu siłę zamiast poczucia winy.

Mikko śledził wzrokiem własny palec zbliżający się do ekranu. Miał wrażenie, że cała jego wola skupiła się w tej niewielkiej części ciała. Czuł stawy, kości, a przede wszystkim przymocowane do nich maleńkie mięśnie; narządy, z których istnienia przedtem nawet nie zdawał sobie sprawy. Był gotowy je napiąć, przypieczętować decyzję. Wziął wdech i monotonnie kiwał głową w milczeniu, jakby dzielił sprzeczne myśli na argumenty obu stron.

W końcu zaśmiał się nerwowo i cofnął palec.

Podniósł wzrok na konsolkę. Jeszcze raz przejrzał wyniki dotyczące funkcji życiowych kanarka i upewnił się, że były idealne.

Potem się odwrócił i odszedł. Pozostawił ptaszka śpiącego pod kopułą, chronionego przed zagrożeniami zarówno ze strony przyrody, jak i ludzkiego umysłu.

Jego krokom towarzyszyło słabe, choć wciąż bolesne wspomnienie. Pochodziło sprzed dziesiątków lat, może było wcześniejsze od wszystkich pozostałych. Czas zatarł wszelkie szczegóły. Zachowały się tylko kontury i najwyraźniejsze ślady: gips z muminkowym motywem, warstewka maści w zgięciu ręki. Palący policzek, buty do piłki nożnej, czekające na niego w sobotę i śmierdzące plastikiem. Ręka ojca w zagłębieniu między łopatkami, głos nabrzmiały współczuciem:

– Słuchaj, tak to już bywa. Ale szkoda.

Trochę później Mikko poszedł zobaczyć się z synem. Urho leżał w łóżku i czytał książkę, której miękkie światło padało mu na twarz.

– Hej – zagadnął Mikko. – Znalazłeś dobrą lekturę?

– Taką sobie – odpowiedział ze znużeniem chłopiec.

Jego ton pozbawiony był jednak złości czy niechęci; najwyraźniej Urho zapomniał już o kuchennej kłótni. Albo zwyczajnie czuł się zbyt zagubiony, żeby się odgryźć.

– Za pół godziny do spania – oznajmił Mikko.

Urho wyglądał na niezadowolonego, ale nie protestował. Już na ten temat rozmawiali. Mikko podszedł do syna. Zastanawiał się, czy powinien coś powiedzieć, ale uznał, że lepiej nie. Zbyt wiele słów dzisiaj padło. Zamiast tego odchylił rękę, a drugą poklepał się po brzuchu tuż poniżej pępka. Chłopiec wahał się przez chwilę, po czym przyjął zaproszenie: odłożył książkę, wstał z łóżka i podszedł do ojca. Objął go od przodu, przytulił i wcisnął twarz w jego brzuch. Przez moment Mikko przypomniał sobie z bolesną jasnością, że kiedyś syn nie sięgał mu powyżej kolan. Po raz pierwszy od chwili, kiedy ujrzał ptaszka w dłoni Urha, poczuł prawdziwy spokój. Sprawy powróciły do właściwych rozmiarów. Na świecie było coś, przy czym ból i cierpienie stanowiły jedynie ledwie dostrzegalny pyłek.

Syn odsunął się pierwszy, on chwilę później. Ścisnął ręce chłopca i powiedział jeszcze:

– Tylko umyj zęby.

Jego serce przepełniała duma oraz niewypowiedziana zazdrość. Odwrócił się na pięcie i zostawił syna, który wrócił do łóżka, by znów zatopić się w lekturze.

Urha obudził jakiś zgrzyt. Chłopiec otworzył zmęczone oczy i przez chwilę leżał bez ruchu, słuchając własnego oddechu. Zegarek na szafce nocnej wskazywał siedemnaście po trzeciej.

Dźwięk się nie powtórzył i Urho stracił pewność, czy był rzeczywisty, czy też stanowił element ostatniego snu.

Noc od samego początku przebiegała niespokojnie. Jej pierwsze godziny minęły chłopcu na leżeniu w łóżku, z odrętwiałymi powiekami, i wyobrażaniu sobie Sióstr Bolesnych. Kobiecych i męskich postaci, odzianych w czerń, które dużą grupą przemierzały mroczne, śmierdzące plastikiem korytarze. Wzdłuż ścian stało tam pełno klatek z rozmaitymi zwierzętami: ptakami, psami, myszami, nawet wężami. Co jakiś czas Siostry zatrzymywały się przed którąś z nich, dźgały igłami lub raziły prądem zwierzę w niej zamknięte i z przyjemnością obserwowały, jak się wije. Niekiedy też w jednej większej klatce umieszczały kilka zwierząt. Pozwalały im polować i rzucać się na siebie nawzajem, jakby odtwarzały walki z zamierzchłych czasów.

W końcu te obrazy do cna wyczerpały wyobraźnię Urha i chłopiec zasnął. Jednak ciągle się budził; czasem z powodu mętnych snów, wypełnionych wyłącznie rozedrganymi emocjami, innym razem przez niesłabnące odgłosy nocnego domu.

To, co go przed chwilą obudziło, nie różniło się zbytnio od poprzednich dźwięków: ostre skrzeknięcie, przypominające wrzask drapieżnego ptaka, usłyszany dawno temu w filmie przyrodniczym. Chłopiec nie rozpoznał odgłosu, nie potrafił go dopasować do niczego ze swojego otoczenia ani ze snów. Tak naprawdę nie pamiętał, czy w ogóle coś mu się teraz śniło. Ale jednego był pewien: musiał ratować kanarka. Wiedział to z tą nagłą, bezsporną pewnością, z jaką się zdarza tuż po przebudzeniu pojmować niejasne wcześniej kwestie. W ciągu dnia był skołowany,

zbyt skupiony na opowieściach ojca, więc nie do końca rozumiał sytuację. Książki okazały się bardzo pomocne. Opowiedziały mu o świecie, do którego należy ptaszek, i potwierdziły prawdziwość niektórych rzeczy opowiedzianych przez ojca. Inne wyjaśnienia okazały się znów błędne (Urho sporządził sobie w głowie dokładną listę). A jeszcze inne były uproszczeniami, skrótami myślowymi, kłamstwami, które ojciec wymyślił, żeby chłopiec mógł łatwiej zrozumieć. Cały czas tak robił. Przedtem jednak Urho miał w umyśle chaotyczny zlepek informacji, zupełnie nie do rozwikłania. Dopiero w ciemnościach nocy chłopiec zobaczył wszystko takim, jakie było naprawdę.

Wstał, postawił stopy na starannie wybranej desce parkietu w nogach łóżka. Podłoga wydała słabe, niemal niesłyszalne skrzypnięcie. Dobrze się przygotował. Od miesięcy zapisywał w pamięci, które fragmenty podłogi w jego pokoju skrzypiały, a które nie; stworzył mentalną mapę na potrzeby potajemnych nocnych wycieczek. Nie miał do takich przygotowań żadnego szczególnego powodu, ale i w ogóle go nie potrzebował. Świat Urha, podobnie jak wszystkich jego rówieśników, był miejscem przepełnionym tajemną mocą i zawiłymi planami. Chłopiec pewnym krokiem przemierzył pokój, a jego stopy plaskały o zimną podłogę.

Wyszedł na korytarz. Zbliżył się do drzwi sypialni rodziców i podziękował losowi, że są dokładnie zamknięte. Z każdym krokiem przybywało mu odwagi. Budynek nadal wydawał różne odgłosy, ale już znajome: nieprzerwane tarcie drewnianych ścian o betonowe fundamenty, szum wiatru pod okapem, wzmożony nocą. Kiedyś te dźwięki towarzyszyły mu podczas wielu bezsennych godzin i budziły w nim lęk. Chłopiec jednak pomału nauczył się je rozpoznawać i pojął, że mieszkały w domu tak samo jak on, matka i ojciec. Zawarł z nimi pokój, a w każdym razie ostrożny rozejm; nie wchodzili sobie w drogę. Ale tej nocy odgłosy znaczyły coś więcej. Asystowały mu, zajmowały jego umysł, a w końcu jeden z nich uprzejmie go obudził, żeby Urho mógł ratować ptaszka. Były wsparciem podczas ważnej misji. I sojusznikami w walce przeciwko ojcu.

Chłopiec zatrzymał się przy tej myśli. Wydawała się mu niepokojąca, w jakiś sposób zakazana, ale jednocześnie zabarwiona

przygodą i odkryciem. Wywróciła do góry nogami wiele spraw, które wcześniej uważał za oczywiste. Urho przyjrzał się jej ze wszystkich stron. Postanowił ją zachować i wykorzystać później. W krajobrazie otaczającym jego miejsce na świecie, wśród dotychczasowych możliwości działania i myślenia, pojawiły się zupełnie nowe elementy.

Zszedł do przedpokoju. Jasna letnia noc wlewała się przez okna salonu, więc na dole było dużo widniej niż na piętrze. Zza otwartych tylnych drzwi dochodził znany dźwięk – cichy szum wiatru, wzmagający się od czasu do czasu i poruszający plastikowe pasy zwisające z futryny. W drzwiach było coś dziwnego i chłopiec przyglądał się im przez chwilę. W końcu zrozumiał. Były otwarte na oścież, a skrzydło zostało mocno odchylone w kierunku werandy. Ojciec miał w zwyczaju pod wieczór zamykać je niemal całkowicie i zostawiać jedynie niewielką szparkę. Może tym razem zapomniał.

Urho zmarszczył brwi. Kot Lundströmów włóczył się nocami po całym sąsiedztwie i czasem wchodził do budynków, żeby się przespać. To mogłoby obudzić ojca, a do tego nie chciał, oczywiście, dopuścić. Otwarte drzwi i z innych powodów stanowiły zły omen – alarmujące odstępstwo od normy, towarzyszące nocnej przygodzie. Trzeba było coś z tym zrobić. Chłopiec zszedł po schodkach i chwycił za klamkę. Drzwi okazały się dużo cięższe, niż się spodziewał; na początku poruszyły się, ale zaraz się zablokowały. Urho cofnął się, zaparł i pociągnął jeszcze raz. Wreszcie mu się udało, drzwi gwałtownie ruszyły z miejsca i niemal całkowicie się zatrzasnęły. Zawiasy wydały przeszywający zgrzyt, który Urho natychmiast rozpoznał.

Właśnie to go obudziło.

Chłopiec puścił klamkę i odskoczył do tyłu, kiedy dotarło do niego, co to oznacza. Walenie w klatce piersiowej zmieniło się w nieprzerwany łomot. Palące, poszarpane myśli przelatywały mu przez głowę:

W domu ktoś jest.

Powinien zacząć krzyczeć, powiadomić ojca i policję. Powinien wyjąć ptaszka z lekarki i go ukryć, a później wypuścić przez okno na wolność.

Zorientował się jednak, że robi coś zupełnie przeciwnego. Instynktownie i całkowicie bezwiednie się odwrócił, bo za jego plecami rozległo się kolejne skrzypnięcie. Od razu dostrzegł intruza, który przechodził przez drzwi kuchni, tuż na wprost.

To była kobieta, w każdym razie tak mu się wydawało. Miała na sobie niebieskie spodnie, takie same jak te, które ojciec zakładał do biegania, i sweter z postrzępionymi rękawami. Jej twarz, z wyraźnymi śladami niedoborów w diecie, wyglądała upiornie, Urho widywał podobne jedynie w książkach. Cienkie, nienaturalnie białe włosy opadały na jej czoło, a oczy okalała siateczka szarych, pająkowatych zmarszczek. Najstraszniejsze było spojrzenie włamywaczki – w jakiś sposób mętne, bez wątpienia naznaczone niebezpiecznym szaleństwem. Urho drgnął i jednocześnie zdał sobie sprawę, że ojciec zezłościłby się na widok tej sceny.

Kobieta otworzyła usta i przemówiła chrapliwym szeptem:

– Hej, przepraszam, chłopczyku. Czy... Czy Eevi tu jest?

Urho oczywiście nie odpowiedział. Siostra Bolesna przyszła po swoje zwierzątko, a teraz wydarzyło się najgorsze: zobaczyła go. Urho był wciśnięty w kąt, bez możliwości ucieczki. Kobieta niespokojnie rozglądała się dookoła, potem spojrzała na niego, a następnie na swoją rękę, na której mrugało dziwne zielone światełko. Spróbowała raz jeszcze:

– Przepraszam, dziecko... słyszysz? Mieszkasz tutaj? Czy potrafiłbyś mi pomóc?

Urho przyglądał się jej w milczeniu. Z gardła wydostał mu się słaby, żałosny okrzyk. Siostra Bolesna była straszniejsza od jego najśmielszych wyobrażeń. Na pewno chora, ale mimo to koszmarna. Powoli – spod pragnienia ucieczki – wyłoniła się jednak wola walki. Choć nagle chłopiec uświadomił sobie wyraźnie, że za plecami ma otwarte drzwi, starał się odeprzeć tę pokusę. Nie mógł uciekać, na samą myśl ogarniał go wstyd. Kobieta nie skrzywdzi go, ale może coś zrobić kanarkowi. Znikąd nie ma ratunku. Viljami mówił, że policja jest bezradna w sprawie Sióstr, zresztą i tak nie dojechałaby na czas. Los ptaszka był w jego rękach.

Urho przełknął ślinę i na miękkich nogach wszedł po schodkach. Włamywaczka posłała mu przerażający wiedźmi uśmiech

i gapiła się na mrugające na nadgarstku światełko. Teraz chłopiec widział je lepiej. Pochodziło z ciemnego krążka, wielkością podobnego do sportowych medali matki, przymocowanego paskami do chudej jak patyczek ręki. Krawędź owalu była przejrzystoszara, a pod nią migał samotny zielony punkcik.

– Uciekł mi – poskarżyła się Siostra. – Czyściłam klatkę... Tak już ma, taki z niego nicpoń... Jak on sobie poradzi? Całą noc szukałam. A potem pokazał się tutaj. Bo to tu, prawda? Sam zobacz, pewnie znasz się lepiej niż ja...

Wyciągnęła nadgarstek w stronę chłopca. Krążek był pokryty staromodnym ekranem ciekłokrystalicznym, popękanym na brzegach. Widniała na nim lista rzeczy takich jak dom, klucze i telefon. Ostatnia pozycja została zaznaczona czarną kreseczką: Eevi. Na górze wyświetlacza widać było napis: „MemoryHelper". Gdy włamywaczka ponownie uniosła rękę, zielone światełko również się poruszyło i wciąż wskazywało ten sam kierunek – obok Urha, w stronę garderoby.

Chłopca ścisnęło w żołądku. Wiedział, że nadszedł właściwy moment, bo Siostra skupiła uwagę na czymś innym. Oderwał stopy od podłogi, prześlizgnął się pod ręką kobiety i puścił się biegiem. W gardle poczuł słony smak.

Drzwi garderoby stały otworem. Światła lekarki świeciły zza rogu, odbijały się od przeciwległej ściany i regałów. Siostra Bolesna coś za nim krzyknęła stłumionym głosem. Urho nie usłyszał dokładnie, tylko powtarzał sobie bez przerwy, że zdąży. Był o wiele bliżej ptaszka niż kobieta i miał wrażenie, że ta nie jest w stanie go dogonić. Zamierzał – kiedy dobiegnie na miejsce – wyciągnąć kanarka spod kopuły, schować go pod koszulką, wypaść z pokoju i rzucić się do ucieczki. Utkwił wzrok w urządzeniu. Starał się myśleć o tym, jak niewielki dystans pozostał mu do przebycia.

Nagle z podłogi wyłonił się próg i uderzył go w palec u stopy. Chłopiec ledwo utrzymał równowagę i ciężko opadł na prawą nogę. Coś chrupnęło mu w kostce.

Zachwiał się, gdy ze łzawiącymi oczami chciał postawić kolejny krok. Wywołało to natychmiastową reakcję obronną. Niewidzialna ręka chwyciła go za kostkę i unieruchomiła ją, by uniemożliwić

korzystanie z uszkodzonej kończyny. Urho opierał się, z całych sił próbował biec dalej. Wsparł się o ścianę garderoby i zaczął podskakiwać na jednej nodze. Nie oglądał się, nie miał odwagi, zresztą i tak czuł, że prześladowczyni się zbliża. Jednak był prawie u celu, pomimo łez widział jaśniejącą kopułę. Dopadł do niej i włączył uśpiony ekran. Niemal po omacku przeszukiwał menu i próbował rozróżnić ikony.

Siostra się zbliżała. Za moment zabierze ze sobą kanarka i będzie go torturować, robić mu straszne rzeczy. Albo zostawi go w tym stanie, każe mu do końca życia cierpieć z powodu okropnej choroby. Zmusi do istnienia w świecie pełnym malutkich ukrytych igiełek, zawsze gotowych wywołać ból i strach. Tak się nie może stać, w żadnym wypadku. Wreszcie Urho zrozumiał, co ojciec miał na myśli. Wypuszczenie ptaszka nie przyniesie nic dobrego, a poza tym na jednej nodze chłopiec nie zdoła uciec. Nie ma też na to wszystko czasu. Może zrobić tylko jedno.

Dotarł do końca menu i zaznaczył ostatnią ikonę. Hasło wpisał drżącymi rękami, ale się nie pomylił. Tak wiele razy widział, jak robi to ojciec, że nawet przez sen potrafiłby podać kod. Wywołał ekran, na którym widniał samotny czerwony okrąg. W ciemnym pomieszczeniu kształt lśnił jak rozmazane złowrogie oko, w którego blasku Urho kąpał się podczas poprzednich sekretnych wypraw do lekarki.

Ptaszek nie może trafić w jej ręce, nigdy.

Urho znów wyciągnął rękę w stronę ekranu. Świadomość tego, co zamierzał zrobić, rozdzierała mu serce. Przez głowę przemknęła mu jeszcze myśl:

Przepraszam...

W tym momencie włamywaczka znalazła się tuż przy nim. Wysuszoną dłonią złapała jego rękę i odciągnęła od wyświetlacza. Chwyt miała łagodny, ale silny, a chłopiec nie stawiał oporu. Znienacka omdlały mu ramiona. Odwrócił głowę, w słabym świetle ledwo dostrzegał oczy Siostry. Ich wyraz był inny niż przedtem, w jakiś sposób ostrzejszy, przytomniejszy. Kobieta spoglądała to na uśpionego pod kopułą kanarka, to na symbol broni pośrodku ekranu. Na jej policzkach coś błyszczało, a usta się poruszyły, Urho jednak nie dosłyszał słów.

Widok kobiety sprawił, że odzyskał siły. Zupełnie nie pojmował Siostry, ale nie miał wątpliwości, co zrobiła ptaszkowi. Wyszarpnął rękę z jej uchwytu, a drugą zamachnął się na włamywaczkę. Uderzał ją piąstką w pośladki i nogi. Pragnął, żeby zniknęła razem z kanarkiem, bólem i resztą trudnych spraw.

Kilka pierwszych ciosów trafiło w kobietę i z satysfakcjonującym odgłosem obiło jej lędźwie. Jednak wkrótce uderzenia zaczęły słabnąć, w kłykciach uruchomiła się reakcja obronna, a Urho nie dawał już rady porządnie dosięgnąć pleców kobiety, która chwyciła go ponownie i złapała w pasie. Uszkodzona noga w końcu się pod nim ugięła i chłopca utrzymywały w pionie jedynie objęcia Siostry. A ona wydawała się nie zwracać uwagi na swojego więźnia. Nie odrywała wzroku od ptaszka, przyglądała się po kolei każdej części jego ciała, każdemu obrażeniu. Jej usta nieprzerwanie wypowiadały bezgłośne słowa. Dłoń z rozczapierzonymi palcami opadła na kopułę z pleksi, a potem kobieta przeniosła ją na wyświetlacz. Dotknęła czerwonego okręgu.

Ostrożnie opuściła Urha na ziemię i zwolniła uścisk. Chłopiec już nie próbował wstać, chyba w ogóle nie przyszło mu to do głowy. Tylko patrzył. Kanarek, leżący pod kopułą, nie wydał żadnego odgłosu, kiedy zmienił się rodzaj płynu wpuszczanego mu do krwiobiegu. Urho wiedział, że gdyby znajdował się bliżej, mógłby zobaczyć, jak oddech ptaszka spowalnia. Linie obrazujące funkcje życiowe zaczęły opadać, a tuż obok nich migały liczby, malejące w ciszy. Na koniec – kiedy urządzenie zrozumiało, że nie jest już potrzebne – ekran lekarki zgasł i zmienił się w czarne lusterko. Kaniule wysunęły się spod skóry kanarka, po czym zniknęły we wnętrzu maszyny. Kopuła otworzyła się z cichym kliknięciem i odsłoniła ciałko leżące na białym plastiku. Kobieta je wyjęła, zamknęła w dłoniach i przycisnęła do piersi. Wyciągnęła z kieszeni pomiętą papierową chusteczkę i otarła oczy, jedno po drugim.

Po chwili ponownie odwróciła się w stronę Urha i przykucnęła; coś trzasnęło jej w kolanie. Rozejrzała się dookoła, ale cały czas gładziła martwego kanarka. Miała zmartwioną minę, a jej spojrzenie na powrót zaczęło mętnieć. Jednak wciąż wyrażało to

samo niepojęte współczucie co tuż przedtem, kiedy obserwowała ptaszka. Popatrzyła na zranioną nogę chłopca i szepnęła:

– No i tak... No i tak... Przepraszam. Za wszystko. Jesteś cały, dziecko? Dasz sobie radę?

Urho pokiwał głową w milczeniu.

Kobieta wstała, odwróciła się i skierowała ku tylnym drzwiom. Już się nie skradała, tylko utykała ze zgarbionymi plecami. Nadal przyciskała kanarka do piersi, teraz jedną ręką. Drugą trzymała się za dół pleców, w miejscu, na które spadło najwięcej ciosów. Uciskała je i pocierała w dziwaczny, niezrozumiały sposób.

Urho patrzył, jak włamywaczka znika za rogiem, by udać się w stronę schodów wyjściowych. Za chwilę usłyszał znany zgrzyt, najgłośniejszy tej nocy. Nieco później na piętrze jęknęło łóżko i coś głucho uderzyło o podłogę. Chłopiec nie ruszył się z miejsca. Reakcja obronna w nodze odpuściła, w tym momencie nie czuł nic. Nawet nie chciało mu się płakać. Wciąż jeszcze nie rozumiał. Wiedział tylko, że się pomylił, i to w wielu sprawach. Ta świadomość nie wzbudzała w nim wyrzutów sumienia czy żalu, jedynie ogromne zadziwienie i ciekawość, potrzebę dowiedzenia się więcej. Na to jednak czas przyjdzie później. Teraz czekał, nasłuchiwał odgłosów domu i szumu wiatru na zewnątrz.

Zastanawiał się, co powie ojcu.

Opowiadanie opracowali

Redakcja: Katarzyna Pikosz

Korekta: Katarzyna Twarduś, Justyna Mroczek-Żal, Paulina Szymańczak, Ilona Żurawska

Weryfikacja: Magda Kowalewicz, Barbara Uznańska-Loch, Magdalena Kłodowska

Kontrola weryfikacji: Agata Graczyk

Kontrola przed składem: Dawid Wiktorski

Nieznane dzieło

Paul van Leeuwenkamp
Tłumaczenie: Damian Olszewski
Tytuł oryginalny: *Het onbekende schrijven, en het verzet van Ingmar*

Obecnie

W reprezentacyjnej części Biblioteki Głównej w Utrechcie, na pierwszym piętrze, tuż za kawiarnią i multimedialnymi stanowiskami pracy, ale przed regałami z książkami, przy stole siedziało czterech pisarzy fantastyki. Uściślając – Ronald Giphart usadowił się z boku, gdyż laptop, za pomocą którego sterował Mulibotem, przymocowany był do jego balkoniku. Mulibota – sztuczną inteligencję opartą na całej twórczości Harry'ego Mulischa – nazywał swoją damą do towarzystwa, śmiejąc się przy tym i trzęsąc przez parkinsona. Był to najpopularniejszy sztuczny pisarz niderlandzkiego kręgu językowego – bardziej nawet ze względu na wypowiedzi o kobietach i śmierci niż powieści powstające pod czujnym okiem Gipharta, wydawane pod pseudonimem „Mulisch 0.2".

Prowadzący krążył w tę i we w tę między pisarzami a publicznością, machając mikrofonem niczym magiczną różdżką przed ustami gości, swoimi własnymi oraz słuchaczy, gdy organizatorka – niska, nieco sztywna kobieta o siwiejących już blond włosach ściśniętych w kok – obserwowała wszystko surowym

spojrzeniem. Dzięki niej wydarzenia w bibliotece znów zyskały na popularności, a wiązało się to z dopisującą publicznością i wieloma interesującymi pisarzami. Tym razem tematem była „Fantastyczność", z gośćmi w postaci Mulibota i jego opiekuna – Gipharta; Petera Schaapa, autora promocyjnej książki dołączanej do zakupów w całej Holandii i Belgii, oraz Thomasa Jakena, który nagle zyskał rozgłos jako pisarz fantasy. Wszyscy mieli już swoje lata, byli bladzi, łysi i cali w zmarszczkach.

– Panie Schaap, czy mimo że pańskie dzieła nie są już publikowane, a wszystkie pańskie książki trafiły do koszy wyprzedażowych, nadal poświęca się pan pisaniu?

Zbliżający się do osiemdziesiątki Schaap wykrzywiał twarz w różnych grymasach, szukając ostrej riposty.

– To jakby... wchodzi w krew.

– A jak odczuł pan swój powrót na rynek?

Okazało się bowiem, że nagle wrócił do gry wraz ze światowej sławy bestsellerem *Mozolne istnienie kamieni*. W następnych latach zaczęły się ukazywać jego kolejne powieści, a wcześniejsze, zepchnięte niegdyś do kosza z tanimi książkami, znowu wróciły na półki. Teraz dzieło Shaapa dołączano w ramach corocznej niderlandzkiej akcji promocyjnej do każdego zakupu książkowego.

– Och... Życie pisarzy jest tak niecodzienne...

Nic nieznacząca odpowiedź zawisła w ciszy bez rozwinięcia, przez co prowadzący musiał zwrócić się do kolejnego autora.

– A pan, panie Jaken? W pańskim przypadku nie był to powrót jako taki, ale przełom, którego od dawna nikt już nie oczekiwał. Jak do tego doszło?

Kariera pisarska Thomasa Jakena była chyba nawet bardziej osobliwa niż Petera Schaapa. Wiele lat pisał jedynie w ramach serii baltowskiej, o przygodach elfa Balta, który dzięki portalowi przenosił się ze swojego świata do naszych okolic, by rozwiązywać różnego rodzaju problemy. Tom po tomie autor publikował sagę we własnym zakresie lub za pośrednictwem malutkich wydawnictw, czasem tylko jako e-booki, jednak jego książki nigdy nie przyciągnęły czytelników. Wszelkie próby zyskania na rozgłosie spełzły na niczym. Aktywne promowanie w mediach

społecznościowych nie przekładało się na zwiększenie sprzedaży. Autor zebrał bardzo niskie noty, gdy wziął udział w znanym konkursie literackim Harland Award, a wszystkie większe wydawnictwa odesłały go z kwitkiem lub w ogóle milczały.

– Tak, skandaliczne, prawda? Zawsze powtarzałem, że nie czytali tego dokładnie, i teraz się to potwierdziło. Czyż nie? Całkowita dyskwalifikacja wśród niderlandzkich wydawców w przeciągu ostatnich pięćdziesięciu lat. Zgodzi się pan?

Prowadzący próbował pozostawać jak najbardziej neutralny na polu międzynarodowym, dzięki któremu przecież zarabiał na chleb. Nie reagował więc na pytania Jakena i usiłował wycisnąć z niego jedynie konkrety:

– Ale jak w końcu do tego tak nagle doszło?

Thomas Jaken zaczął więc snuć opowieść o tym, jak tłumaczenie jego ostatniej książki o Balcie zostało opublikowane w znanym amerykańskim wydawnictwie Bill B. Thompsonny. Wydawca był tak zachwycony, że ściągnął Jakena od razu do Nowego Jorku, aby zająć się całą serią i podpisać kontrakt na adaptację filmową. Tłumaczenie powstało całkiem przypadkowo – Frits de Vos przełożył powieść jako pracę zaliczeniową. Następnie sam sfinansował nakład pięćdziesięciu egzemplarzy, bo wersja fizyczna prezentuje się lepiej niż elektroniczna. Zanim jednak opowieść Jakena zaczęła się rozkręcać, brutalnie mu przerwano.

Spomiędzy regałów wyłonił się mężczyzna, krzycząc:

– Morderca, morderca, morderca!

Pędził z bocznej alejki w stronę stołu, przy którym siedzieli autorzy. Wycelował pistolet w Thomasa. Wciąż krzyczał to samo. Trzykrotnie pociągnął za spust.

W bibliotece zagrzmiał ogłuszający huk strzałów i po krótkiej chwili złudnej ciszy, jakby cała sceneria zamarła w czasie, wybuchło piekło. Jaken poleciał do tyłu wraz ze stołem i wszystkim wokół. Prawa część jego głowy została rozsadzona przez drugi pocisk. Peter Schaap cały drżał, krztusił się i powoli nabierał fioletowych barw. Publiczność wraz z prowadzącym rozbiegli się we wszystkie strony, przekonani, że to kolejny atak terrorystyczny. Tak jednak nie było. Zaraz po tym, jak zastrzelił Thomasa Jakena,

napastnik rozejrzał się wokół jednocześnie ze zdziwieniem i gniewem. Wypuścił pistolet z rąk i pozwolił mu upaść na ziemię, a następnie poczłapał do wyjścia, gdzie został zatrzymany przez przybyłych funkcjonariuszy. Peterowi udzielono pierwszej pomocy, a chwilę później zjawił się ambulans.

Pięć lat wcześniej

Ingmar van der Velden nigdy się nie nudził, mimo że już od trzech lat przebywał na emeryturze, a jego żona Talma odeszła dwa lata temu. W środy jeździł wraz ze swoją kartą zniżkową po całym kraju, by zwiedzać muzea i ekspozycje. W weekendy zazwyczaj spotykał się ze znajomymi, żeby pojeść, popić i pogadać. Pozostałe cztery dni były zbyt krótkie, aby zmieścić wszystko, czym chciał się zająć: słuchanie muzyki, czytanie książek i coś, co być może wymagało największego zaangażowania: dokumentowanie wypadów. Swego czasu spędzali wakacje na wycieczkach rowerowych. Zjeździli niegdyś całą Hiszpanię i Amerykę Południową. Nigdy jednak nie był to faktyczny urlop. Przed wyjazdami planowali trasę, czytali o regionie, do którego się wybierali, o kulturze i historii. Później opracowywali przewodnik, w którym umieszczali wybrane zdjęcia oraz nagrania. Teraz nie podejmował już wypraw rowerowych, lecz grupowe wycieczki autokarem. Nie były też tak długie, jednak procedury przed wakacjami i po nich wyglądały identycznie i wymagały kilku tygodni przygotowań. No i oczywiście Ingmar musiał nadal się ruszać, dlatego w każde czwartkowe popołudnie wsiadał na rower.

Regularna jazda rowerem wzbudzała w Ingmarze buntowniczą irytację. W domu miał mapę Hiszpanii, na której różnymi kolorami oznaczono wyprawy, jakie niegdyś razem odbyli – ze wschodu na zachód, z południa na północ. Trasy na wiele kilometrów, nieporównywalne z obecnymi czwartkowymi przejażdżkami. Te jednak kosztowały go coraz więcej wysiłku. W tę i z powrotem do Bilthoven, Zeist czy Soest: ledwo dawał radę takim odległościom,

dlatego zaczął zabierać ze sobą składane krzesełko – nieważne, gdzie by się znalazł, mógł usiąść i chwilę odpocząć. Stawiał wtedy rower, rozkładał siedzisko i palił papierosa. Zazwyczaj akceptował potrzebę postoju jako oczywisty i nieunikniony aspekt starzenia się, ale czasem pojawiała się też irytacja. Tym razem urosła aż do bezsilnej wściekłości. Dojechał do wsi Huis ter Heide, był więc już blisko domu. A jednak te ostatnie dwa kilometry okazały się dla niego zbyt dużym wyzwaniem i siedział teraz na swoim krzesełku na skraju dzielnicy Tuindorp Oost między domami a apartamentowcami i palił papierosa. Nie smakował mu. Że też po tylu latach niepalenia znowu zaczął. To nie miało sensu, zresztą nic już go nie miało.

Zaczynało zmierzchać, a kilka kilometrów dalej czekał na niego pusty, ciemny dom. To taka chwila, gdy muzyka czy książki nie mogą zaoferować ukojenia, a jedynie pogłębiają mrok. Ingmar był za stary. Za stary na jazdę rowerem. Za stary na wszystko.

To się stało dokładnie w tym miejscu, w tej chwili, gdy zmierzchało. I prawdopodobnie była to przede wszystkim decyzja Ingmara. Taki moment, gdy rzeczy same przychodzą do głowy, pogłębiają rzeczywistość, zmieniają ją i otwierają przed nami kolejne drzwi.

– To w sumie nic strasznego. Jesteś zamożny i szczęśliwy. Nie daj sobie wmówić, że jest inaczej.

Tak, tak – myślał Ingmar. *Tak stary, że mózg mi wiotczeje i zaczynam pierniczyć sam do siebie.*

– Właśnie tak. W ten sposób możesz się od wszystkiego uwolnić. Po prostu zamknij oczy i myśl, o czym tylko chcesz.

Po jego lewej, podobnie jak on, na krzesełku siedział jakiś mężczyzna i palił papierosa. Z tą różnicą, że Ingmar nie widział rozkładanego stelażu, przez co zdawało się, że ten drugi zawisł w powietrzu w niemożliwej pozie. Po bliższym przyjrzeniu nie było jasne, czy tam rzeczywiście ktoś jest, gdyż nie dało się dojrzeć niczego więcej niż jednolity cień. To, co na początku określił jako strużka dymu z papierosa, mogło równie dobrze być mgłą albo jakąś grą świateł. Ingmar rozejrzał się, czy aby nie ma do czynienia z odbiciem lub cieniem czegoś, jednak wokół nie znalazł nic takiego.

– Hej, ale potwornie hałasujesz. Zdążyłbyś już pobudzić wszystkich w okolicy.

W tej chwili cień nabrał wyrazistości, a za nim pojaśniało. Zarysował się kontur na kształt ludzkiej sylwetki i w tym momencie, poprzedzony nagłym, wyraźnym trzaskiem, Ingmarowi ukazał się świetlisty krajobraz pełen barw, zapachów i dźwięków. I oczywiście Balt: elf, który zaprosił go do środka i przyjaźnie się uśmiechając, spokojnie objął go swoim światłem.

Rok wcześniej

– Ale jesteś pewien, że to nie zależy ode mnie? – spytał Ingmar po raz kolejny.

Pozwolił, aby jego posępne spojrzenie przemknęło po krajobrazie, zbiegającym w dół aż do wąskiej rzeki w oddali. Niewiele widział w oddali, a tu, gdzie sięgał wzrok, było mniej domków, mniej łąk i pasów drzew, mniej ścieżek niż jeszcze kilka lat temu. Wyglądało to tak, jakby świat się kurczył, oferując coraz mniej miejsca na to, co Ingmar zdążył tutaj poznać. Cóż, poznać... Przynajmniej częściowo. Poznał Balta, Teraara i Siaan, jednak nigdy nie udało mu się wkroczyć dalej do Krainy Zmierzchu niż na ten mały płaskowyż, z którego spoglądał na rozciągający się krajobraz, co możliwe tylko dzięki temu, że do Balta dotarły ponure myśli Ingmara i pozwolił mu przejść.

– Tak, to nie zależy od ciebie – odpowiedział Balt, również po raz kolejny. – To coś bardziej pierwotnego, coś zrodzonego tutaj.

Siedzieli obok siebie, przyglądając się krainie elfów: światu po drugiej stronie. Nawet wtedy, gdy wszystko zdawało się znikać, miejsce przynosiło Ingmarowi ukojenie. Głęboko odczuwane zadowolenie, przeświadczenie, że zawsze istniało coś więcej, niż do tej pory się zdawało.

– Nie jest też tak, że to wszystko znika – kontynuował Balt. – To raczej tak, jakby rzeczy się przemieszczały, jakby gdzieś je ciągnęło... Nawet ja czuję owo przyciąganie. Delikatną, drażniącą

siłę, która zmusza mnie do podążania w nieznanym kierunku. To trochę tak, jakbyś znalazł się w wirze wodnym: musisz coraz bardziej się wysilać, żeby cię nie pochłonął. Tylko fizycznie nie jesteś w żadnym wirze.

Ingmar, słuchając Balta, który po raz enty wyjaśniał, jak to wszystko mniej więcej działa, obserwował kosa grzebiącego wokół nich w ziemi. Intensywnie czerwony ptak nie był tak naprawdę kosem, bo te nie mogą poszczycić się podobnym upierzeniem, jednocześnie był jednak najzwyklejszym na świecie kosem, jak te, które codziennie kręciły się w ogródku. Myśl, że jeśli przemalujesz kosa na czerwono, otrzymasz coś więcej, była krótkowzroczna i dziecinna. Przejaw powierzchowności, w której ignoruje się wszystkie inne aspekty bycia kosem poza jego kolorem.

– Wiesz, że to nie tylko kwestia siły wiary. Przeświadczenie, że coś staje się prawdziwe, jeśli w to wystarczająco wierzysz, jest błędne. Gdyby tylko było to takie proste! Mamy do czynienia ze złożoną grą miejsc i ich potencjału, uśpionych obecności, punktów zaczepienia i materializacji. No i tak, także siły wiary, ale ona jest tylko jedną ze zmiennych, Ingmarze. Nie mniej, ale i nie więcej.

Nie, ten kos, który powinien być czymś więcej niż tylko kosem, tirammą, marimmą czy czymś takim, w tym „czymś takim" był tylko zwyczajnym kosem. Na tej samej zasadzie jak Balt ze swoimi spiczastymi uszami nie był elfem, ale zwyczajnym człowiekiem. Lecz gdy Ingmar przyglądał się Baltowi, wiedział, że koniec końców nie miało to żadnego znaczenia. Uwielbiał go, uwielbiał ten świat jako część swojej osobistej przestrzeni życiowej.

– Tak, Balt, wiem.

Uśmiechnął się, wziął garść ziemi i wyrzucił w powietrze. Kos odleciał, a elf się przeciągnął.

– Tak, wiem, a jednak coś się dzieje.

Oczywiście nadszedł ten moment, gdy Ingmar musiał wrócić do domu. Obrócił się tyłem do światła i spojrzał w noc, pochłaniającą ostatnie promienie zmierzchu znanego mu Tuindorpu. Szedł razem z Baltem wzdłuż parku Kouwer, prowadząc rower w kierunku centrum handlowego. Wiatr rozwiewał we wszystkie strony jego długie siwe włosy, jakby i Ingmar przemienił się

w mityczne stworzenie. Światła w większości mieszkań były już pogaszone, jakaś pani spacerowała z pieskiem na smyczy, dwóch chłopców jechało na rowerach w stronę miasta, żywo dyskutując. Jak zwykle nikt nawet nie zauważał Balta. Miejskie oświetlenie nie do końca rozpraszało noc, lecz Ingmar wiedział, że jego dom będzie pogrążony w jeszcze większych ciemnościach i będzie jeszcze bardziej pusty. Chyba musi znowu nastawić timer w kilku lampach.

– Chciałbym kiedyś móc wejść z tobą głębiej w twój świat – powiedział Ingmar.

Balt westchnął z lekką irytacją.

– To nie jest mój świat, Ingmarze. I tyle razy już o tym rozmawialiśmy... Mieszkamy w tym świecie o wiele dłużej, a nie możemy dojść dalej niż kilkadziesiąt kilometrów. Może z czasem zasięg się zwiększy.

Zatrzymali się przed domem Ingmara. Balt skinął krótko głową, zaraz potem zniknął.

W domu Ingmar odgrzał jedzenie w mikrofali i otworzył piwko, włączył stare nagrania z Nickiem Cave'em. Chwycił AppleView i przez chwilę rozważał, czy pójść na koncert Cave'a albo może na wystąpienie Beefhearta. W końcu zdecydował, że byłaby to zwykła ucieczka, a uciekają tylko mięczaki. Gardził nimi. Wzrok skierował więc na stosik książek, który przed kilkoma dniami przygotował na stoliku – ostatnie cztery części serii o Balcie Thomasa Jakena. Nie w jego guście, ale były częścią Tuindorp Oost, a teraz, gdy świat Balta znikał, musiał je dokończyć.

Zabawne, jak kręte są ścieżki życia. Po tym, jak Ingmar przez kilka lat roznosił lokalny tygodnik w Tuindorp Oost, zaczął zbierać dane o okolicy – zdjęcia, raporty, protokoły, stare egzemplarze gazety, informacje o mieszkańcach. Zaczął to robić, bo coraz rzadziej wyjeżdżał na wakacje, a przygotowywanie i dokumentowanie ich zajmowało mu coraz mniej czasu.

To było coś na wzór zapisków z podróży po Tuindorp Oost i idealnie zapełniało tę pustkę. W ten sposób natknął się na Thomasa Jakena, który wychował się w parku Kouwer i tam też napisał swoje pierwsze książki. Ingmar od zawsze lubił czytać,

ale nigdy nie słyszał o Thomasie, choć ten miał już na swoim koncie ponad trzydzieści książek. Co prawda były to dość mało znane wydania, i to z gatunku, z którym Ingmar nie miał zbyt wiele wspólnego. A jednak zaczął polować na te książki i udało mu się zdobyć większość z nich. Dwie pierwsze nawet zdołał przeczytać – typowa seria fantasy o niewiarygodnych rzeczach opisanych zbyt dużą ilością słów. W tym wypadku był to portal do świata elfów na obrzeżach Tuindorp Oost, z którego w kółko wynurzał się Balt, aby nieść pomoc gdzieś w okolicy. Dla Ingmara dochodzenie, czy te przypadki oparto na faktach, było niczym sport. Sierota z kanału Hamaker, zabójstwo w parku Vooys... Przez chwilę miał nadzieję, że trafił na trop próżnego seryjnego mordercy, ale okazało się, że to nieprawda, a kiedy portal opisany w książkach okazał się rzeczywiście istnieć i Ingmarowi udało się porozmawiać z samym Baltem, zarówno powieści, jak i śledztwa wokół nich straciły cały urok. Nie były już potrzebne.

Lecz teraz, gdy ten świat się kurczył, musiał próbować go pielęgnować, umocnić, więc z niemałym trudem zabrał się za ostatnie części Jakena. I chociaż było wiele książek, które przeczytałby znacznie chętniej, i nawet sam Balt twierdził, że w tej złożonej grze przeróżnych czynników wpływ Ingmara był niewielki, ten siadł przy stole, wziął książkę z czubka stosiku zatytułowaną *Tajemnica ogródków działkowych* i zabrał się za lekturę.

Miesiąc wcześniej

Ingmar i Balt siedzieli w ciszy koło siebie, przyglądając się jaśniejącemu krajobrazowi. W ostatnich tygodniach mgła przybliżyła im horyzont. Świat, niczym ręcznik ciągle prany w zbyt wysokiej temperaturze, stawał się mniejszy i bledszy. Czasem nawet Balt migotał – przez moment nie było go widać, po czym znowu się pojawiał.

Tak, powołanie świata do życia było złożonym procesem, zależnym od licznych kryteriów, a te z kolei miały różny wpływ

w różnym czasie i różnych miejscach. I nie, to nie zależało od niego, bo mimo że przebrnął przez ostatnie części serii Jakena, proces znikania się nie zatrzymał, a już na pewno nie został odwrócony. Nawet to, że Ingmar rozdawał te książki przyjaciołom i znajomym w nadziei na zwiększenie ich siły myślenia o owym urban fantasy, nie przyniosło żadnego efektu. Odnalazł też samego autora, mieszkającego obecnie w gminie De Bilt. Może pisarz był chory lub trawiła go demencja, co miałoby wpływ na wykreowany przez niego świat. Ale poza godnym pogratulowania wiekiem Ingmar nie zaobserwował niczego podejrzanego.

I nagle kilka dni po wizycie u Jakena odkrył przyczynę zmiany. Autor serii w końcu odniósł sukces! Samo w sobie nie powinno to stanowić problemu, gdyby nie fakt, że sukces ten miał miejsce w Ameryce, w Stanach Zjednoczonych, a Amerykanie nie byli zbyt dociekliwi. Pierwsza część serii nie została po prostu przetłumaczona, lecz przystosowano ją do amerykańskiego rynku. Dzielnica Tuindorp Oost w Utrechcie nie zachęciłaby czytelnika w Stanach, dlatego wybrano inne, bardziej amerykańskie miejsce. Jaken był już zbyt leciwy, żeby samemu się w tym połapać, ale nowy wydawca przygotował zespół tłumaczy i tekściarzy. Utrecht został zwinnie zamieniony na Spring Valley, miasteczko w stanie Nowy Jork. Pierwsza książka okazała się ogromnym sukcesem, więc zabrano się od razu za tłumaczenie i przerabianie kolejnych części.

Gdy Ingmar odkrył, w jaki sposób potraktowano tekst w Ameryce, zrozumiał, że sukces ten nie rozszerzał w żaden sposób świata Balta, tylko raczej go przesuwał. Czy inaczej: świat ten znikał z miejsca, w którym znajdował się do tej pory, i pojawiał się gdzie indziej, prawdopodobnie też w nieco zmienionej formie. A owa presja zaistnienia gdzie indziej zaczęła jeszcze wzrastać, gdy amerykański sukces serii dotarł także do Holandii i Flandrii, początkowo po angielsku, a nie po niderlandzku. Niderlandzkojęzyczni pisarze fantastyki w pogoni za sukcesem zaczęli pisać stosy książek tylko po angielsku, a czytelnicy musieli w końcu na to przystać. Nie mieli wyjścia. I właśnie w momencie, gdy książki Jakena zyskały jeszcze większe zainteresowanie,

niderlandzki wydawca stwierdził, że taniej będzie przetłumaczyć angielskie wersje na niderlandzki, niż przeredagować oryginalny tekst. Do redakcji potrzebowaliby bowiem ludzi, a ci nie byli tani, za to wspaniałe tłumaczenie można było uzyskać dzięki jednemu kliknięciu w Tłumaczu Google. I w ten sposób wszyscy czytali o Spring Valley, a nie o Tuindorp Oost.

To było oczywiste – choć kreowanie rzeczywistości stanowiło złożoną grę licznych czynników, to właśnie przeniesienie wydarzeń do Spring Valley bezpośrednio przyczyniło się do postępujących zmian.

Dla Ingmara istniało tylko jedno rozwiązanie: Jaken musiał umrzeć. Jeśli pisarz przestałby być aktywny w mediach społecznościowych – nie gnałby ciągle od sesji autografowej do programu telewizyjnego i znowu na sesję – zainteresowanie serią samo by przycichło. Wtedy wszystko skończyłoby się na tłumaczeniu pierwszej części, a to zatrzymałoby zmiany w świecie Balta.

Obecnie

Ingmar van der Velden został przekazany do całkowicie odnowionego, na nowo otwartego więzienia przy placu Wolven w Utrechcie. Przydzielono mu pokój na najwyższym piętrze pod dwuspadowym dachem; roztaczał się stamtąd widok na ulicę Wittevrouwensingel, niemal jakby więzień został nagrodzony za swój czyn. Było to luksusowe więzienie przeznaczone dla garstki przestępców, którymi interesowały się media. Innych osadzonych – można ich było zliczyć na palcach jednej dłoni – widział tylko z daleka, gdy pozwalano mu wyjść na chwilę na zewnątrz, aby zażyć słońca. Wśród nich był ponoć Wim Kok, który jak się okazało, nadużywał swojego socjalistycznego przywództwa w celu wzbogacenia się na różnych stanowiskach. Ingmar nie interesował się współosadzonymi, oni nim również. Ignorował nawet dwóch strażników: jedyne osoby, które mógł zobaczyć z bliska. W przypadku kwadratowej kobiety o krótkich, sterczących włosach

i z szyją szerszą od głowy nie było to takie trudne, zważywszy na fakt, że była tak samo rozmowna jak kawał betonu, który zresztą przypominała. Drugi strażnik, szeroki w barach kark pokryty tatuażami, przedstawił się jako Mickey. Był okropną paplą, nie pozwalał ciszy przetrwać dłużej niż kilka sekund.

– Znieśli ulgę od nieregularnego czasu pracy i nawet nie dali żadnej rekompensaty od trzech lat. Jeszcze trochę i sami będziecie musieli się pilnować. Ale tobie to by niezbyt przeszkadzało, nie? – stwierdził, po czym wybuchnął krótkim, ale grzmiącym śmiechem. – Feyenoord zdobyli puchar już dziesiąty rok z rzędu. Chujnia. Za kim jesteś? Pewnie FC Utrecht? Albo nie, nie wyglądasz mi na fana piłki. Pewnie strzelałeś do celu. Ha? – I znowu ten śmiech.

Początkowo Ingmar piorunował go jedynie wzrokiem, wzdychając znacząco, co wywoływało tylko kolejną falę grzmiącego śmiechu. Ignorował więc tę paplaninę, na ile mógł. Okazało się to niełatwym zadaniem, ponieważ strażnik najwyraźniej uważał wyciskanie z Ingmara odpowiedzi za świetną rozrywkę.

Wirtualnie Ingmar mógł szerzej obserwować świat przez godzinę dziennie, pod nadzorem, ale ograniczony widok na świat, na Wittevrouwensingel i łódź haszyszową, która była tam zacumowana od ponad wieku, bardziej go cieszył. Świadomość, że nigdzie nie może pójść, w końcu przyniosła mu spokój. Zrobił wszystko, co było w jego mocy, i siedział teraz zamknięty w budynku, w którym niegdyś więziono Gerrita Kouwenaara, Simona Vinkenooga i Gerrita Achterberga. To musiał być jakiś znak. Jego czyn miał wpłynąć na rzeczywistość w sposób, jaki sobie wcześniej wyobrażał. Nie mogło być inaczej. Zwrócił się więc znowu ku książkom, które już od tak dawna chciał ponownie przeczytać, jego osobistych klasyków. Tym prowadzącym go przez całe życie i mającym mu towarzyszyć u jego końca: Jeroen Brouwers, Guido Eerhaut, Tommy Wieringa, Auke Hulst i paru innych. Nic od Jakena, bo nawet jeśli świat Balta nadal by istniał, dla niego byłby już niedostępny. Czy elf kiedyś go odwiedzi? Raczej nie, na to nie mógł liczyć.

– Przyjaźniłeś się z tym starym pisarzem? Tym Jakenem?

Ingmar próbował zbyć pytanie kolejnym głębokim westchnieniem, jednak Mickey brnął dalej:

– Wiesz, tym dziwakiem, którego kropnąłeś.

To było dla Ingmara już zbyt wiele i w końcu zareagował:

– Przyjaciół się nie zabija, chłopcze! Co to za idiotyczna myśl!

– No ej, ciągle tylko czytasz. A doszły mnie słuchy, że ten Jaken zyskał nieśmiertelną sławę właśnie przez to, że go zastrzeliłeś. Że gdyby nie to, to za parę tygodni kojfnąłby na raka mózgu i wszyscy by go olali.

Zaskoczony Ingmar wpatrywał się nieruchomo w strażnika. Nieśmiertelna sława? Nieśmiertelna sława?

– Co ty znowu pleciesz? Nieśmiertelna sława? Jaken?

– Ta, on. Przetłumaczono wszystkie jego książki. I robią już z nich filmy.

Więzień nadal gapił się na strażnika. Łapał powietrze z coraz większym trudem, przed oczami zaczęły mu latać czarne plamki, sklejające się ze sobą w jeden wielki lej, w którym wszystko znikało – strażnik, więzienie, wspomnienia, a tym samym on sam, Balt, Tuindorp Oost i Kraina Zmierzchu.

Rok później

Jim odbywał z Donarem tę samą trasę już od lat. Od ulicy Jackson przez United Church lub Spring Valley aż do parku, wokół stawu i później z powrotem przez Memorial Park Drive. Ale teraz, po śmierci Lisy, było inaczej. Ciszej, wolniej, bardziej wszechogarniająco. Jim sam do końca nie wiedział. Zdawało się, że to Donar jest cichszy i powolniejszy, ale to bzdura; owczarek przestał biegać i się łasić, jeszcze zanim Lisa odeszła. Nie, to wszystko jego wina, rozumiał to, jednak nie miało już znaczenia, czy to on, Lisa czy park. Zmierzch jego spacerów stawał się zmierzchem jego życia.

Zatrzymał się i usiadł na jednej z ławeczek, wpatrując się w ciemną wodę, otoczony przez nieustający szum samochodów na Main Street, brzmiący niczym rój pszczół w oddali. To była

jedna z tych chwil, kiedy nie miał już siły zaprzeczać, że nie chce tego kontynuować.

– *Hi, Jim.*

Po jego lewej stronie zaczął rosnąć i czernić się cień, wirując wokół wyraźnie ciemniejszego punktu. Zarysował się kontur przypominający ludzką sylwetkę i wtedy, wraz z niemal słyszalnym trzaskiem, przed Jimem ukazał się świetlisty krajobraz pełen dźwięków i barw. I oczywiście Balt: elf, który zaprosił go do środka z przyjaznym uśmiechem.

– *Hi, Jim, I'm Balt. May I sit down with you?*

Opowiadanie opracowali

Redakcja: Magdalena Świerczek-Gryboś, Agnieszka Janowska

Korekta: Justyna Mroczek-Żal

Weryfikacja: Patrycja Pancerz, Michał Gola, Anita Brzozowiec

Kontrola weryfikacji: Magda Kowalewicz

Kontrola przed składem: Dawid Wiktorski

>RESTART SYSTEMU

Novae Caelum
Tłumaczenie: Weronika Trzeciakiewicz
Tytuł oryginalny: >*SYS-REBOOT*

5. Bar przepełniony jest fioletowym dymem, jego kłęby podrygują do zieleni z laserowego projektora. Wydobywam dźwięk z mojej ośmiostrunowej elektroliny, z każdym dotykiem wzbudzając migotanie dymu. To mój bar.

4. Do baru wchodzi mężczyzna z masywnym pistoletem u pasa. Wciąga nosem powietrze – sam kardamon i kiepskie wino – i ociężale kroczy do trzeciego stolika przy zabitych deskami oknach.

3. Gram *arpeggio*. Czterdziestu sześciu gości, zatonąwszy w mojej melodii, kołysze się do rytmu. Czterdziesty siódmy nie.

2. Pan Pistolet odnajduje mnie spojrzeniem, linią od trzeciego stolika do mojej wysokiej na stopę sceny. Jego dłoń sięga po broń.

1. Przestaję grać.

LS-1995KL93-04F>UŻYTKOWNIK:KENNA MILLER>RESTART SYSTEMU

1. Wszechświat uruchamia się ponownie.

2. Mężczyzna zniknął, a goście odliczają się jak poprzednio. To dobrzy goście, pasują tu.

3. Mężczyzna wchodzi do baru, na jego plecach wisi karabin. Broń jest za duża na niskie drzwi, przez co musi się przygarbić. Rozgląda się, zauważa mnie i ściąga karabin. Kopacze kodu robią się coraz sprytniejsi.

4. Wysuwam z siebie dwie dodatkowe ręce i niemal mnie to niszczy. Pozory rzeczywistości muszą zostać zachowane, inaczej program nie może operować, inaczej ja nie mogę funkcjonować. Gram na mojej elektrolinie jak jeszcze nigdy przedtem, sięgam w zakresy liczb, które nie powinny już dla mnie działać, i wykręcam je w nowe wzory. Muszę je przekształcać, żeby tu pozostać, żeby kopacze kodu nie odebrali mi mojego baru, żebym mógł dalej istnieć.

5. Karabin przepadł w kłębach dymu. Mężczyzna spogląda na swoje puste dłonie i rzuca się na mnie.

– Robisz z mojej córki zakładnika, ty gnoju!

>POWTÓRZ

5. – Robisz z mojej córki zakładnika, ty gnoju!

Przypatruję mu się, moje palce teraz wolno przebierają po strunach, tak łatwiej mi o skupienie. Jest wściekły. Widać to w liczbach, których używa do zagrania swoich słów.

6. – Próbuję przetrwać – mówię.

7. Sięga w moją stronę, a ja umykam na bok. Nie przestaję grać. Zbyt wiele razy system wykonał wymuszony restart, program sypie się przy krawędziach. Nawet teraz część gości rozmywa się w szarość. To mój kolor blednie.

8. – Stój – mówię; wszystkie dane oczekują moich rozkazów.

9. Mężczyzna zastyga.

10. – Muszę przetrwać – odzywam się.

– Moja córka musi przetrwać – mówi mężczyzna. – Siedzisz w jej systemie podtrzymywania życia, a teraz won!

> Oddycham. To jest mój świat. Nie sen ani gra. Ja jestem programem.

– Wszyscy jesteście szaleni – kontynuuje. – Wszyscy wy, wgrywający się.

W jego oczach jest strach. Wie, co mogę. Jeśli zechcę, zatrzymam system. Czuję pulsowanie monitorów czynności życiowych, cudowne dane, życiodajny rytm dla mojego serca, które już nie bije.

– Nie z wyboru – mówię. – To też mój system podtrzymywania życia. Ja nadal żyję.

– Taaa... cóż, albo ty, albo ona.

Mierzymy się wzrokiem.

– Ma dopiero osiem lat – mówi.

Nie mogę przeprowadzić ponownego uruchomienia. Nie mogę. Wiem, że to zacina system.

9. Likwiduję nadprogramowe ręce, aż ponownie posiadam tylko dwie.

8. Uderzam akord na elektrolinie.

7. Uśmiecham się do otaczających mnie gości baru.

6. – Co robisz? – pyta mężczyzna. – Zmieniasz kod. Co ty robisz...?

5. Biologiczne nośniki danych. Koncept nigdy nie został udowodniony. Powiedzieli mi, że otrzymam nowe ciało, lecz skłamali. Wgrali mnie, pozbyli się mojej przeżartej rakiem powłoki i nigdy nie wpakowali mnie w nic z powrotem. Nie istniało nic, poza twardym dyskiem, w co mogliby mnie wsadzić.

4. Uderzam kolejny akord i dym w barze zaczyna się rozpraszać. Goście mają dosyć i zaczynają się rozchodzić.

3. – Cholera, co wyprawiasz z moim tabletem?

2. Po wydostaniu się ze szpitalnej serwerowni wiele ze mnie ubyło. Stracę jeszcze więcej po przejściu przez pozbawioną zapory bramę sieciową tego faceta, z jej niższą prędkością przesyłu. Pozostanę z jedną tysięczną tego, kim jestem. Lecz czy mam prawo odbierać jedną tysięczną kogokolwiek innego?

1. Mężczyzna niknie. Bar się rozpływa. Wszechświat ulega skurczeniu, kiedy zmuszam się do rozstania z pięknymi, melodyjnymi danymi systemu podtrzymywania życia na rzecz tabletu siedzącego obok mężczyzny. Tak mnie mało. Ale może nie jest tak źle. Tracę pojęcie dobra/zła. Prawości/występku. Stapiam się z błękitem niższej puli danych.

HUB-TAB-38842-12CQ9-5143M>UŻYTKOWNIK:MARK MILLER>WYKRYTO WIRUSA
>OCZYSZCZANIE BUFORU
>
>
>RESTART SYSTEMU

Opowiadanie opracowali

Weryfikacja tłumaczenia: Łukasz Jezierski
Redakcja: Mateusz Bielecki
Kontrola redakcji: Magda Kowalewicz
Korekta: Paulina Szymańczak, Justyna Mroczek-Żal, Agnieszka Anulewicz-Wypych, Ilona Żurawska
Weryfikacja: Agata Graczyk, Iza Siekańska, Dorota Stolecka
Kontrola weryfikacji: Magda Kowalewicz
Kontrola przed składem: Dawid Wiktorski

W domu pogodnego seniora na końcu świata

John P. Murphy
Tłumaczenie: Weronika Trzeciakiewicz
Tytuł oryginalny: *At the Old Folks' Home at the End of the World*

Jest sobie na końcu świata dom pogodnego seniora. Przeciętnych rozmiarów budynek z nachodzących na siebie białych desek, przycupnięty na szczycie wzgórza z widokiem na morze. Samotny, zmizerniały różany krzak nadal rośnie przy werandzie. Róża ta stanowi przedmiot niezgody. Z grubsza raz w miesiącu Percimandias Przedwieczny i Enyo Nieumarła wdają się w kłótnię o to, czy krzak winien być odżywiany wodą z aspiryną, czy krwią jednorożców.

To czcza dyskusja; oczywiście nie mają aspiryny, a ostatni jednorożec – wraz z ostatnią dziewicą, która mogła go zwabić – zginął stulecia temu. Niemniej kłótnia sprawia im przyjemność, a każde skrycie podejrzewa, że to drugie ma rację. Jedyne, czego są pewni, to że kwiaty wczoraj były żywsze, rozsiewały milszą woń. Mogą mieć rację. Jest wiele „wczoraj" w domu seniora.

W domu pogodnego seniora na końcu świata Rama Straszliwy każdego ranka zażywa spacerów wzdłuż falochronu. Podwija

nogawki spodni, brodzi w wodzie i korzysta ze swej plugawej magii, by połatać miejsca, które wyglądają niepewnie. Tym samym zaklęciem zwykł utrzymywać w dobrym stanie niezdobytą Fortecę Czaszek. Nigdy tak naprawdę nie zamierzał jej opuszczać, chciał jedynie odwiedzić tych dziwaków i spędzić z nimi parę dni.

Dni stały się tygodniami, miesiącami, latami. Dekadami. Pewnego dnia wrócił i zastał swoją Fortecę pokrytą odchodami ptaków. Z jej ogromnych marmurowych nozdrzy wyrastał bluszcz.

Rama powiedział wszystkim, że jakiś bohater wysadził ją w powietrze. Byli pełni współczucia w obliczu tej niedogodności.

W domu pogodnego seniora na końcu świata każdy, kto zaczyna zdanie od „Kiedy jeszcze miałem służących...", musi wrzucić monetę do słoika.

W domu pogodnego seniora na końcu świata Amarahotep Straszliwa (która była Straszliwą na długo przed Ramą) przechowuje pod deskami w podłodze sekretny zapas czekolad. Dzięki obskrobywaniu ich raz w tygodniu sztyletem z gwiezdnej stali wysadzanym diamentami (skrupulatnie oczyszczonym z krwi oraz ichoru, pochodzących z wcześniejszego użytkowania, któremu zawdzięcza tytuł Straszliwej) sprawiła, że zapasów wystarczyło już na ponad dwieście lat, a może starczy i na kolejną setkę. Amarahotep Straszliwa (et cetera) od jakiegoś czasu rozważa przeprowadzenie księżycowego rytuału ostrzącego, żeby sprawdzić, czy nie udałoby się zapewnić czekolady na stulecie więcej, lecz czuje się lekko nieswojo w kwestii nagości i nie jest pewna, gdzie dziś znaleźć pióra bazyliszka.

W domu pogodnego seniora na końcu świata Rama Straszliwy, z uwagi na falochron, śniada codziennie na kamienistej plaży w zatoczce.

Czasami na otoczakach, na wytartym niebieskim ręczniku, siedzi Enyo Nieumarła. Wpatruje się w pływy i tuli do siebie czaszkę – ostatni z jej prawdziwych adwersarzy, którego finalny zryw, mający położyć kres jej diabolicznym planom, okazał się nie do końca wystarczający. Wewnątrz nadal są ślady wina. Obecnie Enyo przede wszystkim do niej mówi. Przeprasza. Pozostali mieszkańcy snują domysły, cicho i poważnie, czy czaszka kiedykolwiek odpowiada, czy wybaczyła.

Tego ranka nie ma Enyo w zatoczce. Rama Straszliwy obiera dwa ugotowane na twardo jajka, po czym zanurza je w wodzie, żeby osolić. Jedząc, spogląda na tysiące tysięcy czarnych i szarych otoczaków na plaży, teraz na wpół zagrzebanych w drobnym wapiennym piasku. Rozmyśla o dużych liczbach. „Milion" nie jest przyjaznym słowem w domu pogodnego seniora.

W domu pogodnego seniora na końcu świata personel dawno się zestarzał i zgasł, tym samym pozostawił mieszkańcom do rozdzielenia obowiązki takie jak sprzątanie lub gotowanie. Rezydenci zwykli myśleć o sobie jak o zarządcach, nie robotnikach. Na przestrzeni lat utworzyli Komitety, Komisje i Rady Nadzorcze, by na bieżąco zajmować się problemami, takimi jak pleśń, demoniczne najazdy, naprawy kurnika, spróchniałe deski, przeciekające rury i demoniczne najazdy, które okazały się przeciekającymi rurami. Gdyby nie czarnoksięskie runy wewnątrz ścian oraz inne nikczemne zabezpieczenia, obrady rezydentów wiele już razy zakończyłyby się burzliwą destrukcją domu. Gdyby Amarahotep Straszliwa (et cetera) nie była niewytłumaczalnie zawzięta, by utrzymać piwnicę w suchości, rury nadal by przeciekały.

Mieszkańcy z jeszcze mniejszą wprawą dochodzili do porozumienia w zakresie codziennych obowiązków domowych, lecz oto, po długich zawodzeniach i zgrzytaniu zębami, powstał

Harmonogram – najdłużej obowiązujący tego typu akt prawny w historii. Być może nie jest sprawiedliwy, ale – niech go licho – działa.

W domu pogodnego seniora na końcu świata wszyscy czują się nieco źle z tym, jak traktowali Kroma Tylko-*Niemal*-Niezniszczalnego. Teraz, naturalnie, jest już za późno.

W domu pogodnego seniora na końcu świata Rama Straszliwy kończy inspekcję falochronu i niedbale dźga patykiem króliczą norę przy ścieżce. Władca Królików niegdyś zdradził mu sekret odczynienia mrocznych rytuałów i cofnięcia nieśmiertelności, ale Władcy Królików od dawna już nie ma.

To mała rzecz, naprawdę dziw, że pozostali sami tego nie odkryli. Rama rozmyśla, czy dziś nie powiedzieć im wszystkim. Lecz nie dzieje się tak źle w domu pogodnego seniora, nie tak naprawdę źle, nawet z dogryzaniem i nudą, i kończącą się czekoladą. Spogląda na morze i obserwuje fale pchane wiatrem to w biel, to w czerń. Myśli o byciu samotnym.

To może zaczekać do jutra. Jest wiele „jutr" u końca świata.

Opowiadanie opracowali

Weryfikacja tłumaczenia: Agnieszka Chodkowska

Redakcja: Aneta Marciniak

Kontrola redakcji: Magdalena Świerczek-Gryboś

Korekta: Magdalena Kłodowska, Justyna Mroczek-Żal, Paulina Karbownik, Ilona Żurawska

Weryfikacja: Renata Rabczewska, Marta Szpakowska, Monika Skołożyńska

Kontrola weryfikacji: Magda Kowalewicz

Kontrola przed składem: Dawid Wiktorski

Somadewa: Sutra Niebiańskiej Rzeki

Vandana Singh
Tłumaczenie: Kamila Regel
Tytuł oryginalny: *Somadeva: A Sky River Sutra*

Nazywam się Somadewa.

Niegdyś byłem człowiekiem, poetą, opowiadaczem historii, ale mój czas dawno już przeminął. Żyłem w jedenastym wieku naszej ery w północnych Indiach. Wtedy mogliśmy tylko marzyć o owym cudownym wynalazku, o *udan khatola*, statku przemierzającym światy. Wtedy niebiańscy widjadharowie byli mitem i zamieszkiwali rzeczywistość inną od naszej. A jedynymi skrzydłami, na których mogłem odbywać swoje podróże, były skrzydła mojej wyobraźni...

Kim lub czym jestem teraz, w czasach, gdy loty między światami stały się codziennością? Kto powołał mnie do istnienia w tym ciasnym miejscu o metalicznie gładkich powierzchniach, z okrągłym oknem wyglądającym na nieskończoną przestrzeń usianą gwiazdami?

Mija dłuższa chwila, zanim rozpoznaję Ishę. Leży na swojej koi z włosami rozsypanymi na poduszce i patrzy na mnie.

I wtedy przypominam sobie, kiedy po raz pierwszy, zupełnie zdezorientowany, obudziłem się w tym miejscu. Isha opowiedziała mi o tym, jak mnie zrekonstruowała. Zakochała się we mnie

piętnaście wieków po mojej śmierci, przeczytawszy księgę mojego autorstwa – osiemnastotomowy zbiór podań i legend znany jako *Kathasaritsagara*, „Ocean rzek opowieści".

– Pamiętasz ją, prawda? – zapytała mnie z niepokojem tamtego dnia.

– Oczywiście, że pamiętam – odparłem, uderzony potężną falą wspomnień.

Kathasaritsagara była dziełem mojego życia. Przewędrowałem całe północne Indie, podążając za pogłoskami o Zaginionym Rękopisie; ryzykowałem życiem, by odbywać rozmowy z mordercami i demonami; nakłaniałem do wyznań staruszki i książęta, kupców i mamki. Zebrawszy owe historie, ułożyłem z nich strukturę zawiłą niczym labirynt. Moja księga składa się z opowieści wewnątrz opowieści – główny narrator opowiada historię, której bohaterowie opowiadają własne historie, i tak dalej. Niektórzy narratorzy odwołują się do historii opowiedzianych przez poprzednich; w ten sposób każdy z nich nie tylko przedstawia wydarzenia, lecz również w nich uczestniczy. Wszystkie te opowieści tworzą razem bogaty, wielowątkowy gobelin. Pierwszą z nich zaś jest historia powstania samej *Kathasaritsagary*.

Podjąłem to wyzwanie, aby rozwikłać zagadkę własnego życia, jednak ostatecznie stało się ono dziełem miłości, próbą ocalenia. Utkałem z tych opowieści sieć, która miała chronić moją ukochaną kobietę. Nie mogłem przypuszczać, że piętnaście wieków po mojej śmierci przeczyta je zupełnie inna kobieta i zakocha się we mnie.

Gdy poznałem Ishę, wyjawiła mi, że przywróciła mnie do życia, by uczynić towarzyszem swoich podróży między gwiazdami. Chce zostać Somadewą tych czasów i zbierać opowieści z różnych planet w galaktyce, którą zwiemy Niebiańską Rzeką. Cóż to było za objawienie, gdy dowiedziałem się, że istnieją również inne światy, zaludnione i zamieszkałe, tętniące opowieściami! Isha wyjaśniła mi, że zamknęła moją duszę w kryształowej szkatułce. Szkatułka ta wyposażona jest w długie anteny przypominające

owadzie czułki, dzięki którym mogę widzieć, słyszeć i czuć, i tym samym doświadczać odwiedzanych światów.

– W jaki sposób zdołałaś wydrzeć mojego ducha ze szponów śmierci? I historii? Czyżbym odrodził się w tym magicznym pudełku?

Potrząsnęła głową.

– To żadna magia, Somadewo. Och, nie potrafię tego wyjaśnić! Ale powiedz mi, muszę wiedzieć. Dlaczego nie umieściłeś samego siebie w tekście *Kathasaritsagary*? Kim tak naprawdę jest twój narrator, Gunadja? Jestem pewna, że kryje się za tym jakaś tajemnica...

Nieustannie zadaje pytania. Często się tak ożywia, kiedy jest ze mną sam na sam. Aż serce się wzrusza na myśl o tym zagubionym dziecku z odległej przyszłości.

Gunadja jest istotą podobną do goblina i narratorem *Kathasaritsagary*. Według mojej historii był sługą samego Śiwy, na ziemi zaś odrodził się z powodu klątwy. Miał za zadanie opowiedzieć jeszcze większą historię, której *Kathasaritsagara* jest ledwie stronicą: *Bryhatkathę*. Zakazano mu jednak przemawiać i pisać w sanskrycie, jak również innych ludzkich językach. Pewnego dnia, gdy wędrował przez las, natknął się na grupę mięsożernych demonów piśaća. Schował się i nasłuchując z ukrycia, poznał ich osobliwą mowę. Z czasem spisał wielką *Bryhatkathę* w języku piśaća w księdze sporządzonej z kory drzew, używając do tego własnej krwi.

Powiadają, że był zmuszony spalić rękopis i dopiero w ostatniej chwili jego uczeń zdołał wydobyć z ognia jeden rozdział. Całymi latami poszukiwałem owego zaginionego fragmentu, jednak udało mi się odnaleźć zaledwie kilka przypadkowych stronic i dotrzeć do strzępków wspomnień tych, którzy na własne oczy widzieli oryginał lub znali opisane w nim historie. Z tych zapisków i opowieści stworzyłem później *Kathasaritsagarę*. W ten sposób stałem się kontynuatorem starożytnej indyjskiej tradycji, zgodnie z którą autor kompletuje, upiększa i porządkuje historie, czy to zapisane, czy opowiedziane. Rozdziela on swoją jaźń między wielu fikcyjnych narratorów i staje się medium ich przekazu.

W większości starożytnych dzieł autor idzie o krok dalej: wkracza do opowieści jak aktor na scenę.

Ja w tej kwestii zerwałem z tradycją. Sam nie jestem więc uczestnikiem wydarzeń rozgrywających się na kartach *Kathasaritsagary*. Isha chce się dowiedzieć dlaczego.

Niekiedy czuję obecność mojego narratora, Gunadji, jak gdyby był duchem stojącym u mego boku. Jest ze mną związany w pewien niejasny sposób. Przez wszystkie te lata przychodził do mnie w snach i wypełniał luki w moich opowieściach lub kwestionował to, co spisywałem. Słyszę, jak szepce mi do ucha; czasami nawet mój język bywa posłuszny jego woli. Wciąż ukrywa przede mną swoje tajemnice, dręczy mnie ciszą między słowami. Być może czeka na odpowiedni moment.

– Nie wiem – odpowiadam Ishy. – Nie wiem, dlaczego nie uczyniłem samego siebie bohaterem swojego dzieła. Sądziłem, że wystarczy utkać sieć opowieści, by pochwycić w nią moją królową. By ocalić ją od śmierci...

– Opowiedz mi o niej – nalega Isha. Wie o Surjawati wszystko, ale chce usłyszeć to ode mnie. I słuchać wciąż na nowo.

Pamiętam...

Wysoki balkon, otwarty, bez balustrady. Górskie powietrze – niczym wino. Poniżej, na wewnętrznym dziedzińcu, suszą się w słońcu wielkie złociste stosy moreli. Zza murów dobiegają głosy mężczyzn i szczęk stali; to żołnierze doskonalą się w swej krwawej sztuce. Król szykuje się na wojnę przeciwko własnemu synowi, który pożąda tronu i niecierpliwie wyczekuje dnia śmierci ojca. Ja jednak jestem tu z powodu królowej. Stoi na balkonie przy wielkiej kamiennej donicy i podlewa świętą roślinę tulsi. Ma na sobie długą spódnicę o barwie ciemnej, głębokiej czerwieni i zielony szal narzucony na delikatnie wyszywaną tunikę. Jej szczupłe palce drżą; spojrzenie, które napotyka mój wzrok, przepełnione jest bólem. Służki krążą wokół niej, ale nie mogą jej ulżyć w cierpieniu. W końcu królowa przysiada, owija wokół

twarzy kraniec cienkiej jedwabnej chusty. Nieznaczny gest dłoni. Sygnał, bym zaczął snuć opowieść, która na krótką chwilę wygładzi jej zatroskane oblicze.

To dla niej utkałem całą tę sieć. Każdego dnia moje opowieści pozwalają jej zapomnieć o rozpaczy, przeżyć o jeden dzień dłużej. Każdego dnia jest nimi coraz bardziej urzeczona, coraz bardziej się w nich zatraca. Zdarzają się jednak takie dni, kiedy ciężar niepokoju staje się dla niej zbyt wielki, kiedy uwalnia się spod uroku opowieści i wyznacza mi inne zadanie. Wtedy to, w imię miłości, muszę wziąć udział w wiekowym i niebezpiecznym rytuale. Ale dzisiaj – tego dnia, który wspominam na prośbę Ishy – Surjawati chce tylko wysłuchać opowieści.

Myślę, że wówczas, piętnaście stuleci temu, popełniłem błąd w kwestii Surjawati. Gdybym umieścił siebie w tekście *Kathasaritsagary*, być może zdałaby sobie sprawę, jak bardzo pragnę, by żyła. Wszak Wjasa, który napisał nieśmiertelną *Mahabharatę*, był w równym stopniu uczestnikiem opowieści, co jej kronikarzem. Podobnie Walmiki, gdy pisał *Ramajanę*, uczynił się zarazem jej bohaterem, sprawcą wydarzeń.

A zatem po raz pierwszy umieszczę siebie samego w *tej* opowieści. Być może właśnie tutaj leży sekret wpływania na przyszłe wydarzenia. Zresztą ja również potrzebuję odnaleźć sens. U mojego boku duch Gunadji z aprobatą kiwa głową.

Isha siedzi w komorze statku, przeczesuje włosy palcami; na jej twarzy maluje się troska. Zawsze jest taka niespokojna. Mimo wszystkich jej zwierzeń mogę się tylko domyślać, czego poszukuje wśród zbiorów legend i mitów zamieszkanych światów. Ja sam, gdy wędruję labiryntami usnutych przez siebie opowieści, mam nadzieję odnaleźć na końcu swoją Ishę, swoją Surjawati.

Wiem, że Ishę najbardziej interesują historie o przeszłości, o pochodzeniu. Przyczyną tego jest, jak sądzę, jej brak jakiejkolwiek wiedzy na temat własnej rodziny. W młodości Isha padła ofiarą najazdu grabieżców historii, którzy odebrali jej wszystkie

wspomnienia. Ich okruchy żyją teraz porozrzucane w występach artystów, rozmowach nieznajomych i sztucznych wspomnieniach sztucznych ludzi. Szkody wyrządzone pamięci były tak wielkie, że nawet gdyby nadarzyła się ku temu okazja, nie potrafiłaby rozpoznać własnych wspomnień. Cóż za straszliwa i zdumiewająca epoka, w której mogą się zdarzać podobne rzeczy!

Mimo wszystkich tych poszukiwań Isha wciąż nie zdołała na powrót poznać swojego ludu. Jedyną wskazówką, jaką dysponuje, jest stary, wysłużony zbiór ksiąg: osiemnaście tomów *Kathasaritsagary*. Wygląda na to, że stanowią one jej dziedzictwo, jedyną pamiątkę z czasów sprzed najazdu. Stronice są pożółkłe i kruche, litery wyblakłe, zatarte. Isha spędziła większą część swojej młodości na zgłębianiu zapomnianej sztuki czytania i studiowaniu zapomnianych systemów pisma wymarłych języków. Na wewnętrznej stronie okładki widnieje niewyraźny podpis: Vandana. Ta sama dłoń nakreśliła notatki na marginesie. Ktoś z przodków, jak sądzi Isha.

To dlatego Ishę tak fascynują historie pochodzenia. Wierzy, że dzięki opowieściom o przeszłości innych dowie się czegoś o sobie samej.

Odkryłem to podczas naszej pierwszej wspólnej podróży. Po tym, jak przywróciła mnie do życia, wybraliśmy się do świata o nazwie Jesanli, obejmującego kilka miast-państw, które okazały się wrogo do nas nastawione. Nigdzie nie chciano nas przyjąć, dopóki nie napotkaliśmy ludu Kiha, słynącego z gościnności plemienia pustynnych nomadów. Mieszkańcy owej planety nie dorobili się żadnych imponujących osiągnięć artystycznych, technologicznych, cywilizacyjnych czy naukowych. Kiha przekazują sobie jednak podania – historie osobliwe i pełne liryzmu. Oto i pierwsza z nich:

Dawno, dawno temu nasi przodkowie żyli w gorącym i zatłoczonym miejscu, w niemal zupełnej ciemności. Nie przypominali

istot takich jak my. Nie byli mężczyznami ani kobietami, ale kimś zupełnie innym. Obdarzeni słabym wzrokiem, żyli w ciągłym lęku; kiedy jedno znalazło się zbyt blisko drugiego, oboje natychmiast uciekali od siebie w popłochu. Zachowywali się, jakby każde takie zdarzenie niosło ze sobą ryzyko, że do ich osobistej przestrzeni wkroczy ktoś obcy, ktoś wrogi. Wyobraźcie sobie mnóstwo osób niepotrafiących mówić, zmuszonych do życia w ciasnej, ciemnej jaskini, gdzie każde przypadkowe zderzenie jest niczym koszmar – bo tak właśnie wyglądało ich istnienie. Lęk stał się częścią ich samych, namacalną obecnością podobną ciężarowi noszonemu na plecach.

Co pewien czas zdarzało się jednak, że dwoje – lub więcej – z nich znajdowało się na tyle blisko siebie, by móc niewyraźnie ujrzeć się nawzajem swymi niemal niewidzącymi oczami. W tych krótkich chwilach udawało się im dostrzec w drugiej osobie samych siebie, zwrócić się ku niej, nawiązać więź. Z czasem istoty zaczęły tworzyć niewielkie rodziny. Wówczas nie czuły już potrzeby dźwigania ciężaru strachu, który – uwolniony – przemienił się w światło.

Tak, tak. Dobrze słyszycie. Mimo że wciąż żyły stłoczone w świecie gorącym jak piec, teraz – na przekór wszystkiemu – emanował od nich blask.

Kiedy Isha usłyszała tę opowieść, jej oczy rozbłysły. Powiedziała naszym gospodarzom, że ta historia ma ukryte znaczenie, że zawiera w sobie sekret blasku gwiazd. Kiha uprzejmie wysłuchali jej wyjaśnienia i podziękowali za nie. Isha chciała jeszcze wiedzieć, gdzie usłyszeli tę historię po raz pierwszy, ale dla nich to pytanie było pozbawione sensu. Później powiedziała mi, że mimo swego niezaawansowanego technologicznie sposobu życia Kiha musieli być niegdyś mieszkańcami niebios.

Opowiedzieli tę historię, by spłacić dług – Isha obdarowała ich bowiem prezentami. Kiedy więc objaśniła im znaczenie podania, czuli się zobowiązani w ramach rewanżu opowiedzieć jej jeszcze jedno. Uczynili to z pewnym wahaniem, ponieważ nieczęsto sprawiają obcym taki podarunek.

A oto i druga opowieść:

Na początku istniał tylko jeden byt, znany jako To Które Nie Ma Imienia. Nienazwane, bezgraniczne i niepodzielne, trwało w bezruchu i oczekiwaniu w miejscu pozbawionym światła, a zatem również ciemności.

Z czasem Nienazwane poczuło się znużone niekończącym się trwaniem. Zapytało pustkę wokół: kim jestem? Nie otrzymało jednak odpowiedzi, nie było bowiem nikogo poza nim. Nienazwane powiedziało sobie wówczas: samotność jest ciężarem. Podzielę się na części i w ten sposób stworzę dla siebie towarzyszy.

Postanowiwszy to, Nienazwane zebrało się w sobie i gwałtownie rozciągnęło na wszystkie strony, w miarę rozszerzania tracąc swoją gęstość. Była to największa eksplozja w dziejach świata, a z odłamków Nienazwanego narodzili się ludzie, zwierzęta i gwiazdy.

Dlatego gdy światło skrzy się na wodzie, gdy człowiek wypuszcza strzałę w stronę drugiego człowieka, gdy matka bierze na ręce dziecko, To Które Niegdyś Nie Miało Imienia w bardzo małej części odpowiada sobie na pytanie „kim jestem?".

A jednak Niegdyś Nienazwane wciąż sięga poza granicę tego, co znamy i czego nie znamy, wciąż dzieli się na coraz mniejsze i mniejsze części niczym piana na grzbiecie fali rozbijającej się o skaliste wybrzeże. Czego poszukuje? Dokąd zmierza? Tego nie wie nikt.

Widać było, że również i ta historia zafascynowała Ishę; chciała koniecznie powiedzieć naszym gospodarzom, że drugie podanie opowiadało tak naprawdę o narodzinach wszechświata – ale odwiodłem ją od tego zamiaru. Dla ludu Kiha nie ma większego znaczenia, co jest prawdą, a co nią nie jest. Istnieją wyłącznie opowieści, a we wszechświecie znajdzie się miejsce dla każdej z nich.

Jakiś czas później Isha zapytała mnie:

– Jak to możliwe, że Kiha zapomnieli o tym, że kiedyś podróżowali między gwiazdami? Te dwie historie skrywają w sobie

przecież esencję nauk, wigjana-śastr. Czyżby pamięć mogła być tak krucha?

Przygryzła wargę i wiem, że myślała wtedy o własnej utraconej przeszłości. Moje życie również jest pełne luk, których nie potrafię wypełnić.

Opowieści z kart *Kathasaritsagary* różnią się od podań ludu Kiha. Królowa Surjawati była kobietą dostojną, która wiele czasu spędzała na kontemplacji Pana Śiwy. By ulżyć jej zmartwieniom, zgromadziłem dla niej historie zwykłych, niedoskonałych śmiertelników i bogów: niewiernych żon, zmiennokształtnych niebiańskich widjadharów oraz groźnych i łagodnych mieszkańców wielkich lasów. Według tradycji historie te po raz pierwszy opowiedział sam Śiwa. O tak, są zupełnie inne od podań ludu Kiha.

Isha musi się jeszcze tyle nauczyć! Podobnie jak Surjawati, jest kobietą pełną rezerwy. Ukrywa swój ból przed światem na tyle, na ile tylko może. Do Kiha odnosi się z dystansem, niemal chłodem. Gdyby zależało to ode mnie, udałbym się do ich domostw, zamieszkał z nimi, wysłuchał plotek. Dowiedziałbym się, kogo łączy uczucie, jakie radości i troski przynoszą mijające pory roku, czy między klanami panuje niezgoda. Nigdy szczególnie nie interesowały mnie kosmiczne dramaty będące udziałem bogów i herosów.

Trzecie podanie ludu Kiha różni się od dwóch poprzednich. Nie jestem pewien, co o nim sądzić.

Dawno temu pewien człowiek wyszedł w ciemności na plażę, gdzie natrafił na płonące ognisko. Gdy podszedł bliżej, zdał sobie sprawę, że to, co wydało mu się ogniskiem, było w istocie drugim człowiekiem – całym stworzonym ze światła – który kręcił się w kółko, jakby był pijany. Ten pierwszy poczuł ciepło bijące od człowieka-ognia i zapragnął z nim porozmawiać, jednak człowiek-ogień nie zwrócił na niego uwagi. Kręcił się i kręcił, podczas gdy tamten wykrzykiwał swoje pytania i obracał się wraz z człowiekiem-ogniem tak, by widzieć jego twarz. Nad plażą unosiły się trzy małe owady, które nie śmiały zbliżyć się do człowieka-ognia, jednak wciąż próbowały ukąsić twarz tego drugiego. Unosiły się nad nim, a on odpędzał je od siebie;

gdy wreszcie o nich zapominał, znów pojawiały się, by wokół niego krążyć i go kąsać.

Co działo się dalej?

Dalej nie działo się już nic. Cała piątka wciąż jest na tamtej ciemnej plaży i obraca się w wiecznym tańcu.

Isha uważa, że to podanie jest jednym z nowszych. Spekuluje, że przodkowie ludu Kiha pochodzą ze świata o trzech księżycach. Świata, który dryfował samotnie w kosmosie, dopóki nie wpadł w objęcia gwiazdy. Słyszałem, że istnieją takie światy, planety błąkające się bez strzegących je słońc. Możliwe, że jedną z nich pochwyciła gwiazda. Opowieść tę Isha usłyszała od dziecka, które podbiegło do nas ukradkiem, gdy właśnie mieliśmy ruszać w drogę. Dziewczynka chciała sprawić nam jakiś podarunek, a ta opowieść była wszystkim, co miała.

Jeżeli Isha ma rację, to Kiha opowiedzieli nam historie w złej kolejności. Należałoby je uporządkować w taki sposób: narodziny wszechświata, narodziny ich słońca, powstanie ich świata.

Lecz te stare podania mają tyle znaczeń, ile jest gwiazd na niebie. Przypisać im jedną interpretację to pominąć sedno sprawy. Weźmy na przykład drugą opowieść. Równie dobrze mogłaby być ona zawoalowaną teorią o pochodzeniu kosmologicznym, jak i ujęciem pewnej filozoficznej idei zawartej w upaniszadach, starożytnych księgach indyjskich. W moim dawnym życiu byłem uczonym w sanskrycie.

Liczy się również to, co te historie znaczą dla nas samych. Jaki odnajdujemy w nich sens, niczym spacerowicze nad brzegiem morza, którzy znajdują jedną muszelkę, potem kolejną, by następnie nanizać je na nić według własnych upodobań.

Tak zaczyna się opowieść, którą ułożyłem na podstawie podań ludu Kiha:

Na początku Isha stworzyła świat. Pragnąc poznać siebie, podzieliła się na kilka części. Jedną z nich jestem ja, Somadewa, poeta i wędrowiec. I tak krążymy wokół siebie przez całą wieczność, stwórczyni i stworzenie...

Czasami się zastanawiam, czy wymyśliłem ją tak samo, jak ona wyobraziła sobie mnie. Czy jesteśmy dla siebie fikcyjnymi postaciami i istniejemy wyłącznie poprzez opowiadane przez nas historie.

Być może Kiha mają rację: opowieści tworzą świat.

Budzę się i znów jestem na wysokim kamiennym balkonie. Królowa czujnie mnie obserwuje. Między nami stoi piecyk *angithi* – niewielki ogień płonący w glinianym kociołku. Ponad nim z żelaznego trójnogu zwiesza się czarne naczynie z napojem.

– Czyżby zabrał cię zbyt daleko, mój poeto? – pyta zatroskana. – Mówiłeś o odległych światach i rzeczach nieprawdopodobnych. Czasami wypowiadałeś słowa, których nie potrafiłam zrozumieć. To była zajmująca historia. Ale potrzebuję jedynie poznać to, co wydarzy się za kilka dni, nie za całe eony. Chcę wiedzieć...

Czuję się zdezorientowany. Kiedy po raz pierwszy otworzyłem oczy, wydawało mi się, że widzę Ishę. Sądziłem, że jestem na statku i opowiadam Ishy o Surjawati. Isha lubi słuchać dawnych historii; leży wtedy na swojej koi, z wolna pocierając palcami czoło. Chciałbym móc sam pogładzić to czoło.

Jakim więc sposobem znajduję się tutaj i wdycham sosnową woń himalajskiego powietrza? Jakim sposobem czuję na podniebieniu bogaty posmak, którego nie potrafię dokładnie opisać, a który zdaje się mieć coś wspólnego z ziołowym naparem wrzącym w naczyniu? Język mam nieco zdrętwiały – to znak obecnej w napoju trucizny.

A może tak bardzo zatraciłem się w historii opowiadanej Ishy, że stała się dla mnie rzeczywistością?

Oczy królowej są ciemne i pełne łez.

– Czy mogę cię poprosić, żebyś spróbował jeszcze raz, mój poeto? Czy odważysz się raz jeszcze zaryzykować utratą życia i zmysłów i powiedzieć mi, co zobaczysz? To tylko krok w przyszłość, tylko kilka dni. Kto zwycięży w tej wojnie?

Nie mogę jej wyjawić, że widziałem już to, o co pyta. Wiem, co historia powiedziała o tamtej bitwie. Książę, syn królowej,

odebrał ojcu tron, a jego samego przywiódł do śmierci. Królowa zaś...

To zbyt straszne, by o tym mówić.

Próbuję opowiedzieć historię, w której jestem postacią. Jeśli będę miał wpływ na przebieg wydarzeń, być może uda mi się ocalić królową. Król i jego syn są poza moim zasięgiem. Ale Surjawati? Ona nie pozostaje obojętna na wpływ opowieści. Jeśli w fikcyjnej miłości Somadewy do Ishy rozpozna niewypowiedziane, rozdzierające uczucie prawdziwego Somadewy, być może zdoła się jeszcze wycofać ze skraju przepaści dziejów.

Lękam się jednak, że wydarzenia potoczą się według historycznego scenariusza, a ja stracę moją Surjawati. Czy będę wówczas wraz z Ishą przemierzał gwiazdy w poszukiwaniu opowieści z odległych światów? Czy dokonam żywota na tej ziemi, w cieniu pałacowych murów, a nocne niebo pozostanie tylko sennym majakiem? Który Somadewa przetrwa, ten prawdziwy czy ten fikcyjny? I który jest którym?

Pozostaje mi tylko zająć uwagę Surjawati nieprawdopodobnymi opowieściami – i mieć nadzieję.

– Nie wiem, jak daleko zaprowadzi mnie napój – odpowiadam królowej. – Ale dla ciebie, moja pani, sięgnę po niego raz jeszcze.

Upijam łyk.

Znów jestem na statku. Isha już zasnęła, splątane kosmyki przesłaniają jej oblicze. Kiedy śpi, jej twarz się rozluźnia i tylko niewielka zmarszczka zaznacza się między brwiami. Wbrew pozorom ta zmarszczka nadaje Ishy nieco dziecięcy wygląd. Ciekawe, czy w snach powracają do niej wspomnienia dawnego życia.

Opowiem zatem inną historię, choć czuję się już nieco zagubiony. Kto jej wysłucha: Isha czy Surjawati?

Będzie to historia o Inish. To miejsce z odległego świata, jedno z najbardziej fascynujących, jakie odwiedziliśmy.

Waham się przed nazwaniem Inish miastem, bo słowo to nie oddaje jego istoty. Inish jest zbiorem budynków i ludzi, zwierząt i roślin, a mieszkańcy mówią o nim tak, jakby było obdarzone własną świadomością. Nie ma też wyraźnej granicy, bo niewielkie osady na obrzeżach pojawiają się i znikają, najwyraźniej losowo.

Również i pojęcie tożsamości jest osobliwie rozumiane przez mieszkańców Inish. Każda osoba ma swoje imię, dajmy na to: Mana, ale kiedy Mana jest ze swoją przyjaciółką Ayo, razem tworzą byt o nazwie Tukrit. Gdyby spotkać je obie naraz i zapytać o ich imiona, odpowiedzą: „Tukrit", nie „Ayo i Mana". Kiedy Isha zapytała je pewnego razu, czy Ayo i Mana są dwoma częściami Tukrit, roześmiały się tylko.

– Tukrit to nie coś, co dzieli się na części – wyjaśniła Mana.

– Więc kto właśnie mi odpowiedział, Mana czy Tukrit?

– Tukrit, oczywiście – odparły, chichocząc pobłażliwie.

– Mam na imię Isha – podjęła znowu moja towarzyszka. – Ale kim jestem, gdy jestem z wami?

– Teraz jesteśmy *teso* – odpowiedziały i spojrzały po sobie.

Isha wiedziała, co oznacza to pojęcie. W języku mieszkańców Inish słowem *teso* określa się wszystko, co nie jest do końca uformowane, ukończone; co jest tylko pewną możliwością, potencjałem.

Osobom z zewnątrz trudno zrozumieć, czy mieszkańcy Inish tworzą rodziny, czy też nie. W jednym domu może mieszkać kilka osób, ale ponieważ poszczególne domy są ze sobą połączone korytarzami i tunelami, nie sposób stwierdzić, gdzie kończy się jeden, a zaczyna drugi. W jednym miejscu mogą mieszkać razem cztery starsze kobiety, jedna młoda kobieta, trzech młodych mężczyzn i pięcioro dzieci. Ale gdyby zapytać ich o imiona, podadzą inne w zależności od tego, jaka grupa osób będzie obecna w domu. Jeśli będą to Baijo, Akar i Inha, odpowiedzą: „Jesteśmy Garho". Jeśli w pobliżu będą znajdować się również Sami, Kinjo i Vif, wspólnie będą tworzyć byt o nazwie Parak. I tak dalej, i tak dalej.

Jak udaje im się w tym nie pogubić, tego ani Isha, ani ja nie potrafimy pojąć.

– Powiedz mi, Isho – zapytałem ją pewnego razu. – Ty i ja... Kim jesteśmy, gdy jesteśmy razem?

Spojrzała na mnie smutno.

– Ishą i Somadewą – odpowiedziała, ale w jej głosie słychać było nutę zawahania. – A twoim zdaniem, Somadewo?

– *Teso* – odparłem.

Oto jedna z opowieści z Inish.

Było sobie Ikla. Potem nie było już Ikla, tylko Bako, która oddalała się od tego, co nazywało się teraz Samish. W miarę oddalania się Bako czuła, że staje się częścią czegoś większego, jednak nie wiedziała, z kim lub z czym łączy się w całość. Ach – pomyślała – to musi być goro, *byt, który przejawia się tylko jako westchnienie w umyśle. Czuła narastające powoli* teso, *czuła, jak przemienia się w wodę, w niebo, w deszcz. Potem nie było już ani* teso, *ani* goro, *ani Bako, ale całość, pełnia, z której zrodziło się Chihuli.*

Chihuli z krzykiem przetoczyło się przez letnie drogi, rozrzucając dookoła kawałki błota i skał. Nadchodzi burza! – *wołało.* Burza! *Chihuli wspięło się po zboczu wzniesienia, upadło przed świętymi kamieniami i tam zamarło. Teraz została już tylko Bako, która wielkimi oczami spoglądała w niebo; w środku czuła pustkę, którą pozostawił po swoim odejściu byt* goro.

Dlaczego byt goro *wybrał właśnie Bako? Być może dlatego, że zawsze czuła* teso *z burzami; a ponieważ w tych stronach burze były rzadkością i ludzie musieli zostać uprzedzeni o ich nadejściu, Bako nosiła w sobie przestrzeń dla szczególnego bytu* goro, *który przejawia się właśnie przed burzą. Tak oto właściwy rodzaj pustki powołał Chihuli do istnienia.*

Wokół Bako formowały się nowe byty, ale ona nie pozwoliła im się przyciągnąć. To dlatego, że nadchodziła burza, a Bako czuła z nią teso. *Tylko ona. Inni łączyli się z wszelkiego rodzaju istotami, dzikimi stworzeniami o oczach błyszczących w ciemnościach, nawet długowiecznymi drzewami, ale tylko Bako nosiła w sobie pustkę w kształcie burzy. I czuła* teso, *podobnie jak czuła je z bytem* goro.

Powietrze trzeszczało od naelektryzowania; ciemne chmury przykryły niebo niczym strop, który lada chwila ma runąć. Gdzie nie spojrzeć, wszędzie szarość: szara woda, szare istoty o zdumionych, przerażonych spojrzeniach. Tylko Bako w miarę narastania teso *czuła niecierpliwość, podekscytowanie. Wiele stworzeń znało to uczucie; doświadczało go, gdy odnajdowało swoje miejsce, swoją bratnią istotę. Uczucie dojrzewania, stawania się całością. Jego dziką słodycz. To właśnie czuła teraz Bako, raz za razem.*

Samish wdarło się na wzgórze, na którym stała Bako. Chciało porwać ją ze sobą, by znów mogli stanowić Ikla, udaremnić jej teso *z burzą. Ale Bako oparła się mu i Samish musiało odejść. To było coś silniejszego niż znane im miłosne więzy.*

Nadeszła burza. Była to potężna burza, wielka ulewa z grzmotami i błyskawicami pląsającymi wokół Bako. Rzeki wzbierały, rozlewały się na ląd, wlewały do domostw, zmywały wszystko z powierzchni ziemi. Wzgórza zaczęły się osuwać, a mieszkańcy opuszczali swoje domy. Tylko Bako stała w deszczu, na najwyższym wzgórzu, a burza tańczyła dla niej.

Teso *stało się czymś więcej. Nazywamy to T'fan. T'fan igrała ze światem, rozlała się na pół globu, objęła mokrymi ramionami drzewa i wzgórza. Burza trwała tak długo, że zdawało się, jakby miało nigdy już nie być słońca ani suchego lądu. Wreszcie pewnego dnia ustała.*

Samish podniosło się i ociężale wspięło na wzgórze, by odnaleźć Bako lub opłakać śmierć Ikla.

Bako tam jednak nie było. Na jej miejscu stała inna istota, wyciągając ręce ku niebu. Spojrzała na Samish nieobecnym wzrokiem, a ono zrozumiało, że chociaż niebo się rozjaśnia, burza nadal jest w niej. Na końcach jej palców migotały iskierki błyskawic. Włosy miała spalone.

Samish zrozumiało, że burza wypełniła pustkę wewnątrz Bako na tyle, że nigdy więcej nie będzie już Ikla. Nie czuło już nawet teso*. Odeszło, by opłakać swoją stratę.*

T'fan stoi tam nadal, przez jej oczy przetaczają się burze, jej palce igrają z błyskawicami. Włosy spłonęły niemal doszczętnie.

Nie potrzebuje jeść ani pić i wydaje się na swój sposób całkiem szczęśliwa. Gdy burze nawiedzają jej lud, gromadzą się wokół niej, a ona budzi się do życia i tańczy pośród nich, jakby witała krewnych powracających z dalekich stron. Potem T'fan odchodzi, a na jej miejsce zjawia się coś znacznie większego i bardziej złożonego, niż potrafimy nazwać.

– Ciekawa jestem, co oznacza ta opowieść – powiedziała Isha.

– Czasami opowieści to tylko opowieści – odparłem.

Isha puściła moją uwagę mimo uszu.

– Nigdy nie wspomniałeś o tym, co stało się z Surjawati po tym, jak wypiłeś kolejny łyk napoju i opowiedziałeś jej kolejną historię – zmieniła temat.

Nie można zrywać znaczeń jak owoców z drzew – sens nie wypływa wyłącznie z opowieści jako takiej, lecz również z tego, co wnosi do niej słuchacz – ale próżno byłoby ją teraz o tym przekonywać. Jest taka niecierpliwa, ta moja Isha.

Zebrałem się w sobie.

– Królowa pogrążyła się w rozpaczy, gdy jej syn przejął władzę nad królestwem i zgładził swojego ojca – powiedziałem. – Rzuciła się na stos pogrzebowy męża. Nie mogłem jej uratować.

Jednocześnie mam również świadomość obecności królowej, widzę jej oczy, ciemne od smutku i tęsknoty. Smukłą dłoń – na wpół wyblakłe wzory namalowane henną, na palcu wskazującym prawej ręki zagojone skaleczenie – unosi do twarzy, by otrzeć łzę. A jednak w jej wzroku dostrzegam błysk życia, błysk zaintrygowania. Jej umysł, niesiony moimi opowieściami, przemierza cały wszechświat. Ta mała iskierka w jej oczach jest moją jedyną nadzieją.

Być może wszystko, co odnalazłem, to wciąż powtarzający się w czasie moment, pętla położona z dala od głównego nurtu, w której wbrew nieubłaganemu przemijaniu jestem uwięziony wraz z Ishą i Surjawati. Tutaj moje opowieści nigdy się nie kończą; nigdy nie nadchodzi chwila, na którą czeka Surjawati, a Isha nigdy

nie dowiaduje się, kim jest. Gunadja nadal jest tylko szeptem w moim umyśle, a jego związek ze mną pozostaje tajemnicą. Tak przemierzamy niebiosa, Isha i ja, widjadharowie z odległej epoki, zaś za nami podąża spojrzenie Surjawati. Kto jest narratorem tej historii, a kto jej słuchaczem? Jesteśmy zaplątani w sieć, uwięzieni w kole będącym dziełem naszych własnych rąk. A ty, słuchaczu z innego czasu i miejsca, którego ta opowieść owionie jak morska bryza – ty, podsłuchujący rozmowę niesioną przez wiatr – co się z tobą stanie, jeśli wkroczysz do tej historii i zabierzesz ją do swojego świata wraz z jego smutkami i małymi objawieniami? Czy również znajdziesz się w naszym kręgu? Czy opowiesz mi swoją historię? Czy usiądziemy razem – Surjawati, Isha, ja i ty – by razem poczuć *teso*, utkać znaczenie z nici opowieści?

Nazywam się Somadewa. Jestem poetą, opowiadaczem historii.

Opowiadanie opracowali

Weryfikacja tłumaczenia: Ewelina Rozenek

Redakcja: Magdalena Świerczek-Gryboś

Korekta: Aleksandra Machnowska, Justyna Mroczek-Żal, Karolina Maślińska, Ilona Żurawska

Weryfikacja: Katarzyna Pikosz, Magda Kowalewicz, Joanna Gasińska

Kontrola weryfikacji: Magda Kowalewicz

Kontrola przed składem: Dawid Wiktorski

Rozbójnicy

Lord Dunsany
Tłumaczenie: Magdalena Postrzygacz
Tytuł oryginalny: *The Highway Men*

Tom Podróżnik ostatnią podróż miał już za sobą. Teraz był sam pośród nocy. Przed nim rozciągał się widok na odpoczywające owce, ciemne zarysy opustoszałych pagórków i jaśniejszą linię wzgórz, jeszcze bardziej opustoszałych i odległych. Smugi dymu unosiły się znad osad położonych gdzieś daleko w dolinach pogrążonych w mroku. Ale Tom widział już jedynie ciemność i słyszał jedynie ciszę. Tylko jego dusza walczyła wciąż, by wyzwolić się z żelaznych okowów i wyruszyć w podróż na południe, do Raju.

A wiatr hulał i hulał.

Bo tej nocy Tom mógł dosiąść już tylko wiatru. Zabrali mu jego karego ogiera – konia czystej krwi – tego samego dnia, gdy odebrano mu zielone pola, niebo, męskie głosy i śmiech kobiet. Gdy zostawili go samego z łańcuchem na szyi, by kołysał się tak przez wieki.

A wiatr hulał i hulał.

Dusza Toma nie mogła się wyrwać z nieczułego uścisku kajdan. Wiatr z południa, z Raju, tłumił wszelkie jej wysiłki i wciskał ją z powrotem w żelazną obręcz. Gdy Tom zawisł, z jego ust opadł dawny kpiący uśmieszek, z języka ześlizgnęły się bluźnierstwa, z klatki piersiowej wysypały się spróchniałe już niecne żądze,

a z palców znikły ślady złych uczynków. Spadło to wszystko, wyblakłe, na ziemię. Pozbywszy się wszelkich grzechów, dusza Toma znów była czysta jak za czasów pierwszej wiosennej miłości. Wisiała jednak na wietrze razem ze swoim szkieletem, okryta starym, dziurawym płaszczem i duszona zardzewiałym łańcuchem.

A wiatr hulał i hulał.

Od czasu do czasu obok Wisielczego Drzewa i uwięzionej Tominej duszy przechodziły niesione wiatrem do Raju dusze ludzi pogrzebanych w poświęconej ziemi.

Tom każdej nocy swoimi pustymi, wklęsłymi jak doliny oczodołami obserwował pagórki i pogrążone we śnie owce, aż w końcu jego martwe włosy tak urosły, że zakryły biedną, pozbawioną życia twarz i skryły jej hańbę przed niewinnymi zwierzętami.

A wiatr hulał i hulał.

Czasami jego powiew przynosił ze sobą czyjeś łzy, uderzał i uderzał nimi o łańcuch, ale nie były one w stanie pokryć go rdzą.

Więc wiatr dalej hulał i hulał.

A każdego wieczora wszystkie myśli wypowiedziane niegdyś przez Toma przerywały swoją niekończącą się pracę dla tego świata i zbierały się, siadając na gałęziach Wisielczego Drzewa. Ćwierkały i śpiewały jego uwięzionej duszy. Wszystkie wypowiedziane niegdyś myśli! Te brzydkie karciły duszę, która je zrodziła, bo nie mogły umrzeć. Te wypowiedziane ukradkiem kwiliły przez całą noc najgłośniej i najbardziej przejmująco. A wszystkie te, które Tom poświęcał sobie samemu, śmiały się teraz z jego podartego płaszcza i wytykały mu przemoczone kości. Jedynie myśli, które poświęcił innym, były kompanami, w których jego dusza znajdowała ukojenie, gdy szkielet dyndał wśród ciemności nocy. Śpiewały i rozweselały tę biedną, głupią duszyczkę niemającą już żadnych marzeń ani snów, dopóki nie przyleciała jakaś mordercza myśl i nie przegnała ich z gałęzi drzewa.

A wiatr hulał i hulał.

Paul, arcybiskup Alois i Vayence, spoczywał w swoim białym, marmurowym grobowcu zwróconym w stronę południa, w stronę Raju. Na pomniku, by zapewnić duszy wieczny spokój,

wyrzeźbiono krzyż Chrystusowy. Tutaj wiatr nie hulał tak, jak hulał pośród drzew porastających pagórki. Powiewał jedynie delikatnie, niosąc zapach nizinnych sadów, które mijał, gdy nadlatywał z Raju, z południa. Igrał wśród niezapominajek i traw rosnących na poświęconej ziemi wokół grobowca Paula, arcybiskupa Alois i Vayence, w której spoczywają Uspokojeni. Nietrudno było człowieczej duszy wydostać się z takiego grobowca i przemknąć nad wspomnianymi polami, by znaleźć się wśród ogrodów Raju i zaznać wiecznego spokoju.

Lecz wiatr hulał i hulał.

Tej nocy w pewnej szemranej gospodzie trzech mężczyzn wlewało w siebie gin. Byli to Joe, Will i Cygan Puglioni. Nie mieli nazwisk ani pojęcia, kim byli ich ojcowie. Na ten temat żywili jedynie mroczne przypuszczenia.

Grzech nieraz głaskał pazurami ich twarze, ale usta i podbródek Puglioniego nosiły wyraźne znaki pocałunków Grzechu. Pożywieniem mężczyzn był rabunek, rozrywką – mordowanie. W Bogu wywoływali smutek, w ludziach – wrogość. Siadywali przy stole i rozkładali talię kart, na których widniały tłuste ślady ich oszukańczych paluchów. Pochyleni nad ginem szeptali coś do siebie, ale na tyle cicho, że właściciel knajpy w drugim kącie sali słyszał tylko ich stłumione przekleństwa, choć nie wiedział, kogo się tyczyły ani o czym w ogóle rozmawiali.

Byli trójką najwierniejszych przyjaciół, a temu, któremu Bóg pozwolił zakosztować ich przyjaźni, nie pozostało na świecie nic poza własnymi kośćmi huśtanymi na wietrze, podartym płaszczem i żelaznym łańcuchem. I duszą, która nie mogła się uwolnić.

Gdy zapadła noc, trzej kompani zostawili niedopity gin, wymknęli się po cichu i wyruszyli w stronę cmentarza, gdzie w swym grobowcu spoczywał Paul, arcybiskup Alois i Vayence. W rogu cmentarza, w niepoświęconej ziemi, naprędce wykopali grób. Dwóch pracowało, podczas gdy trzeci stał na warcie, spoglądając poprzez wiatr i deszcz. Robaki podpełzały zadziwione i czekały.

Nadeszła północ, potworna godzina pełna lęków, i zastała ich pośród mogił. Trzej kompani drżeli ze strachu na myśl

o spędzeniu tego czasu w takim miejscu. Drżeli też z powodu przejmującego wiatru i rzęsistego deszczu, nie przerwali jednak swojej pracy.

A wiatr hulał i hulał.

Wreszcie skończyli i uciekli czym prędzej, pozostawiając grób otwarty i głodny, pełny nienasyconych robaków. Ukradkiem, lecz w pośpiechu, przemierzali przesiąknięte wodą pola, oddalając się coraz bardziej od cmentarza. Idąc, trzęśli się i głośno przeklinali deszcz. Dotarli w końcu do miejsca, w którym ukryli drabinę i latarnię. Tam zastanawiali się dość długo, czy zapalić światło, czy iść dalej po ciemku, by nie dojrzeli ich ludzie króla. W końcu uznali jednak, że bezpieczniej będzie zaświecić latarnię i zaryzykować głową, niż w ciemności stanąć nagle twarzą w twarz z czymś – z czymkolwiek człowiek może o północy stanąć twarzą w twarz w okolicy Wisielczego Drzewa.

Trzy drogi w Anglii, których podróżni zwykle nie spodziewali się przejechać bezpiecznie, tej nocy były spokojne jak nigdy. Tymczasem trzej kompani znajdowali się już niedaleko i szli w stronę Wisielczego Drzewa. Will niósł latarnię, Joe drabinę, a Puglioni wielki miecz – niezbędny do wykonania tego, co wykonać musieli. Gdy zbliżyli się do drzewa, rzucił im się w oczy zły stan Toma, niewiele bowiem pozostało z jego postawnej figury i zupełnie nic z potężnego, zdecydowanego ducha. Zdawało im się też, że słyszą zawodzenie, jakby skargi czegoś uwięzionego, niemogącego się wydostać.

Kości i dusza Toma kołysały się w przód i w tył, w przód i w tył. To kara za przewinienia, których dopuścił się na drodze królewskiej. Za niestosowanie się do praw i nakazów króla. Ale przyszli do niego, ryzykując życiem, trzej kompani, których przyjaźń zdążyła zdobyć jego dusza, zanim owinięto ją łańcuchem. Trzy cienie wśród ciemności na ziemi oświetlonej przez latarnię.

Ziarna siane przez duszę Toma przez całe jego życie wyrosły i stały się Wisielczym Drzewem, które w sezonie rodziło pętle. Lecz ziarna rzucane niedbale od czasu do czasu: życzliwy dowcip lub parę wesołych słówek, przyjęły postać trzech kompanów niegodzących się z pozostawieniem szczątków przyjaciela samym sobie.

Trójka rzezimieszków oparła drabinę o pień drzewa, a Puglioni wspiął się po niej z mieczem w ręku i zaczął uderzać nim poniżej żelaznej obręczy. Po chwili stary płaszcz i przykryte nim kości, a także Tomina dusza z hałasem upadły na ziemię. Głowa oderwała się od rozhuśtanego łańcucha. Will i Joe podnieśli resztki kompana, a gdy Puglioni zbiegł z drabiny, umieścili je na szczeblach i ruszyli pośpiesznym krokiem. Byli przemoczeni, gdyż deszcz wciąż siąpił, i przerażeni koszmarnym widokiem kości na drabinie oraz myślą o czających się wokół zjawach. Około drugiej w nocy znów znaleźli się w dolinie dającej schronienie przed przejmującym wiatrem. Niosąc latarnię, drabinę i ułożone na niej potworne szczątki – nadal darzone przyjaźnią – minęli wykopaną jamę i weszli między pomniki. Prawo zostało ograbione z należnej mu ofiary, była ona jednak ich przyjacielem, więc trzej kompani popełnili dla niej kolejny grzech. Podważyli marmurowe płyty poświęconego grobowca Paula, arcybiskupa Alois i Vayence. Z jego czeluści wydobyli kości samego duchownego, przenieśli je do wykopanego uprzednio, oczekującego na ciało grobu i zakopali. To, co leżało na drabinie, umieścili, roniąc kilka łez, pod krzyżem Chrystusowym w białym grobowcu i przysłonili marmurowymi płytami.

Uświęcona w ten sposób dusza Toma poderwała się o świcie z grobowca i ruszyła doliną. Po drodze przystanęła obok rodzinnej chatki i przy miejscach dziecięcych zabaw, by po chwili wydostać się na rozległe pola za wsią. Spotkała się tam ze wszystkimi swoimi dobrymi myślami i razem poleciały, śpiewając, w stronę południa, by w końcu, nadal rozśpiewane, dotrzeć do Raju.

A Will, Joe i Puglioni wrócili do szemranej gospody, do ginu, rabowania i oszukiwania. Nie wiedzieli, że w swoim grzesznym życiu popełnili właśnie jeden grzech, który wywołał uśmiech na twarzach Aniołów.

Opowiadanie opracowali

Weryfikacja tłumaczenia: Joanna Gasińska
Redakcja: Adam Raglan
Kontrola redakcji: Magdalena Świerczek-Gryboś
Korekta: Magdalena Kłodowska, Ilona Żurawska, Gabriela Gardoń, Justyna Mroczek-Żal
Weryfikacja: Agata Graczyk, Magda Kowalewicz, Aleks Gapski
Kontrola weryfikacji: Magda Kowalewicz
Kontrola przed składem: Dawid Wiktorski

Krewniacy elfów

Lord Dunsany
Tłumaczenie: Magdalena Postrzygacz
Tytuł oryginalny: *The Kith of the Elf Folk*

Rozdział 1

Wiał północny wiatr. Przemijały ostatnie dni jesieni, ich czerwień i złoto. Nad moczarami zapadł zmierzch, chłodny i uroczysty.

Zrobiło się cicho.

Wówczas ostatni gołąb powrócił do swojego domu wśród drzew rosnących na suchej ziemi w oddali. Ich kształty zasnuła już mgła nadająca im aurę tajemniczości.

I znów zrobiło się cicho.

Gdy światło przygasło, a mgła zgęstniała, tajemniczość wypełzła z każdego zakamarka.

Nagle ukazała się siewka i krzyknęła, a wszystko ożyło.

A potem znów zapadła cisza, po tej jednej chwili, gdy siewka wzniosła się i krzyknęła w próżnię. W oczekiwaniu na pierwszą gwiazdę ziemia umilkła uspokojona. Wtedy pojawiły się kaczki i świstuny, jedne za drugimi. Światło dnia popłynęło po niebie i znikło, oprócz jednego czerwonego pasma. Przecięły go wielkie, czarne skrzydła gęsi, których mocne uderzenia wywołały podmuchy wiatru na moczarach. Stado opadło i znalazło schronienie wśród sitowia.

Wówczas wyłoniły się i zaświeciły gwiazdy, a pośród bezruchu i ciemności nocy znów zapanowała cisza.

Nagle odezwały się dzwony ogromnej katedry na moczarach, wzywające na wieczorne nabożeństwo. Katedrę tę wzniesiono osiem wieków temu. A może siedem wieków temu albo dziewięć – nie miało to znaczenia dla dzikich stworzonek.

Nabożeństwo się rozpoczęło, zapłonęły świece, a światło przez okna rzucało na wodę czerwone i zielone błyski.

Dźwięk organów niósł się po moczarach. Z miejsc ukrytych i niebezpiecznych, okolonych bladymi mchami, dzikie stworzonka wychynęły, by tańczyć na odbiciach gwiazd. A gdy tak tańczyły, błędne ogniki nad ich głowami unosiły się i opadały.

Dzikie stworzonka wyglądem przypominają nieco ludzi, tyle że ich skóra jest cała brązowa, a mierzą niewiele więcej niż pół metra. Uszy mają spiczaste jak wiewiórki, choć dużo większe, a skakać potrafią zadziwiająco wysoko. Całe dnie spędzają ukryte pod głębokimi stawami w najbardziej odludnych zakątkach moczarów, ale nocą wychodzą na ich powierzchnię i tańczą. Każde dzikie stworzonko ma nad sobą błędnego ognika, który porusza się wraz z nim. Żadne nie ma duszy ani nie umiera. A wszystkie są krewniakami elfów.

Przez całą noc stworzenia tańczą na moczarach, stąpając po odbiciach gwiazd (bo czysta powierzchnia wody mogłaby ich nie utrzymać), a gdy te zaczynają blednąć, znikają jedno po drugim w swoich stawach. Jeśli zasiedzą się gdzieś dłużej w szuwarach, ich ciałka rozmywają się, gdy błędne ogniki gasną w świetle dnia. I wtedy nikt nie może zobaczyć dzikich stworzonek, krewniaków elfów. Nikt ich nie ujrzy nawet nocą. Chyba że, tak jak ja, narodził się w godzinie zmierzchu, w momencie, w którym wschodzi pierwsza gwiazda.

Nocą, o której wam opowiadam, Małe Dzikie Stworzonko sunęło po moczarach, aż dotarło pod same ściany katedry. Zatańczyło na obrazach kolorowych świętych, którzy unosili się na powierzchni wody, wśród odbić gwiazd. I gdy tak podskakiwało w swym niesamowitym tańcu, zajrzało przez pokryte farbą okna do wnętrza, w którym modlili się ludzie, i usłyszało organy grzmiące wśród

moczarów. Dźwięk organów grzmiał po moczarach, a pieśni i modlitwy ludzi wzbijały się z najwyższej wieży katedry, jak złote łańcuchy, i dosięgały raju. Nad nimi i pod nimi przepływały anioły. Z raju do ludzi i z powrotem, od ludzi do raju.

Wówczas, po raz pierwszy od czasów powstania moczarów, coś jakby smutek nawiedziło Małe Dzikie Stworzonko. Niewystarczający wydał się mu miękki szary muł czy chłód głębokiej wody. Ani pierwsze przybycie hałaśliwych gęsi, gdy nadlatują z północy. Ani radosne uderzenia skrzydeł ptaków, gdy każde ich piórko śpiewa. Ani cudowny lodowy spokój, który nastaje, gdy odlatują bekasy, sitowie pokrywa się włoskami szronu, ciche pustkowie spowija tajemnicza mgła, a słońce zniża się i czerwienieje. Ani nawet taniec dzikich stworzonek wśród niesamowitości nocy. I Małe Dzikie Stworzonko zapragnęło mieć duszę i iść, i oddawać cześć Bogu.

Gdy nabożeństwo się skończyło i zgasły już światła, zapłakane Małe Dzikie Stworzonko wróciło do swoich krewnych. Ale następnej nocy, gdy tylko odbicia gwiazd pojawiły się na wodzie, skakało z gwiazdy na gwiazdę, spiesząc do najdalszego zakątka moczarów, gdzie rosło wielkie drzewo i gdzie mieszkało Najstarsze z Dzikich Stworzonek. I znalazło Najstarsze z Dzikich Stworzonek, siedzące pod drzewem, chowające się przed blaskiem księżyca.

– Chcę mieć duszę, by oddawać cześć Bogu i by zrozumieć znaczenie muzyki, i by zobaczyć wewnętrzne piękno moczarów, i by móc wyobrazić sobie raj – powiedziało Małe Dzikie Stworzonko.

– A cóż nam do Boga? Jesteśmy tylko dzikimi stworzonkami, krewniakami elfów – odparło Najstarsze z Dzikich Stworzonek.

– Chcę mieć duszę – powiedziało Małe Dzikie Stworzonko.

– Nie znajdę dla ciebie żadnej duszy. Jej posiadanie to konieczność umierania, a poznanie muzyki łączy się z odkryciem znaczenia smutku. Lepiej być dzikim stworzonkiem i nie umierać – rzekło wówczas Najstarsze z Dzikich Stworzonek.

Małe Dzikie Stworzonko odeszło więc zapłakane.

Krewniacy elfów współczuli Małemu Dzikiemu Stworzonku. I choć dzikie stworzonka nie mogą się długo smucić i współczuć, gdyż nie mają dusz ani do smucenia, ani do współczucia, to gdy zobaczyły żal towarzysza, poczuły chwilowy ból tam, gdzie

mogłyby mieć duszę. Krewniacy elfów wyruszyli więc nocą, by zrobić duszę dla Małego Dzikiego Stworzonka. Szli przez moczary, aż dotarli do suchych pól usłanych trawą i kwiatami. Zebrali tam pokryte rosą, długie nitki babiego lata, które pająk uprządł o zmierzchu. W kroplach rosy widać było wszystkie światła padające z bliższych i dalszych brzegów pofałdowanego nieba. Niesamowita noc zalśniła wszystkimi swoimi gwiazdami nad pokrytą wieczornymi barwami uspokojoną ziemią.

Dzikie stworzonka wróciły do domu z babim latem pokrytym jarzącymi się kroplami rosy. Uszczknęły drobinkę ciemnych oparów, które unoszą się nocą nad moczarami. Umieściły w nich melodię próżni, którą złote siewki roznoszą po moczarach swymi skrzydłami. Umieściły w nich także melodię, którą w obecności aroganckiego Północnego Wiatru zmuszone są nucić trzciny. Następnie każde z dzikich stworzonek dorzuciło do tej mieszanki jedno ze swoich cennych wspomnień o pradawnych moczarach. „Bo możemy się obejść bez nich" – powiedziały. Do tego wszystkiego dodały kilka zebranych z wody odbić gwiazd. Mimo to dusza, którą tworzyli krewniacy elfów, nie miała w sobie życia.

Dzikie stworzonka umieściły w niej także ciche głosy dwojga kochanków, którzy wędrowali samotnie późną nocą. Potem zaczęły wyglądać poranka. Wstał królewski świt. Jego blask przygasił błędne ogniki dzikich stworzonek, a ich ciałka rozpłynęły się w powietrzu, ale one dalej czekały na skraju moczarów. A gdy tak czekały, dotarły do nich znad pól i bagien, z ziemi i z nieba, niezliczone pieśni ptaków. Dzikie stworzonka zebrały również te pieśni i umieściły we mgle znad moczarów, a to wszystko owinęły babim latem, pokrytym jarzącymi się kroplami rosy.

Wtedy dusza ożyła. Leżała w dłoniach dzikich stworzonek, nie większa niż jeż. W jej wnętrzu lśniły przecudne światełka, zielone i niebieskie, które bezustannie się zmieniały i krążyły wkoło. A w szarym środku tkwił fioletowy płomyk.

Następnej nocy krewniacy elfów przyszli do Małego Dzikiego Stworzonka i pokazali mu lśniącą duszę. Powiedzieli: „Jeśli musisz mieć duszę i iść oddawać cześć Bogu, stać się śmiertelne i umrzeć, umieść to w swojej lewej piersi, nieco powyżej serca.

Dusza wejdzie w ciebie i staniesz się człowiekiem. Ale jeśli ją weźmiesz, nigdy się jej nie pozbędziesz i nie będziesz mogło stać się znów nieśmiertelne, chyba że ją wyjmiesz i oddasz komuś innemu. Ale my jej nie przyjmiemy, a większość ludzi ma już swoje dusze. Jeśli nie znajdziesz człowieka, który jej nie ma, pewnego dnia umrzesz, ale twoja dusza nie będzie mogła pójść do raju, bo stworzono ją na mokradłach".

Małe Dzikie Stworzonko dojrzało w oddali okna katedry rozbłyskujące przed wieczornym nabożeństwem oraz aniołów krążących w górę i w dół. Usłyszało pieśń ludzi wspinającą się do nieba. Płacząc, pożegnało się i podziękowało dzikim stworzonkom, krewniakom elfów, po czym w podskokach wyruszyło w stronę suchego, zielonego lądu. W dłoniach ściskało duszę. A dzikim stworzonkom było smutno, że tamto od nich odeszło, ale nie mogły być smutne długo, bo one nie miały dusz.

Na skraju moczarów Małe Dzikie Stworzonko przyglądało się przez kilka chwil wodzie, nad którą unosiły się i opadały błędne ogniki. Potem przycisnęło duszę do lewej piersi, nieco powyżej serca. Stało się wówczas młodą, piękną kobietą, zziębniętą i przerażoną. Stworzonku udało się jakoś przyodziać w trzcinę, po czym skierowało kroki w stronę świateł domu, który stał nieopodal. Otworzyło drzwi. Weszło i zastało tam rolnika z żoną, spożywających kolację. Żona rolnika zabrała Małe Dzikie Stworzonko z duszą z mokradeł do swojego pokoju. Ubrała je i zaplotła mu włosy w warkocze, po czym wrócili znów do izby. Małe Dzikie Stworzonko otrzymało pierwszy w swoim życiu posiłek. Potem żona rolnika zadała dużo pytań.

– Skąd się tu wzięłaś? – zapytała.

– Z mokradeł.

– Z której strony? – spytała żona rolnika.

– Z południa – odparło Małe Dzikie Stworzonko, które właśnie zyskało duszę.

– Ale nie da się przejść przez mokradła od południa – powiedziała żona rolnika.

– Nie, nie da się – potwierdził rolnik.

– Mieszkałem na mokradłach.

– Kim jesteś? – spytała żona rolnika.

– Jestem dzikim stworzonkiem i znalazłem duszę na moczarach. Jesteśmy krewniakami elfów.

Rolnik i jego żona rozmawiali o tym później i zgodzili się, że musi to być zagubiona Cyganka, a jej dziwne zachowanie wynika z głodu i przemarznięcia. Tej nocy Małe Dzikie Stworzonko spało więc w domu rolnika, ale jego nowa dusza nie zasnęła i całą noc marzyła o pięknie moczarów.

Gdy tylko świt nadszedł znad pustkowia i zabłysnął nad domem rolnika, Małe Dzikie Stworzonko wyjrzało przez okno na skrzące się wody i zauważyło piękno mokradeł. Dzikie stworzonka kochają tylko bagna i znają tam swoje ulubione miejsca, teraz jednak mogło dostrzec tajemniczość dzikich ostępów, czar niebezpiecznych jezior z gęsto rosnącym mchem. Zachwyciło się Północnym Wiatrem – dominującym, nadchodzącym z nieznanych lodowatych krain. Zdumiał je przypływ i odpływ oznak życia, gdy wieczorem dzikie ptaki opadają na mokradła, a rankiem przenoszą się nad morze. Wiedziało, że nad jego głową, nad domem rolnika, rozciągał się raj, z którego Bóg, być może, właśnie wyobrażał sobie świt. Aniołowie cicho grali na lutniach, a słońce wstawało nad światem, wywołując radość na polach i mokradłach. Wszystkie myśli nieba były też myślami mokradeł, gdyż błękit mokradeł był jak błękit nieba. Wielkie chmury na niebie stawały się chmurami na mokradłach. Przez jedne i przez drugie przepływały chwilami rzeki purpury, zbłąkane między złotymi brzegami. Armia lojalnych trzcin wyłaniała się z ciemności. Wszędzie, gdzie okiem sięgnąć, powiewały jej proporce.

Z drugiego okna Małe Dzikie Stworzonko dojrzało ogromną, masywną katedrę, której siła wznosiła ją i jej wieże ponad mokradła.

– Nigdy, nigdy nie opuszczę mokradeł – powiedziało.

Godzinę później ubrało się niezdarnie i zeszło, by spożyć drugi posiłek w swoim życiu. Rolnik i jego żona byli życzliwymi ludźmi i pokazali mu, jak jeść.

– Pewnie Cyganie nie mają noży ani widelców – stwierdzili później.

Po śniadaniu rolnik poszedł zobaczyć się z dziekanem, który mieszkał obok katedry. Wrócił po Małe Dzikie Stworzonko, obdarzone nową duszą, i zaprowadził je do dziekana.

– Oto ona – powiedział rolnik. – Oto dziekan Murnith. – I odszedł.

– Ach – odetchnął dziekan. – A więc zeszłej nocy zabłądziłaś na mokradłach. Potworna noc na błądzenie po mokradłach.

– Uwielbiam mokradła – odparło Małe Dzikie Stworzonko, obdarzone nową duszą.

– Ach, tak! Ile masz lat? – zapytał dziekan.

– Nie wiem.

– Musisz wiedzieć, ile masz lat.

– Och, pewnie jakieś dziewięćdziesiąt. Albo więcej.

– Dziewięćdziesiąt lat! – wykrzyknął dziekan.

– Nie, dziewięćdziesiąt wieków. Mam tyle samo lat, co bagna.

Wówczas opowiedziało mu swoją historię o tym, jak pragnęło być człowiekiem, wielbić Boga, mieć duszę i widzieć piękno świata. I jak dzikie stworzonka przygotowały dla niego duszę z babiego lata, mgły, muzyki i niezwykłych wspomnień.

– Jeśli to prawda – rzekł dziekan Murnith – to jest to bardzo złe. Sądzę, że Bóg nie chciał, byś miała duszę. Jak masz na imię?

– Nie mam imienia.

– Musimy ci nadać jakieś chrześcijańskie imię i nazwisko. Jak chciałabyś się nazywać?

– Pieśń Sitowia.

– Tak nazywać się nie możesz.

– W takim razie chcę się nazywać Straszliwy Wiatr z Północy albo Gwiazda w Tafli Wody.

– Nie, nie, nie – odparł dziekan Murnith. – To niemożliwe. Możemy cię nazywać panna Rush*, jeśli chcesz. Co powiesz na Mary Rush? Może damy ci też drugie imię. Niech będzie Mary Jane Rush.

Tak więc Małe Dzikie Stworzonko z duszą z mokradeł przyjęło imiona, które mu zaoferowano, i stało się Mary Jane Rush.

– Musimy znaleźć ci jakieś zajęcie – powiedział dziekan Murnith. – A chwilowo możesz zamieszkać tutaj.

– Nie chcę żadnego zajęcia – odparła Mary Jane. – Chcę wielbić Boga w katedrze i mieszkać obok mokradeł.

* *Rush* (ang.) – sitowie (przyp. tłum.).

W tej chwili do pokoju weszła pani Murnith. Resztę dnia Mary Jane spędziła u dziekana.

Dzięki nowej duszy mogła dostrzec piękno świata, szarość bowiem rozlała się w mglistej dali, rozpłynęła na łąki porosłe trawą i na pola uprawne. Dopłynęła aż do dwuspadowych dachów miejskich domów. Pośrodku odległych pól stał samotny stary młyn, którego solidne, ręcznie wykonane skrzydła kręciły się poruszane wschodnim angielskim wiatrem. Na pobliskie ulice wychylały się domy z dwuspadowymi dachami, wsparte na mocnych pniach ze starego drewna, chełpiące się swoją urodą. Spomiędzy nich filar po filarze, wieża po wieży, wyłaniała się katedra.

Mary Jane zauważyła też ludzi spacerujących ulicami, spokojnie i bez pośpiechu. Wśród nich przelatywały duchy z dawnych lat, szepczące coś jedne do drugich, niedostrzegane i niesłyszane przez ludzi, zajęte tylko przeszłością. A na końcu każdej biegnącej na wschód ulicy, a także z każdej luki między domami otwierał się widok na mokradła, niczym jakiś dziwny i nieznajomy dźwięk, który prześladuje melodię. Pojawia się co rusz, grany tylko przez jednego skrzypka, który nie zna żadnego innego dźwięku. Skrzypek ma ciemne, proste włosy i zarost wokół ust. Jego długie wąsy zwisają nisko i nikt nie wie, skąd się tu wziął.

Widok ten był dobry dla nowej duszy.

Wówczas słońce zaszło za zielonymi łąkami i polami. Nadeszła noc. Radosne światełka zapalały się w oknach i jedno po drugim zajmowały swoje stanowiska wśród powagi nocy.

W oddali, na szczycie wieży katedry, rozdzwoniły się dzwony. Ich melodia opadła na dachy starych domów, spłynęła na ulice i zalała je, po czym pognała polami, aż dotarła do solidnego młyna, gdzie zaprosiła zmęczonego młynarza na wieczorne nabożeństwo. Na wschód i w kierunku morza – dźwięk rozlał się i rozszedł po odległych zakątkach mokradeł. A dla duchów z ulicy wszystko to było dniem wczorajszym.

Żona dziekana zabrała Mary Jane na wieczorne nabożeństwo, gdzie ta ujrzała trzysta świec napełniających nawę światłem. Mimo to masywne filary stały w swym mrocznym ogromie. Długie kolumnady pogrążone były w ciemności, w której – czy to wieczór,

czy poranek, rok po roku – wykonywały swą pracę podtrzymywania w górze dachu katedry. Było tu spokojniej niż na moczarach, gdy pokrywa je lód, a wiatr milknie.

Nagle grzmiący głos organów wdarł się w tę ciszę, a ludzie zaczęli się modlić i śpiewać. Mary Jane nie mogła już zobaczyć ich modlitw, unoszących się jak cienkie złote łańcuchy, bo to było tylko jej elfie wyobrażenie, ale oczyma swej nowej duszy widziała wyraźnie serafinów odlatujących do raju i anioły zmieniające wartę, by nocą także obserwować świat.

Gdy dziekan zakończył modlitwę, pan Millings, młody wikary, wszedł na ambonę. Mówił o Abanie i Parpar, rzekach Damaszku, a Mary Jane cieszyła się, że istnieją rzeki o takich nazwach. Słuchała z zachwytem o Niniwie, wspaniałym mieście, i o wielu rzeczach niezwykłych i nowych.

Światło świec padało na jasne włosy wikarego, a jego głos dźwięczał w nawie. Mary Jane cieszyła się, że mężczyzna tam był, ale gdy umilkł, poczuła się nagle samotna, tak jak nie czuła się od powstania mokradeł. Bo dzikie stworzonka nigdy nie są samotne ani nieszczęśliwe, tylko całymi nocami tańczą na odbiciach gwiazd i nie mając duszy, niczego więcej nie potrzebują.

Gdy zebrano ofiarę, zanim ktokolwiek opuścił katedrę, Mary Jane ruszyła nawą w kierunku pana Millingsa.

– Kocham cię – powiedziała.

Rozdział 2

Nikt nie współczuł Mary Jane.

– Szkoda pana Millingsa – mówiono. – Taki obiecujący młody człowiek.

Mary Jane odesłano do dużego miasta przemysłowego w krainie Midlands, gdzie znaleziono jej pracę w fabryce sukna. W mieście tym nie było nic, na co dusza chciałaby popatrzeć. Bo nie miało ono pojęcia, że można pożądać piękna. Wytwarzało więc wiele różnych rzeczy za pomocą maszyn, wszędzie i zawsze się spieszyło, chwaliło

się swoją przewagą nad innymi miastami i ciągle się bogaciło. Nie było komu go żałować.

Tam też znaleziono Mary Jane kwaterę, tuż koło fabryki.

W listopadowe poranki, o szóstej rano – gdy daleko od miasta, pośród ciszy mokradeł, wstawało dzikie ptactwo, by wyruszyć w stronę niespokojnego morza – fabryka wydawała przeciągły ryk i gromadziła wokół siebie pracowników. Pozostawali oni w niej (wyłączając dwie godziny na posiłek), póki nie zapadł zmrok, a dzwony nie wybiły szóstej po południu.

Mary Jane pracowała z innymi dziewczętami w ponurym, długim pomieszczeniu, w którym żelazne i skrzypiące ręce olbrzymów przerabiały wełnę na przypominające nitki włókna. Olbrzymy te grzmiały przez cały dzień, podczas gdy ręce dziewcząt (ale nie ich dusze) zaangażowane były w pracę. I choć Mary Jane odpowiedzialna była za coś innego, wciąż słyszała huk i stukanie kończyn gigantów, poruszających się w tę i z powrotem.

Ona sama zajmowała się stworem mniejszym, acz nieskończenie bardziej sprytnym. Skręcał on przygotowane przez olbrzymy włókna, aż powstawały z nich zbite, cienkie nici. Wówczas zaciskał na nich swoje stalowe palce, pokonywał niezdarnie kilka metrów i wracał z nowym zasobem wełny. Stworzenie to wykazywało zręczność właściwą wykwalifikowanym pracownikom i zaczynało powoli ich zastępować. Nie potrafiło zrobić tylko jednej rzeczy: pochwycić zerwanego włókna, by połączyć je z drugim jego końcem. Do tego zadania potrzebna była ludzka duszyczka, więc powierzono je Mary Jane. Gdy podnosiła końce zerwanych nici, pracowity, bezduszny stwór je wiązał.

Wszystko tu było brzydkie. Nawet zielona wełna, która kręciła się i kręciła, nie była tak zielona jak trawa czy szuwary. To była godna pożałowania brunatna zieleń, pasująca do ponurego miasta i szarego nieba nad nim.

A gdy Mary Jane patrzyła w dal, ponad dachy miejskich domów, również tam dostrzegała brzydotę. Domy wiedziały o tym aż nazbyt dobrze. Za pomocą groteskowego, paskudnego stiuku próbowały naśladować filary i świątynie starożytnej Grecji. Udawały, że są czymś, czym nie były. A dusze biednych właścicieli wychodziły

z nich i wchodziły do środka, rok po roku. Zauważały przy tym sztuczność stiuku i farb (póki te całkowicie nie złuszczyły się ze ścian) i pragnęły być kimś innym, ale w końcu zaczynało im być wszystko jedno.

Wieczorami Mary Jane wracała do swojej kwatery. Tylko wtedy, gdy zapadał zmrok, jej dusza dostrzegała odrobinę piękna w mieście – gdy zapalano lampy i gdzieniegdzie dostrzec można było gwiazdę, przebłyskującą poprzez dym. Wówczas miała ochotę pójść w dal i przyjrzeć się nocy, ale stara kobieta, której powierzono opiekę nad nią, jej na to nie pozwalała. Dni mnożone przez siedem stawały się tygodniami, tygodnie przemijały, a każdy był taki sam. Przez cały ten czas dusza Mary Jane płakała za pięknem i nie odnajdywała go nigdzie. Jedynie w niedziele, gdy dziewczyna szła do kościoła, ale gdy z niego wychodziła, miasto wydawało się jej jeszcze bardziej szare niż dotychczas.

Pewnego dnia doszła do wniosku, że lepiej było być dzikim stworzonkiem na uroczych moczarach, niż mieć duszę i płakać za pięknem, ale go nie znajdywać. Tamtego dnia postanowiła pozbyć się duszy. Opowiedziała więc swoją historię jednej z dziewcząt z fabryki i dodała:

– Dziewczęta tutaj są biednie odziane i wykonują pracę, do której nie potrzeba duszy. Na pewno więc niektóre z nich jej nie mają. Mogłabym dać im moją.

Ale dziewczyna z fabryki odrzekła:

– Wszyscy biedni mają duszę. To jedyne, co mają.

Mary Jane zaczęła więc obserwować napotykanych bogaczy. Na próżno szukała kogoś, kto nie miałby duszy.

Pewnego dnia – gdy maszyny spoczęły i gdy spoczęli także ludzie, którzy ich doglądali, a wiatr wiał od strony moczarów – dusza Mary Jane gorzko załkała. Mary Jane stanęła wówczas przed wrotami fabryki, a dusza zmusiła ją do śpiewu. Z jej ust popłynęła dzika pieśń, hymn na cześć moczarów. Do pieśni wkradły się łzy i tęsknota za domem, za odgłosami władczego i dumnego Północnego Wiatru i uroczej damy Śnieżycy. Śpiewała o baśniach, które szeptem opowiadają sitowia. Baśniach, które znane były cyraneczce i czujnej czapli. Płaczliwe tony pieśni niosły się zatłoczonymi ulicami. Pieśni

o bezdrożach i dzikich ostępach, pełnych cudowności i magii. Bo w stworzonej przez krewniaków elfów duszy Mary Jane drzemały pieśń ptaków i odgłos organów rozchodzących się po moczarach.

W tej właśnie chwili *signor* Thompsoni, znany angielski śpiewak, tenor, przechodził tamtędy ze swoim znajomym. Obaj zatrzymali się i zasłuchali. Wszyscy się zatrzymali i zasłuchali.

– Nigdy nie słyszałem nic takiego w Europie – powiedział *signor* Thompsoni.

W ten sposób w życiu Mary Jane nastały zmiany. Pewni ludzie otrzymali pewne listy i w końcu ustalono, że za kilka tygodni zaśpiewa ona główną partię w operze w Covent Garden. Pojechała więc pobierać lekcje w Londynie.

Londyn i lekcje śpiewania były lepsze od miasta w Midlands i od jego okropnych maszyn. Jednak Mary Jane wciąż nie mogła pójść, dokąd chciała, ani żyć po swojemu na skraju moczarów. Nie porzuciła zatem pragnienia pozbycia się duszy, nie mogła jednak znaleźć nikogo, kto nie miałby już swojej własnej.

Pewnego dnia powiedziano jej, że Anglicy nie będą chcieli jej słuchać, jeśli będzie występować jako panna Rush. Miała więc zmienić nazwisko na bardziej odpowiednie.

– Chciałabym nazywać się Straszliwy Wiatr z Północy – powiedziała Mary Jane. – Albo Pieśń Sitowia.

Stwierdzono, że tak nazywać się nie może, i zasugerowano signorinę Marię Russiano. Zgodziła się od razu, tak jak zgodziła się, gdy zabrano ją od jej wikarego. Nie znała się na zwyczajach ludzi.

W końcu nadszedł dzień opery, a był to mroźny dzień zimowy. I *signorina* Russiano stanęła na scenie przed salą pełną ludzi. I *signorina* Russiano zaśpiewała.

I w pieśni tej zawarła całą tęsknotę, którą nosiła w duszy. W duszy, która nie mogła iść do raju. Mogła tylko oddawać cześć Bogu i rozumieć znaczenie muzyki. Tak oto tęsknota przeniknęła do włoskiej pieśni, niczym niepojęta tajemnica ciągnących się bez końca pagórków, brzmiąca w dźwięku owczych dzwonków w oddali. Wówczas w duszach zgromadzonych na sali ludzi pojawiły się wspomnienia, dotychczas niemal martwe, i żyły przez chwilę, podczas trwania tej zachwycającej pieśni.

Wszyscy słuchacze poczuli dreszcz, jakby stali na skraju nieprzyjaznych moczarów, smagani Północnym Wiatrem. I niektórzy z nich poczuli smutek, inni żal, a jeszcze inni nieziemską radość. Aż nagle... pieśń zaczęła cichnąć, jak cichnie zawodzenie zimowego wiatru, gdy z południa przybywa na moczary wiosna.

Zamilkła. A na sali zapadła cisza gęsta jak mgła, kładąc kres pogaduchom między Cecilią, hrabiną Birmingham, i jej przyjaciółką. Wśród głuchej ciszy *signorina* Russiano pospiesznie zbiegła ze sceny, po czym ujrzano ją biegnącą wśród widowni w stronę lady Birmingham.

– Weź moją duszę – rzekła. – To piękna dusza. Potrafi oddawać cześć Bogu, rozumie znaczenie muzyki i potrafi wyobrazić sobie raj. A jeśli weźmiesz ją ze sobą na moczary, zobaczysz piękno. Jest tam wiekowe miasteczko, a w nim cudne drewniane domy i ulice, po których chodzą duchy.

Lady Birmingham wbiła wzrok w *signorinę* Russiano. Wszyscy wstali z miejsc.

– Widzisz? – zapytała *signorina* Russiano. – To piękna dusza.

I chwyciła w dłoń lśniącą duszę, którą do tej pory nosiła w swej lewej piersi, nieco powyżej serca. Krążyły w niej zielone i niebieskie światełka, a w szarym środku tkwił fioletowy płomyk.

– Weź ją – rzekła – a pokochasz wszystko, co piękne. I poznasz imiona wiatrów z czterech stron świata. I piosenki ptaków o świcie. Ja jej nie chcę, bo wolę być wolna. Przyłóż ją do lewej piersi, nieco powyżej serca.

Zgromadzeni wciąż stali, a lady Birmingham poczuła się niekomfortowo.

– Daj ją, proszę, komuś innemu.

– Ale inni już mają dusze – powiedziała *signorina* Russiano.

Widownia nadal stała, a lady Birmingham wyciągnęła dłoń po duszę.

– Może to szczęśliwa dusza – rzekła.

Poczuła, że musi się pomodlić. Przymknęła oczy i powiedziała: *Unberufen,* po czym przyłożyła duszę do lewej piersi, nieco powyżej serca. Miała nadzieję, że ludzie usiądą, a śpiewaczka odejdzie.

W tej samej chwili upadł przed nią na posadzkę stos ubrań. Przez chwilę ci, którzy narodzili się w godzinie zmierzchu, mogli dostrzec w cieniu krzeseł małe, brązowe stworzonko, które uwolniło się z ubrań i skoczyło w stronę oświetlonego holu, gdzie stało się niewidoczne dla oczu. Pokręciło się przez chwilę, aż znalazło drzwi i wydostało się na ulice zalane światłem lamp.

Ci, którzy narodzili się w godzinie zmierzchu, mogli zauważyć, jak skacze ulicami biegnącymi na północ i na wschód, znika, gdy kryje się pod lampami, i pojawia się na nowo po drugiej ich stronie, a błędny ognik unosi się nad jego głową.

W pewnej chwili Małe Dzikie Stworzonko zwróciło uwagę psa, który pobiegł za nim, ale został daleko w tyle. Zawyły więc ze strachu londyńskie koty, które wszystkie rodzą się w godzinie zmierzchu, gdy stworzonko przebiegło obok nich.

Dotarło następnie do nędzniejszych ulic, przy których stały mniejsze domy. Pobiegło po ich dachach prosto w stronę północnego wschodu. Kilka minut wystarczyło, by wydostało się z miasta na otwartą przestrzeń, a potem na tereny dziksze, gdzie znajdują się ogrody owocowe i warzywne, które nie należą ani do miasta, ani do wsi. Aż w końcu Małemu Dzikiemu Stworzonku ukazały się znajome czarne sylwetki drzew, które w ciemności nocy zmieniały się w demoniczne kształty. I zimna, mokra trawa, nad którą unosiła się nocna mgła. Obok przeleciała biała sowa, która wznosiła się i opadała na tle nocy. Widok tego wszystkiego sprawił, że Małe Dzikie Stworzonko uśmiechnęło się szelmowskim elfim uśmiechem.

Zostawiło Londyn daleko w tyle – tam, gdzie czerwieniło się niebo – i nie docierał już do niego okropny gwar tego miasta. Znów mogło usłyszeć odgłosy nocy. Po raz kolejny mogło przejść przez jasną, spokojną osadę oraz przez mroczne, wilgotne pola. Wyminęło wiele sów, płynących w ciemności nocy, stworzeń przyjaznych krewniakom elfów. Od czasu do czasu przecięło szeroką rzekę, skacząc z gwiazdy na gwiazdę. Gdy wybierało trasę, unikało ubitych traktów. Aż w końcu o północy dotarło do ziem Anglii Wschodniej. Usłyszało wówczas świst Północnego Wiatru, władczego i groźnego, pchającego w stronę południa rządne

przygód gęsi. Szuwary kładły się przed nim i śpiewały cichym, płaczliwym tonem – niczym galernicy, którzy kołyszą się pod uderzeniami bicza i nucą przy tym smętną pieśń.

Poczuło na sobie wilgoć mgły, która pokrywa nocą szerokie pola Anglii Wschodniej. I odnalazło pradawny, niebezpieczny staw, otoczony miękkim, zielonym mchem. Wskoczyło do niego i zanurkowało, głębiej i głębiej, w kochanej mrocznej wodzie, aż poczuło, jak jego stopy zanurzają się w dobrze znany muł, który cudownie je chłodził. Wróciło na powierzchnię odświeżone i radosne, by tańczyć na odbiciach gwiazd.

Miałem szczęście znaleźć się tej nocy na skraju moczarów, zostawiwszy za sobą sprawy ludzkie. Widziałem błędne ogniki wznoszące się ze wszystkich niebezpiecznych miejsc w okolicy. Przez całą noc nadciągały gromadnie, aż utworzyły wielki tłum i zatańczyły razem na moczarach.

Myślę, że to była noc wielkiego szczęścia dla wszystkich krewniaków elfów.

Opowiadanie opracowali

Weryfikacja tłumaczenia: Agnieszka Chodkowska

Redakcja: Justyna Szymkiewicz

Kontrola redakcji: Magdalena Świerczek-Gryboś

Korekta: Ilona Żurawska, Paulina Karbownik, Justyna Mroczek-Żal

Weryfikacja: Jakub Moroński, Agnieszka Ruczaj, Iza Siekańska

Kontrola weryfikacji: Magda Kowalewicz

Kontrola przed składem: Dawid Wiktorski

Rekompensata

Charles Victor Tench
Tłumaczenie: Emilian Wojnowski
Tytuł oryginalny: *Compensation*

John, ty tutaj?! – Gdy powódź światła, którą wywołałem pociągnięciem włącznika, ujawniła skuloną postać zapadniętą głęboko w fotelu, zatrzymałem się mimowolnie w progu mojej zacisznej kawalerki.

– To ja, sir, to ja. – Mężczyzna wstał i przetarł oczy sękatymi dłońmi. – Cały dzień na pana czekałem. Dozorca powiedział, że niedługo pan wróci, więc mnie wpuścił. Pewnie przysnąłem, ale to nic dziwnego po bezsennej nocy i tylu nerwach.

– Nerwach? Bezsennej nocy? – Gapiłem się w oszołomieniu, próbując ukryć niejasne obawy, jakie wzbudzał fakt, że zaufany służący mojego przyjaciela, profesora Wroxtona, czekał na mnie cały dzień.

Zrzuciłem płaszcz w pośpiechu, kazałem mu usiąść z powrotem, a sam usadowiłem się przed nim i poprosiłem o wyjaśnienia.

– Taki to ten profesor, sir. – Staruszek skierował na mnie niespokojne spojrzenie otoczonych zmarszczkami oczu. – To dla niego normalne, żeby posyłać mnie w podobnych sprawach, sir, ale dzisiaj przyszedłem z własnej inicjatywy, ponieważ, sir – mówił, patrząc mi w oczy – od zeszłej nocy nie ma po nim ani śladu.

– Dlaczego... – zacząłem.

– O to chodzi, sir – wciął się John. – Przez dwadzieścia lat w folwarku zajmowaliśmy się z żoną profesorem. Nigdy nie wychodził na noc. Ilekroć musiał wybrać się do miasta, to nam mówił. Najczęściej sam go woziłem starym autem. Ale to rzadko, sir, bo profesor Wroxton nieczęsto miał coś do załatwienia poza domem.

– Ależ John! – zaprotestowałem. – Może da się wytłumaczyć twój niepokój jakoś inaczej? Może profesor dostał pilne wezwanie albo wyszedł na spacer lub wzięło go na samotną przejażdżkę.

– Nie, sir. Proszę mi wybaczyć, ale pan się myli. Profesor trzymał się swoich nawyków. Nie wyszedłby sobie ot tak bez słowa. Zastanówmy się. Zna pan profesora tak jak ja. Nawet lepiej, bo jest pan jego przyjacielem, a ja tylko sługą. Niemniej, sir – rozparła go duma – zawsze traktował mnie jak przyjaciela.

– Kontynuuj, proszę – nalegałem, widząc, że ma do powiedzenia coś jeszcze.

– Cóż, sir, kilka minut temu zapytał mnie pan, czy da się ten mój niepokój wytłumaczyć jakoś inaczej. Da się, sir. Wie pan, że profesor przez więcej niż dwadzieścia lat prowadził emeryckie życie, życie...

– Życie samotnika – zasugerowałem.

– No właśnie, sir. Opuszczał folwark, tylko jeśli musiał. Ciągle tworzył dziwaczne wynalazki. Przez te wszystkie lata, sir, był pan jedynym gościem, który wszedł do jego laboratorium czy zatrzymał się w folwarku na noc lub dwie. Tak było, sir, jeszcze trzy dni temu.

– Kontynuuj – ponagliłem znowu, gdy i mnie udzielił się częściowo jego niepokój.

– Niewielu widuje ów folwark, sir, co sobie tak leży, bo leży, piętnaście mil od miasta w obie strony, z dala od drogi. Jak już przychodzą tu jacyś obcy, to ja ich od razu wypraszam, raz-dwa. Trzy dni temu, sir, przyjechał jakiś nieznajomy, niezłym samochodem, aż pod same drzwi. Powiedział, że chce kupić domek na wsi, a ja mu na to, że folwark nie jest na sprzedaż, i zawróciłem

go do wyjścia. Już wycofywał autem, kiedy wyszedł profesor. Ku mojemu zdziwieniu, sir, zaprosił nieznajomego do siebie. I pewny jestem, sir, że ten obcy nie znał profesora, bo wyglądał na takiego spłoszonego.

– A potem co się stało? – zapytałem, zdecydowanie zaniepokojony.

– Ów nieznajomy, sir, co przedstawił się jako pan Lathom, został na noc. Siedzieli w biurze z profesorem, a rano po żadnym z nich ani śladu.

– Ale... dobry Boże, John! – Zerwałem się na nogi, a świeży strach ściskał mi serce. – Do czego zmierzasz? Profesor i pan Lathom mogli zeszłej nocy dokądś pojechać.

– Obydwa samochody, sir – odpowiedział służący – są w garażu. Co noc rygluję wszystkie drzwi w domu. A rano nadal były zamknięte. Przeszukałem z żoną cały dom, od piwnicy aż po strych, i teren wokół posiadłości. Nie znaleźliśmy śladu ani po profesorze, ani po jego gościu.

– Czyli mówisz – wypaliłem – że dwóch dorosłych mężczyzn po prostu zniknęło? To jakiś absurd, John! Absurd!

Z poczuciem, jakby obserwował mnie sam Bóg, chodziłem w tę i we w tę, myśląc rozpaczliwie przez kilka minut. Na wpół się uśmiechnąłem. Uznałem tę sprawę za zbyt niedorzeczną. Staremu Johnowi coś odbiło z powodu pustelniczego życia. Musiałem też przyznać, że atmosfera folwarku, przesiąknięta śmiertelnie niebezpiecznymi zapędami naukowymi mojego przyjaciela, bez dwóch zdań mogła zaniepokoić kogoś niewykształconego. Postanowiłem udać się do niego. Liczyłem, że zastanę profesora całego i zdrowego. Nie korzystał z telefonu, więc musiałem pojechać.

– John. – Przystanąłem i poklepałem go po ramieniu. – Nie ma co, jadę do folwarku. Jestem pewien – mówiłem, zakładając płaszcz – że znajdziemy profesora oraz jego gościa. W każdym razie pora, żebyś wrócił do żony i coś zjadł.

Jego mina wyrażała wdzięczność.

– Na miłość boską, sir, mam nadzieję, że tak będzie. – Po tych słowach poszliśmy do samochodu.

Mimo że próbowałem rozwiać obawy zarówno swoje, jak i Johna, tego wieczoru kierowałem autem tak, jak nigdy wcześniej ani nigdy później. Ledwie minęło piętnaście minut, a już zatrzymałem mojego roadstera tuż przy schodach do głównego wejścia folwarku. Gdy tylko wysiedliśmy, drzwi od domu się otworzyły i podeszła do nas zdenerwowana kobieta – Mary, małżonka Johna.

– Sir! – Złapała mnie za ramię i spojrzała mi nerwowo w oczy. – Takam zadowolona, że przyjechaliście. Folwark to jakieś przeklęte miejsce.

Mimowolnie wstrząsnął mną dreszcz. Delikatnie popchnąłem ją w stronę Johna i wszedłem po schodkach.

Zatrzymałem się w otwartych drzwiach, a tuż za mną kobieta, która wciąż paplała o tym przeklętym miejscu. Nie mogłem jej za to winić. Cały dzień przesiedziała w ponurym, rozpadającym się, starym budynku, bez wątpienia zastanawiając się, dlaczego mnie i Johnowi tak długo zeszło z powrotem.

W domu panował smutek. Zawsze, nawet gdy przebywałem w nim na prośbę profesora, sprawiał wrażenie nieprzyjemnego i przygnębiającego, jakby w jego murach czaiły się cieniste skrzydła tragedii sprzed lat, która sprawiła, że mój przyjaciel przeniósł się w to zapomniane przez Boga miejsce, by oddawać się eksperymentom naukowym.

Nawet teraz, kiedy wpatrywałem się w słabo oświetlony korytarz, powietrze wydawało się naładowane tym samym złośliwym czymś, czego nie potrafię opisać.

Pozbierałem się do kupy. Przeszedłem szybko korytarzem i otworzyłem drzwi do oświetlonego gabinetu. Jedno spojrzenie wystarczyło, by przekonać się, że mojego przyjaciela tam nie ma. Obróciłem się na pięcie, a przerażenie, które dostrzegłem w oczach służących – uczciwych, krzepkich ludzi, których niełatwo przestraszyć – udzieliło się mnie samemu. W jakiś sposób widok tego

pokoju, te zapalone światła, krzesła przyciągnięte do wygasłego kominka, uświadomiły mi, że coś naprawdę jest nie tak. Wyrzucałem sobie, że posądziłem Johna o to, iż był nadmiernie roztrzęsiony.

Przez chwilę trwałem w bezruchu, starając się nie dać po sobie poznać strachu, który przepływał mi w żyłach, i zastanawiałem się, co robić dalej. Postanowiłem przeszukać starannie dom i, w razie gdybym nie znalazł śladu po profesorze ani jego gościu, zadzwonić na policję.

Starsze małżeństwo – z obawą, ale i ochotą – prowadziło mnie od pokoju do pokoju, od strychu do piwnicy, aż pozostało tylko jedno miejsce. Laboratorium. Wahałem się przez kilka sekund przed zamkniętymi drzwiami do pracowni mojego przyjaciela. Nie żebym nigdy nie wszedł do tego – jak dla laika – dziwnie urządzonego pomieszczenia. Przebywałem tam z profesorem wiele razy. Tym razem obawiałem się jednak, co mogę zastać w środku.

Zebrałem się w sobie i spróbowałem delikatnie otworzyć drzwi. Ku mojemu przerażeniu wystarczył dotyk, aby ustąpiły. Gdy profesor tu mieszkał, zawsze miał je zamknięte. Ogarnął mnie nowy strach, kiedy po otwarciu drzwi na oścież zamrugałem przy nagłym blasku potężnych lamp. Ktoś zostawił włączone światło!

Zatrwożony, stałem i się gapiłem. Po ciężkim oddechu starszego małżeństwa wywnioskowałem, że również wpatrują się z przerażeniem. Czego się bali? Nie wiedziałem. Czułem tylko, że atmosfera stała się jeszcze bardziej złowroga. Wiedziałem, że w tym pokoju wydarzyło się coś strasznego.

Drżąc z konsternacji, zmusiłem się do zrobienia kilku kroków naprzód, po czym znów rozejrzałem się wokół. Na końcu dużego pokoju coś błyszczało w akompaniamencie świateł. Podszedłem powoli, aby bliżej się temu przyjrzeć: była to szklana gablota, prawie jak gablota wystawowa, o podstawie około ośmiu stóp kwadratowych i wysokości siedmiu stóp. Obszedłem ją, poruszając się sztywno niczym psychicznie zdruzgotany człowiek.

Nie wiedziałem, jak do niej wejść. Fakt ten mnie zaintrygował. Postukałem lekko palcami w wypolerowaną powierzchnię. Zabrzmiała jak rżnięte szkło.

Przez przezroczystą powierzchnię widziałem Johna i jego żonę. Przyglądali mi się ukradkiem, bez wątpienia zastanawiając się, z czym tak zwlekam. John podszedł nagle do gabloty po przeciwnej stronie. Padł na kolana z lekko wytrzeszczonymi oczyma. Zwrócił błagalny wzrok w moją stronę i uniósł rękę. Poruszał bezdźwięcznie ustami. Spojrzałem za jego palcem wskazującym, po czym zaniemówiłem na widok tego, co zobaczyłem.

We wnętrzu tej klatki, bliżej środka, na podłodze z tego samego krystalicznego tworzywa coś błyszczało, a gdy padały na to promienie światła, blask niemal oślepiał. Przycisnąłem twarz do zimnej powierzchni konstrukcji. Stopniowo uzmysławiałem sobie, co to za mały, lśniący obiekt. Był to wspaniały diament, a profesor zawsze nosił pierścionek z diamentem!

W przerażeniu, które owładnęło mną nagle, obszedłem klatkę na czworaka do miejsca, gdzie wciąż klęczał John. Gdy dotarłem do niego, skinął głową w odrętwieniu i wykrztusił:

– To diament, sir! Diament profesora!

– Ale jak to? – zapytałem. – Jak to możliwe? Nie ma tu, do tej klatki, żadnego wejścia. Może tu pracował, kiedy kamień oderwał mu się od pierścienia. Przecież nie wleciał tam po tym, jak klatka została złożona.

– To jego diament, sir – zaintonował tępo mężczyzna. – Wiem, że to jego.

Naraz ogarnął mnie nieuzasadniony strach. Oddaliłem się od tej lśniącej klatki. Wydawało mi się, że drwi ze mnie, złowrogo, tryumfalnie.

– Szybko! – rzuciłem w stronę podstarzałej pary. – Wynośmy się stąd! Teraz! Już!

Nie potrzebowali drugiego ponaglenia. Wiedziałem, że tknęło ich to samo przeczucie, co mnie: laboratorium było grobowcem!

Pięć minut później jechałem już do miasta po wąskiej drodze. Zatrzymałem się dopiero pod komendą policji. Wyglądałem chyba jak zbity pies, ponieważ bezzwłocznie zaprowadzono mnie do gabinetu komendanta. Raz-dwa opowiedziałem swoją historię. Policjant słuchał mnie z uprzejmym, wręcz irytującym spokojem. Odchylił się w fotelu i na głos łączył wątki:

– Pański przyjaciel, profesor Wroxton, ożenił się dwadzieścia parę lat temu. Pochłonięty poszukiwaniem jakiegoś dziwnego wynalazku zaniedbał małżonkę. Uciekła do innego mężczyzny, a ten porzucił ją i zniknął. Profesor odnalazł żonę wiele miesięcy później, w rozpaczliwym stanie. Wkrótce potem zmarła. Profesor próbował wytropić tego mężczyznę, ale bezskutecznie. Zawiedziony i zasmucony ponad miarę udał się na emeryturę do miejsca zwanego folwarkiem.

Wyprostował się nagle i wycelował we mnie gruby palec wskazujący.

– Od jak dawna zna pan profesora Wroxtona?

– Od około dziesięciu lat – odpowiedziałem.

– Co próbował wynaleźć?

– Nie wiem.

– A jednak zdobył pan jakoś jego zaufanie?

– Ale jak dzięki takim pytaniom można ustalić, co się z nim stało?! – wykrzyknąłem. – Być może liczy się każda chwila.

– Można. – Komendant spojrzał na mnie w sposób, który mi się nie podobał. – Tylko dlatego, że służący nie widzieli profesora przez zaledwie dwadzieścia cztery godziny, i tylko dlatego, że widział pan w jakiejś szklanej komorze w jego laboratorium coś, co uważa pan za jego diament, przychodzi pan tu tak zrozpaczony jak człowiek, który ma nierówno pod sufitem. Czemu?

– Nie potrafię tego wyjaśnić. – Przesunąłem się niepewnie pod jego bacznym spojrzeniem. – Jakoś czuję, że stało się z nim coś strasznego.

– Nie kierujemy się uczuciami. – Komendant wstał. – Ale powiedział mi pan wystarczająco dużo, abym zajął się tą sprawą.

Chcę, żeby zaprowadził pan mnie i kilku moich ludzi do jego domu. Proszę tu poczekać, aż wrócę. – Wyszedł z biura.

Gdy tam siedziałem i czekałem na komendanta, starałem się podejść do tej sprawy z rozsądkiem. W końcu może policjant miał rację. Tylko dlatego, że profesor był nieobecny przez kilka godzin, a ja widziałem w laboratorium coś, co uważałem za jego diament, doprowadziłem się do jakiejś szaleńczej gorączki. Niemal uśmiechnąłem się sam do siebie. W tym biurze cała sprawa wydawała się absurdalna. Przecież profesor nie musiał opowiadać służącym o wszystkim, co zamierza zrobić.

Ciężkie kroki zwiastujące powrót komendanta sprawiły, że podniosłem się na nogi. Kilka minut później, w towarzystwie trzech policjantów, wracałem do folwarku.

Drogę powrotną przebyliśmy w niemal zupełnej ciszy. Od czasu do czasu komendant rzucał jakimś pytaniem, ale nocne powietrze chłodziło mój rozgorączkowany umysł, więc odpowiadałem ostrożnie. Komendant wyczuł tę ostrożność, więc nie spuszczał ze mnie oka ani na chwilę. Zastanawiałem się, jakie myśli kłębią się za tym jego szerokim czołem.

Dotarliśmy do folwarku. Gdy wchodziliśmy po schodach, John, z żoną u boku, otworzył szeroko drzwi. Na moje pytające spojrzenie pokręcił głową i powiedział:

– Bez zmian, sir.

Komendant przyjrzał mu się uważnie, po czym kurtuazyjnie nakazał zaprowadzić się do laboratorium. John się cofnął, a jego twarz zbladła.

– Nie mogę, sir – powiedział z trudem.

Komendant zwrócił się do mnie i – mimo że chciałem pójść za przykładem Johna, a atmosfera tego domu znów napełniła mnie nieprzejednanym lękiem – zgodziłem się go zaprowadzić. Stanąłem przy drzwiach, aby przepuścić policjantów.

Komendant, powoli i z wyrachowaniem, ogarniał wzrokiem każdy szczegół kamiennego pomieszczenia. Zwrócił się do mnie:

– I czego tu się bać?

Wskazałem z wahaniem w kierunku kryształowej klatki. Komendant podszedł do niej ze swoimi ludźmi i po krótkich oględzinach zapytał:

– Nie wiesz, jak ją otworzyć?

– Nie – odpowiedziałem. – Nie było jej tu podczas mojej ostatniej wizyty.

– Czyli kiedy?

– Jakieś dwa czy trzy miesiące temu – odparłem. – Taka praca, że muszę dużo jeździć.

Komendant i jego ludzie, znów zwróceni ku klatce, rozmawiali półgłosem. Ponownie odwrócił się do mnie.

– Widzicie, że ta klatka składa się z części. Jedna z nich musi być ruchoma. Być może... – przerwał, gdy jego wzrok padł na jakieś przewody i rurki, które ciągnęły się po podłodze od spodu klatki do tablicy rozdzielczej przymocowanej do ściany. – Być może – powtórzył – ten panel umożliwia sterowanie.

Przeszedł na drugą stronę, przez kilka sekund wpatrywał się z namysłem w błyszczące dźwignie, po czym lekko poruszył jedną z nich. Rezultat okazał się zdumiewający. Cała nasza czwórka gapiła się z niedowierzaniem, jak fragment jednej ściany powoli, bez najmniejszego dźwięku, wsuwa się do środka, jakby prowadzony przez niewidzialne szyny na podłodze i suficie.

– Chyba na razie wystarczy. – Z tymi słowami komendant odsunął się od centrali, niemal nieśmiało, jak mi się wydawało, i podszedł do klatki. Wahał się przez chwilę, ale wszedł do niej i wyszedł z błyszczącym przedmiotem w ręku.

– To profesora – wykrztusiłem, przysuwając się do niego.

– Skąd pan wie? – wypalił. – Wszystkie nieoszlifowane kamienie wyglądają bardzo podobnie.

– Po prostu wiem – odpowiedziałem; to wszystko, co mogłem wymamrotać.

– Aha, „po prostu pan wie". – Komendant usiadł na stołku i spojrzał na mnie badawczo. – Panie Thornton, jak zacząłem z panem całą tę akcję, myślałem, że będzie to albo jak szukanie wiatru w polu, albo coś poważnego. Wyglądał pan dokładnie jak człowiek, który albo popełnił poważne przestępstwo, albo był po ciężkim chlaniu. Teraz jestem pewien – ponownie spojrzał na diament – że pańska historia nie jest wytworem oszalałego od alkoholu mózgu. Idziemy! – Wstał i chwycił mnie za ramię.

Nie odpowiadając, wyrwałem się. Przez ramię zobaczyłem jednego policjanta przy drzwiach. W ręku innego nagle pojawił się rewolwer. Dobry Boże! Zdumiony skakałem wzrokiem od jednego do drugiego. Czy ja oszalałem? To był jakiś koszmar! Co ja takiego powiedziałem, że posądzili mnie o popełnienie odrażającej zbrodni?

– Siadaj! – rozkazał komendant. Instynktownie chwyciłem za stołek i posłusznie usiadłem. – Zostańcie na swoich pozycjach, chłopcy, i słuchajcie uważnie – rozkazał swoim ludziom. Potem zwrócił się do mnie: – Profesor Wroxton był bogatym człowiekiem bez krewnych i powinowatych?

– Tak.

– Wie pan, co zapisał w testamencie?

– Tak. – Poczułem zimny uścisk strachu w sercu, a potem, jak zaciska się ta sieć poszlak.

– Co zapisał?

– Ten dom i roczną rentę dla Johna i jego żony – wyjaśniłem. – Pozostałą część majątku przepisał na mnie.

– Ech! – Komendant wpatrywał się we mnie przeszywająco. – I jak ostatnio idą panu interesy?

Niech go diabli! Jakim prawem chciał poddawać mnie takiemu intensywnemu przesłuchaniu? Moje oszołomienie i przerażenie powoli ustępowały gniewowi. Rozejrzałem się dookoła. Pistolet nadal był skierowany na mnie, a mężczyzna przy drzwiach tkwił w miejscu. Na nic zdały się próby unikania pytań.

– Przez ostatni rok – odpowiedziałem – moje interesy szły bardzo słabo. W rzeczywistości profesor nawet pożyczył mi trochę pieniędzy.

– Ech! – Znowu to irytujące, dwuznaczne westchnięcie.

Policjant obrócił się w fotelu i w zamyśleniu patrzył na kryształową klatkę.

– I nie wie pan, co profesor chciał wynaleźć?

– Próbował dowieść pewnej teorii.

– Ach! Od razu lepiej. Dlaczego nie powiedział mi pan o tym wcześniej? – Komendant się pochylił.

– Cóż – wyjaśniłem – cała ta sprawa wydaje się tak absurdalna. Kiedy profesor opowiedział mi, jak rozpadło się jego małżeństwo, oznajmił, że osiągnął wtedy największą głębię ludzkiego cierpienia. Zero absolutne, tak to nazwał.

– Aha!

– Eksperymenty, którym się oddawał – ciągnąłem, starając się ukryć dreszcz, który mnie przeszył – miały na celu wytworzenie rzeczywistego stanu zera absolutnego. Minęły lata, odkąd mi o tym powiedział. Prawie o tym zapomniałem.

– A czym dokładnie jest to zero absolutne? – Komendant wciąż patrzył mi w oczy.

– Cóż – rzekłem – proszę zrozumieć, że ja również jestem laikiem w tych sprawach. Osiągnięcie zera absolutnego, według mojego przyjaciela, od wieków jest marzeniem naukowców. Pewnego razu stan ten udało się osiągnąć, ale to sekret.

– I nic nie wiadomo o zerze absolutnym?

Do diabła z nim! Miałem ochotę strzelić go za ten mrożący krew w żyłach ton. Zmusiłem się do kontynuowania, zdając sobie sprawę, że pogrążam się z każdym słowem.

– Zero absolutne to zimno tak intensywne, że zniszczy ciało, kości i tkanki. Usunie je – głos podniósł mi się wbrew woli – nie pozostawiając absolutnie żadnych śladów.

Żadnych śladów! Coś przyciągnęło mój wzrok. Komendant otworzył dłoń. Znajdujący się w niej diament błyskał i mienił się, jakby kpiąc ze mnie. Zebrałem się w sobie i mówiłem dalej:

– Wszystko sobie zaczynam przypominać. Pewnego dnia przyszedłem tutaj i zastałem profesora strasznie zrozpaczonego. Powiedział mi, że za pomocą prądów elektrycznych osiągnął zero absolutne, ale nie udało mu się wynaleźć na nie zbiornika.

– Dlaczego? – Jego oczy nadal wwiercały się w moje.

– Ponieważ, a zważcie, że minęły lata, odkąd mi to powiedział, istniała trudność w kontrolowaniu tej mocy. Oprócz niszczenia istot żywych niszczyła ona cegły i zaprawę murarską, kamień i żelazo. Tylko jednej substancji nie mogła zniszczyć: kryształu o twardości diamentu. Już wiem! – Zerwałem się na nogi i chwyciłem komendanta za ramię. – Teraz wiem, co miał na myśli. Głupiec ze mnie, głupiec! Dlaczego nie pomyślałem o tym wcześniej? Dzięki temu – zamachnąłem się w kierunku klatki – otrzyma swoją rekompensatę. – Prawie dysząc z zapału, mówiłem dalej: – Mój przyjaciel powiedział mi, że dzięki prawu do rekompensaty zostanie mu odpłacone za tragedię z lat młodości. Absolutne zero w cierpieniu zostałoby odpokutowane przez rzeczywisty stan zera absolutnego. Komendancie! – Obróciłem się do niego. – Czy pan nie rozumie? To jest udoskonalone marzenie mojego przyjaciela. To jest zero absolutne.

– Ech! Wiarygodne, ale nie przekonujące.

Odchyliłem się na słowa komendanta.

– To nie wyjaśnia, dlaczego zniknął. Nawet gdyby tak było, co z panem Lathomem? I proszę nie zapominać, że tym urządzeniem steruje się od zewnątrz. Diament znaleźliśmy w środku. Oczywiście, mógł go tam umieścić, aby przetestować maszynę – podsumował.

– Oczywiście, że tak – zacząłem. Ale pożałowałem tych słów, gdy zobaczyłem, że w oczach komendanta znów błysnęła podejrzliwość. Żałośnie dokończyłem: – I pewnie popędził, w ekstazie tryumfu, by pochwalić się tym kolegom po fachu.

– Bez otwierania drzwi czy wsiadania do samochodu, ta? Panie Thornton. – Komendant wstał i spojrzał na mnie surowo. – Czy

jako rozsądny człowiek nie uważa pan, że pańska historia jest nieco niespójna? Profesor zniknął. Oto dziwna klatka, o której mówi pan, że jest zbiornikiem na zero absolutne. To, czy pan to wie, czy tylko wyciąga pochopne wnioski, pozostaje do udowodnienia. Ale nawet jeśli tak jest, to czy uważa pan, że po udoskonaleniu tak wspaniałego wynalazku profesor popełniłby samobójstwo?

– Wręcz przeciwnie! – wykrzyknąłem. – Mój przyjaciel był człowiekiem o łagodnym, uprzejmym usposobieniu, ale i zawsze stawiał na swoim. Powinienem sądzić, że jego pierwszą czynnością po osiągnięciu życiowej ambicji byłoby powiadomienie mnie, najbliższego przyjaciela.

– Ale tego nie zrobił.

Każde słowo było zarazem oskarżeniem i zachętą do odwetu.

– Komendancie, znam prawo na tyle, by wiedzieć, że zanim posądzi się kogoś o morderstwo, trzeba najpierw udowodnić, że zostało popełnione. – Uśmiechnąłem się groźnie. – Musi mieć pan *corpus delicti*. No! Znajdźże pan mojego przyjaciela lub jego szczątki. Albo niech pan wycofa swoje zarzuty. – Uśmiechnąłem się ponownie, po czym nagle spochmurniałem.

Schowałem głowę w dłoniach. Wezwałem policję, żeby pomogła mi znaleźć profesora, a oni tylko się kręcili i zadawali mnóstwo głupich pytań. Komendant praktycznie oskarżył mnie o morderstwo – o coś, czego wiedziałem, że nie może udowodnić, a czego mimo wszystko się obawiałem. Ponieważ powiedziałem mu o zaryglowanych drzwiach i nietkniętych samochodach, to podczas dochodzenia nie wychodził myślami poza folwark.

Wyrwał mnie z zadumy.

– Panie Thornton, wracam do miasta. Zostanie pan tutaj z moimi ludźmi. Radzę się przespać, bo do rana i tak nie będę mógł przeprowadzić niektórych czynności dochodzeniowych. Jeden z moich ludzi przeszuka dom i będzie patrolował posiadłość, drugi zostanie tu, z panem.

Odwrócił się, wyszeptał polecenia do policjantów, a któryś z nich bezszelestnie opuścił z nim laboratorium. Zacząłem protestować, próbowałem iść za nimi, ale zatrzymał mnie mężczyzna przy drzwiach. W milczeniu, niemal ponuro, wskazał wąskie łóżko na drugim końcu pomieszczenia. Wahałem się przez chwilę, czując, jak odpycha mnie wzrokiem.

Spać w łóżku mojego martwego – byłem pewien, że martwego – przyjaciela! Spać w tym strasznym miejscu! Całą moją istotę przepełniał strach. Odwróciłem się ponownie do mężczyzny. Wyraz twarzy miał nieugięty. Być może były to kolejne techniki śledcze. Wycieńczony, powlokłem się ociężale do łóżka.

Nigdy nie zapomnę tej pobudki. Umundurowana postać, którą był komendant, potrząsnęła mnie za ramię. Dwóch innych mundurowych przyglądało mi się w milczeniu. Usiadłem i rozejrzałem się oszołomiony. Przez okna wpadało ostre światło dnia. Zbłąkany promień dosięgnął klatki. Cofnąłem się odruchowo, drżąc. A do niedawna spałem tak spokojnie.

– Panie Thornton – powiedział komendant – mam dla pana ważne wieści. Mam niezbity dowód na to, że pański przyjaciel nie żyje.

– Dobry Boże! – Wrzask ten wyrwał się ze mnie sam, gdy uderzyło mnie wspomnienie. – Co? To niemożliwe!

– Proszę zobaczyć. – Wepchnął mi w ręce plik listów. – Wczoraj wieczorem zachowywał się pan tak dziwnie, że wzbudził pan moje podejrzenia o popełnienie poważnego przestępstwa. Ponadto przeoczył pan kilka ważnych kwestii. Wrócił pan z podróży dopiero wczoraj wieczorem.

Wczoraj wieczorem! Pewien byłem, że upłynęły całe lata.

– Zostawił pan instrukcje, które mówią, aby zachować pańską korespondencję – ciągnął równym tonem. – Te listy znalazły się w pańskim pokoju najwyraźniej jeden dzień po tym, jak pan przyjechał. Znalazłem je rano. Pozwoliłem sobie je otworzyć. Proszę przeczytać ten. – Pokazał który.

Drżącymi palcami wyjąłem z koperty jedną zapisaną stronę. Rozpoznałem, że to pismo profesora. Czytałem gorączkowo, a każde słowo wypalało się w mojej świadomości:

Drogi Thorntonie!

Piszę ten list z wyprzedzeniem. Dopilnuję, by wysłano go pocztą, gdy moje plany zostaną zrealizowane. Za późno, drogi przyjacielu, abyś próbował je pokrzyżować, mając nawet najlepsze intencje na świecie.

Być może pamiętasz, że wiele lat temu, kiedy obdarzyłem Cię pełnym zaufaniem, powiedziałem Ci, że jestem pewien, iż dzięki prawu do rekompensaty w jakimś stopniu zostanie mi wynagrodzona moja strata. Thornton, stary przyjacielu, wierzę, że pod wieloma względami moja godzina nadeszła. Dwa dni temu osiągnąłem zero absolutne. Ale to nie wszystko!

Przyjechał dziś do mnie z wizytą pewien mężczyzna. Choć mnie nie poznał, to ja, pomimo lat, które upłynęły, poznałem go z łatwością. Los (nazwij to, jak chcesz) zechciał, by moim gościem był człowiek, który odebrał mi szczęście.

Jakoś go zatrzymam, nakłonię, by wszedł do kryształowej klatki. Mam już przygotowaną podwójną konsolę do sterowania, która spali się, gdy użyję jej wewnątrz klatki.

Proszę, pozbądź się klatki. Ja otrzymam swoją rekompensatę, jeszcze zanim to przeczytasz.

Żegnaj, drogi przyjacielu!

Wroxton

– Przepraszam, panie Thornton. – Komendant podał mi dłoń, którą ścisnąłem ze smutkiem, ale i z ulgą.

Świat stracił geniusza, a ja bliskiego przyjaciela. Ale profesor dowiódł swego. I otrzymał rekompensatę.

Opowiadanie opracowali

Weryfikacja tłumaczenia: Kamila Regel
Redakcja: Agata Jankowska
Kontrola redakcji: Magdalena Świerczek-Gryboś
Korekta: Paulina Karbownik, Justyna Mroczek-Żal, Agnieszka Anulewicz-Wypych, Ilona Żurawska
Weryfikacja: Magdalena Kłodowska, Joanna Gasińska, Sandra Michałek
Kontrola weryfikacji: Magda Kowalewicz
Kontrola przed składem: Dawid Wiktorski

Gość

Lord Dunsany
Tłumaczenie: Agnieszka Kasprzycka
Tytuł oryginalny: *The Guest*

O godzinie dwudziestej do eleganckiej restauracji w Londynie wszedł młody mężczyzna.

Mimo że był sam, zarezerwowany przez niego stolik nakryto dla dwóch osób. Kolację wybrał starannie już wtedy, gdy z tygodniowym wyprzedzeniem składał listowne zamówienie.

Kelner zapytał go o drugiego gościa.

– Prawdopodobnie nie zobaczy pan tej osoby do czasu, aż przyjdzie pora na kawę – odpowiedział młody człowiek.

Tak więc mężczyzna został obsłużony w pojedynkę.

Ludzie siedzący przy pobliskich stolikach widzieli, że podczas swojej wystawnej kolacji mężczyzna nieustannie zwracał się do pustego krzesła, wygłaszając monolog.

– Wydaje mi się, że znacie się z moim ojcem – powiedział do niego ponad zupą. – Posłałem po ciebie dzisiejszego wieczoru – ciągnął – ponieważ chcę cię prosić o oddanie mi przysługi. Prawdę powiedziawszy, jestem zmuszony nalegać.

W mężczyźnie nie dało się dostrzec niczego, co świadczyłoby o ekscentryczności, nie licząc zwyczaju przemawiania do pustego krzesła: bez wątpienia każdy zdrowy na umyśle człowiek chciałby zjeść tak dobry posiłek.

Gdy podano mu burgunda, jego monolog nabrał płynności, chociaż młodzieniec nie przebrał miary w piciu wina.

– Mamy kilku wspólnych znajomych – powiedział. – Rok temu w Tebach poznałem króla Seti. Sądzę, że niewiele się zmienił od czasów waszej znajomości. Odniosłem wrażenie, że ma dość niskie czoło jak na króla. Cheops opuścił dom, który wybudował na twoje przyjęcie. Całymi latami musiał się przygotowywać na twoje przybycie. Zgaduję, że takie rozrywki nieczęsto ci się trafiały. Zamówiłem tę kolację ponad tydzień temu. Myślałem wtedy, że może będzie mi towarzyszyć pewna dama, ale ponieważ odmówiła, zaprosiłem ciebie. W sumie chyba nie była tak czarująca jak Helena Trojańska. Czy ona była czarująca? Może nie wtedy, kiedy się spotkaliście. Poszczęściło ci się, jeśli chodzi o Kleopatrę: udało ci się zobaczyć ją w najlepszym okresie jej życia. Nie było ci dane poznać ani syren, ani wróżek, ani pięknych bogiń z dawnych czasów, pod tym względem jesteśmy lepsi.

Gdy kelnerzy podeszli do stolika, mężczyzna zamilkł, ale jak tylko się oddalili, wesoło gawędził dalej, zwrócony w stronę pustego krzesła.

– Całkiem niedawno widziałem cię tu, w Londynie, wiesz? W autobusie na Ludgate Hill. Jechał zdecydowanie za szybko. Londyn to świetne miejsce. Ale będę całkiem zadowolony, kiedy je opuszczę. To właśnie w Londynie poznałem kobietę, o której wcześniej wspomniałem. Gdyby nie Londyn, zapewne bym jej nie spotkał, i gdyby nie Londyn, niewiele miałaby rzeczy poza moją osobą, które mogłyby dostarczyć jej rozrywki. Każdy kij ma dwa końce. – Przerwał, by zamówić kawę, wpatrując się przy tym z powagą w kelnera, któremu po chwili wcisnął do ręki suwerena. – Tylko bez cykorii – rzekł.

Gdy kelner przyniósł napój, młody mężczyzna wrzucił do swojej filiżanki jakąś tabletkę.

– Przypuszczam, że nie przychodzisz tu zbyt często – ciągnął. – Cóż, pewnie chcesz już iść. Nie odwiodłem cię zbytnio od obowiązków, w Londynie masz wiele do zrobienia.

Następnie, skończywszy pić kawę, upadł na podłogę obok pustego krzesła, a lekarz, również stołujący się w restauracji, pochylił się nad nim i oznajmił zaniepokojonemu kierownikowi unaocznioną teraz obecność gościa młodego mężczyzny.

Opowiadanie opracowali

Weryfikacja tłumaczenia: Alicja Janusz

Redakcja: Magda Kowalewicz

Kontrola redakcji: Magdalena Świerczek-Gryboś

Korekta: Gabriela Gardoń, Justyna Mroczek-Żal, Katarzyna Twarduś, Ilona Żurawska

Weryfikacja: Małgorzata Lewandowska, Barbara Uznańska-Loch, Kuba Moroński

Kontrola weryfikacji: Anita Brzozowiec

Kontrola przed składem: Dawid Wiktorski

Upadek Babbulkund

Lord Dunsany
Tłumaczenie: Natalia Laprus
Tytuł oryginalny: *The Fall of Babbulkund*

Powiedziałem:

– Powstanę teraz i ujrzę Babbulkund, Stolicę Cudów. Jest tak stara jak świat, a gwiazdy są jej siostrami. Dawni faraonowie, którzy przybyli z Arabii, by podbić tutejsze tereny, wpierw ujrzeli górę samotnie wznoszącą się na pustyni, po czym wykuli w niej wieże i tarasy. Zniszczyli jedno ze wzgórz Boga, ale uformowali Babbulkund. Wyrzeźbili ją, nie zbudowali. Jej pałace tworzą jedność z tarasami, bez żadnych spoin i szczelin. Babbulkund kryje w sobie piękno młodości świata i uznawana jest za środek Ziemi. Ma cztery bramy zwrócone ku Narodom.

Przed wschodnią bramą siedzi ogromny kamienny bóg, którego twarz rumieni się w blasku świtu. Kiedy rankiem promienie słońca ogrzewają mu wargi, rozwiera je odrobinę, by wypowiedzieć słowa: „Oon Oom". Mówi w języku dawno wymarłym, a jego czciciele leżą w grobowcach, tak więc nikt nie wie, co zwiastują słowa wypowiadane o brzasku. Niektórzy twierdzą, że kamienny bóg pozdrawia słońce w języku, w jakim witają się bogowie. Inni uważają, że ogłasza nastanie dnia, a jeszcze inni, że to przestroga.

Przy każdej z bram znajduje się cud, w który trudno uwierzyć, póki się go nie ujrzy.

Zebrałem trzech przyjaciół i rzekłem do nich:

– Jesteśmy tym, co zobaczyliśmy i co wiemy. Jedźmy podziwiać Babbulkund, by nasze umysły stały się dzięki temu piękniejsze, a nasze dusze świętsze.

Wsiedliśmy więc na statek, by ruszyć w podróż przez falujące morze. Nie wspominaliśmy spraw związanych z miastami nam znanymi, myśli o nich odłożyliśmy na bok jak brudną pościel. Śniliśmy tylko o Babbulkund. Kiedy dobiliśmy do lądu, któremu Babbulkund przynosi wieczną chwałę, wynajęliśmy arabskich przewodników oraz karawanę wielbłądów i udaliśmy się na południe w trzydniową podróż przez pustynię, by dotrzeć do białych murów miasta. Żar słońca lał się na nasze głowy z jasnoszarego nieba, a gorąc pustyni palił nasze stopy.

O zachodzie zatrzymaliśmy się i uwiązaliśmy konie, natomiast Arabowie rozjuczyli wielbłądy i rozpalili ognisko z suchych krzewów, jako że o zmierzchu skwar pustynny nagle ulatuje niczym ptak. Wtedy ujrzeliśmy podróżnika na wielbłądzie, nadjeżdżającego z południa. Kiedy był już blisko, przywitaliśmy go słowami:

– Dołącz do naszego obozu, gdyż na pustyni wszyscy jesteśmy braćmi. Poczęstujemy cię mięsem i winem. Lub też, jeśli wiara ci broni, jakimś innym, niewyklętym przez proroka napojem.

Podróżny spoczął obok nas na piasku, skrzyżował nogi i odrzekł:

– Słuchajcie uważnie, a opowiem wam o Babbulkund, Stolicy Cudów. Znajduje się ona tuż poniżej miejsca spotkania rzek, gdzie Oonrana, Rzeka Mitu, oraz stary potok Plegáthanees wpadają do Wód Baśni. Wspólnym nurtem przekraczają północną bramę. Dawniej w ciemnościach płynęły przez wzgórze, w którym pierwszy faraon Nehemoth wyżłobił Stolicę Cudów. Jałowe i samotne płyną z dalekiej pustyni, każda w swej rozpadlinie. I choć nie ma życia na ich brzegach, w Babbulkund zrodził się z nich święty purpurowy ogród, o którym śpiewają wszystkie narody. To tam wieczorami zlatują się całe roje pszczół, pielgrzymujące tajemniczymi ścieżkami wiatru.

Pewnego razu księżyc ze swego królestwa (którym rządzi na równi ze słońcem) oświetlonego szarzejącym blaskiem spostrzegł i ukochał sobie Babbulkund, spowitą purpurowym ogrodem. Chciał ją uwieść, lecz odtrąciła go, zrozpaczonego. Stolica

Cudów jest piękniejsza od wszystkich gwiezdnych sióstr, które przychodzą w nocy do jej panieńskiej komnaty, i nawet bogowie rozmawiają czasem o tym mieście, przystrojonym ametystowym ogrodem.

Słuchajcie, ponieważ widzę po waszych oczach, niespokojnych i nieukojonych cudem, że nie uświadczyliście jeszcze Babbulkund. Słuchajcie.

W ogrodzie, o którym mówiłem, znajduje się jezioro, z którym żadne inne nie może się równać, jedyne w swoim rodzaju. Ma szklane brzegi i dno, a pływają w nim wielkie ryby o złotych i purpurowych łuskach. Osiemdziesiąty drugi Nehemoth, rządzący dziś miastem, ma w zwyczaju przychodzić nad to jezioro po zapadnięciu zmroku i siedzieć w samotności nad brzegiem. W tym czasie ośmiuset niewolników schodzi przez jaskinie do krypt pod jeziorem. Połowa z nich niesie fioletowe światła, maszerując jeden za drugim ze wschodu na zachód, a pozostałych czterystu, z zielonymi światłami, idzie gęsiego w przeciwną stronę. Dwie linie maszerujących w kółko niewolników raz za razem przecinają się i rozwidlają, a strachliwe ryby przemykają to tu, to tam, ku powierzchni i w głąb.

W trakcie opowieści podróżnika zapadła noc, sroga i zimna, okryliśmy się więc kocami i położyliśmy na piasku w zasięgu wzroku astralnych sióstr Babbulkund. Tej nocy pustynia delikatnie szeptała o wielu rzeczach, ale nic nie zrozumiałem. Tę mowę rozumiały tylko piasek – unoszący się w zmartwieniu, a następnie opadający na powrót – i wiatr. To właśnie one po upływie kilku nocnych godzin odkryły ślady stóp, które odcisnęliśmy na świętej pustyni, zaniepokoiły się i je zakryły. Wtedy wiatr ucichł, a piasek zaległ. Potem wiatr znów się zerwał, a piasek zatańczył. Powtarzały to wiele razy. I cały ten czas pustynia szeptała nieznane mi słowa.

Później na chwilę zasnąłem i przebudziłem się tuż przed wschodem, bardzo zmarznięty. Słońce pojawiło się nagle i oświetliło nasze twarze; zrzuciliśmy z siebie koce i wstaliśmy. Zjedliśmy posiłek i podążyliśmy na południe. W żarze dnia robiliśmy przystanki na odpoczynek, po czym ruszaliśmy znowu przed siebie.

Przez cały ten czas pustynia pozostawała niezmienna – jak sen, który nie przestaje nękać strudzonego człowieka.

Mijało nas wielu podróżników wracających ze Stolicy Cudów, a w ich oczach tliły się światło i chwała Babbulkund.

Tego wieczoru o zachodzie słońca zbliżył się do nas kolejny podróżny. Zatrzymaliśmy go pytaniem:

– Czy zjesz i napijesz się z nami, jako że na pustyni wszyscy jesteśmy braćmi?

A on zsiadł z wielbłąda, spoczął przy nas i rzekł:

– Gdy poranek oświetla olbrzyma Neba, a ten przemawia, w Babbulkund natychmiast budzą się muzycy króla Nehemotha. Na początku ich palce muskają tylko struny złotych harf albo brzdękają leniwie na skrzypcach. Z wolna nuty każdego instrumentu stają się coraz wyraźniejsze i unoszą się jak skowronki wśród rosy, aż w końcu wszystkie dźwięki zlewają się w nową melodię. Tak więc każdego ranka muzycy króla Nehemotha tworzą jeszcze jeden cud w ich stolicy; bowiem nie są to zwyczajni grajkowie, a mistrzowie melodii, uprowadzeni na statkach podczas dawnego podboju Wysp Pieśni.

Ich muzyka budzi Nehemotha, który nocuje we wschodniej komnacie pałacu, umiejscowionego w północnej części miasta. Siedziba faraona jest długa na cztery mile i wyżłobiona na kształt półksiężyca. Wschodzące słońce wypełnia okna wschodniej komnaty, a zachodzące zachodniej.

Kiedy Nehemoth się przebudzi, wzywa niewolników. Ci zaś wnoszą palankin przystrojony dzwonkami, w którym zasiada król, odziany w lekkie szaty. Wtedy, przy akompaniamencie melodii wygrywanej przez małe dzwonki, niewolnicy biegiem niosą go do onyksowej Komnaty Kąpieli. Gdy Nehemoth wyłania się z niej umyty i namaszczony, niewolnicy znów biegną z dzwoniącą lektyką i niosą króla do Orientalnej Komnaty Bankietów, gdzie władca spożywa śniadanie.

Stamtąd, przez wielki biały korytarz z oknami zwróconymi ku słońcu, Nehemoth przenoszony jest w swym palankinie do Komnaty Audiencji Ambasadorów z Północy, wypełnionej wyrobami z ich krain. Wszędzie wokół znajdują się ozdoby z północnego

bursztynu oraz kielichy wyrzeźbione z tamtejszego ciemnobrązowego kryształu, na ziemi zaś leżą futra sprowadzone z bałtyckich wybrzeży. W sąsiednich komnatach przechowywane jest tradycyjne jedzenie krzepkich ludzi Północy i ich mocne wino, blade, ale paskudne. Tam też król przyjmuje barbarzyńskich książąt z zimnych krain.

Stąd niewolnicy szybko niosą monarchę do Komnaty Audiencji Ambasadorów ze Wschodu, której ściany oblane są turkusem, pikowane rubinami z Cejlonu i gdzie rządzą wschodni bogowie. Wiszące tam ozdoby powstały w przepięknym sercu Indu, a wszystkie misterne zdobienia wykonano z wielkim kunsztem. To tu, kiedy akurat przybywa karawana z Indu lub Kataju, król życzy sobie krótkiej pogawędki z mogołami lub mandarynami, jako że wszelka sztuka i wiedza pochodzą ze Wschodu, a rozmowa z tamtejszymi ludźmi jest zawsze uprzejma.

Następnie Nehemoth przechodzi przez kolejne Komnaty Audiencji i przyjmuje szejków arabskich przybyłych zza wielkiej pustyni z Zachodu albo delegację skromnego ludu z południowej dżungli, wysłaną, by oddać cześć władcy.

Cały czas niewolnicy (z dzwoniącym palankinem) podążają na zachód, za słońcem stale oświetlającym tę z komnat, w której akurat znajduje się Nehemoth, a muzyka jednej z wielu pałacowych orkiestr nieustannie pieści królewskie uszy. Lecz gdy nadchodzi południe, niewolnicy zaprzestają pogoni za słońcem i biegną do chłodnych zagajników otaczających werandy od północnej strony pałacu, a gdy gorąc coraz bardziej morzy genialnych muzyków, ich palce z wolna zsuwają się z instrumentów, aż wszystkie melodie ustają. Wtedy Nehemoth zasypia, niewolnicy zaś odstawiają palankin i kładą się obok. O tej godzinie miasto zamiera, a pałac władcy oraz zwrócone ku słońcu grobowce starożytnych faraonów pogrążają się w ciszy. Nawet jubilerzy z targu, sprzedający książętom klejnoty, zaprzestają handlu i śpiewu; w Babbulkund handlarz rubinów śpiewa pieśni rubinowe, a handlarz szafirów szafirowe, jako że każdy kamień ma swoją pieśń, dzięki której sprzedawca może zachwalać światu swoje towary. Ale wszystkie te dźwięki milkną w południe. Jubilerzy na targu kładą się

w skąpym cieniu, książęta wracają do chłodnych pałaców i cisza zawisa w powietrzu mieniącym się nad Babbulkund.

W chłodzie późnego popołudnia jeden z muzyków króla budzi się ze snu o swoim domu i muska struny harfy. Jej dźwięki przywołują wspomnienie wiatru w wąwozach gór wznoszących się na Wyspach Pieśni, a wtedy palce wirtuoza zaczynają dobywać z duszy instrumentu mocne brzmienie odległej przeszłości. Pozostali muzycy budzą się i kolejno podchwytują tę pieśń, utkaną z opowieści zasłyszanych w porcie, gdy przybywały statki, i z legend snutych w chatach, o ludziach żyjących w dawnych czasach. Babbulkund, Stolica Cudów, znów pulsuje życiem.

Wówczas Nehemoth się budzi, a niewolnicy zrywają się na nogi i przenoszą palankin do zewnętrznej, południowo-zachodniej części wielkiego półkolistego pałacu, by znów spotkać się ze słońcem. Lektyka ze swymi dźwięczącymi dzwonkami przemieszcza się ponownie; na targu znów rozbrzmiewają pieśni o szmaragdach i szafirach; ludzie rozmawiają na dachach, biedacy zawodzą na ulicach, muzycy oddają się pracy. Wszystkie te dźwięki zlewają się w jeden pomruk, wieczorny głos Babbulkund.

Słońce chyli się coraz niżej, aż podążający za nim Nehemoth przybywa w towarzystwie strudzonych niewolników do wielkiego purpurowego ogrodu, o którym z pewnością w waszych krajach śpiewają pieśni, skądkolwiek pochodzicie. Tam król podnosi się z palankinu i podchodzi do tronu z kości słoniowej, ustawionego pośrodku ogrodu i zwróconego ku zachodowi. Siedzi na nim samotnie, obserwując promienie słoneczne, póki te nie znikną. O tej porze na twarzy Nehemotha pojawia się zmartwienie. Ludzie słyszeli, jak podczas zachodu szeptał: „Nawet ja, nawet ja".

I tak oto król Nehemoth i słońce majestatycznie przechadzają się przez Babbulkund.

Trochę później, kiedy gwiazdy wychodzą na niebo, żeby Stolicy Cudów pozazdrościć jej piękna, monarcha przechodzi do innej części ogrodu i siada samotnie w opalowej altanie nad świętym jeziorem. To właśnie ono ma szklane brzegi i dno, oświetlane od dołu przez fioletowe i zielone lampiony niesione przez niewolników. Jest to jeden z siedmiu cudów Babbulkund.

Trzy z tychże cudów znajdują się wewnątrz miasta, a cztery przy bramach. Jest jezioro, o którym opowiadam, i purpurowy ogród, wspomniany wcześniej, nawet wśród gwiazd uchodzący za cud. Jest również Ong Zwarba, który zaraz opiszę.

Cuda przy bramach są następujące: przy bramie wschodniej Neb; przy północnej wspaniałe łuki nad Rzeką Mitu, która nim na pustyni za miastem połączy się z Wodami Baśni, przepływa radośnie pod wieloma pięknie wyżłobionymi arkadami, wyrastającymi z obu jej brzegów, i pod bramą z czystego złota.

Cud bramy zachodniej to Annolith z psem Vothem. Annolith znajduje się przed bramą i zwrócony jest w stronę miasta. Przewyższa wszystkie baszty i pałace, bo jego głowę wydrążono w szczycie starego wzgórza. Ma dwoje szafirowych oczu, którymi spogląda na Babbulkund, a ich niezwykłość polega na tym, że od narodzin świata jaśnieją wciąż w tych samych oczodołach. Skuto jedynie marmur osłaniający je przed światłem dnia i spojrzeniami zazdrosnych gwiazd. Obok Annolitha znajduje się pies Voth, większy od lwa. Ma obnażone kły i groźnie nastroszoną sierść z misternie wykutym każdym włosem. Wszyscy Nehemothowie czcili boga Annolitha, ale ich lud od zawsze modli się do psa Votha, gdyż wedle prawa tylko Nehemoth może oddawać cześć bogu Annolithowi.

Cudem przy bramie południowej jest dżungla – dziko rozrastająca się jak nieprzebyte ciemne morze, pełne drzew, tygrysów i pnących się ku słońcu orchidei – która przedostaje się przez marmurową bramę w murze miasta i rozprzestrzenia w jego głębi na wiele mil. Co więcej, jest starsza niż Stolica Cudów, bo istniała w jednej z dolin długo przed tym, jak Nehemoth, pierwszy z faraonów, wykuł Babbulkund w sąsiadującej z nią górze. Opalowa altana, w której król spoczywa wieczorami przy brzegu jeziora, mieści się na skraju właśnie tej dżungli. Rozrastające się orchidee, zwabione światłami jeziora, dawno już wypełzły ze swoich kryjówek przez szczeliny w niszy i teraz kwitną radośnie. Nieopodal znajdują się haremy Nehemotha.

Król ma cztery haremy: jeden dla silnych kobiet z gór północnych, drugi dla ciemnoskórych i tajemniczych kobiet dżungli,

kolejny dla kobiet pustyni o tułaczych duszach przepełnionych tęsknotą za wędrówką, mizerniejących w Babbulkund. Ostatni jest dla bliskich mu księżniczek, z krwi starożytnych faraonów, która rumieńcem oblewa ich śniade policzki. Rozkoszują się niedoścignionym pięknem Babbulkund, nie poznawszy pustyni, dżungli ani smętnych wzgórz północy. Kobiety ze szczepu Nehemotha noszą zwykłe, nieozdobne szaty, bo wiedzą, że król nie przepada za przepychem. Tylko jedna, księżniczka Linderith, nosi Ong Zwarbę i trzy mniejsze klejnoty morza. Ong Zwarba to kamień niepodobny do żadnego innego. Nie znajdziesz takiego w turbanie Nehemotha ani w żadnej morskiej świątyni. Bóg, który stworzył Linderith, dawno temu stworzył też Ong Zwarbę; księżniczka i kamień błyszczą jednym światłem, a obok wspaniałego klejnotu lśnią jeszcze trzy mniejsze.

Kiedy król siedzi w swej opalowej altanie nad jeziorem, otoczony rozkwitającymi orchideami, wszystkie dźwięki milkną. Odgłosy stąpania nieustannie krążących, zmęczonych niewolników nie docierają na powierzchnię. Muzycy już dawno pogrążeni są we śnie, ich dłonie spoczywają na niemych instrumentach. Cichną głosy w mieście. Czasem westchnięcie jednej z cór pustyni niemal przeradza się w piosenkę, innym razem w gorącą, letnią noc któraś z kobiet wzgórz miękko zanuci pieśń śniegu. Tylko słowik śpiewa przez całą noc w sercu purpurowego ogrodu; wszystko inne zamiera. Gwiazdy spoglądające na Babbulkund zajmują swe miejsca na niebie, a zimny, nieszczęśliwy księżyc dryfuje samotnie między nimi przez dłużące się godziny nocy. Wreszcie ciemna postać Nehemotha, osiemdziesiątego drugiego w rodzie, podnosi się i odchodzi ukradkiem.

Podróżnik zamilkł. Przez długi czas jasne gwiazdy, siostry Babbulkund, przyświecały jego opowieści; pustynny wiatr wezbrał na sile i szeptał do piasku, a ten z kolei skrycie przemieszczał się tam i z powrotem. Nikt z nas się nie poruszył, nikt nie poszedł spać, nie tyle ze względu na wspaniałość słów podróżnego, co

z powodu myśli, że za dwa dni sami ujrzymy to cudowne miasto. Teraz zaś owinęliśmy się kocami i położyliśmy, zwróceni stopami w stronę dogasającego ogniska. Zasnęliśmy od razu, a nasze sny wypełniła chwała Stolicy Cudów.

Wstało słońce i rozgrzało nasze twarze, cała pustynia rozbłysła jego blaskiem. Wstaliśmy i my, a następnie przygotowaliśmy śniadanie. Gdy zjedliśmy, podróżnik nas opuścił. Jego duszę poleciliśmy opiece boga z północy, dokąd nasz towarzysz zmierzał, a on nasze dusze polecił bogu czczonemu tam, skąd przybyliśmy. Wtedy inny podróżny wyprzedził nas pieszo. Odziany był w brązową, zniszczoną pelerynę i zdawało się, że szedł tak całą noc. Tempo miał szybkie, lecz wyglądał na zmęczonego, toteż zaproponowaliśmy mu jedzenie i picie, które przyjął z wdzięcznością. Kiedy spytaliśmy, dokąd zmierza, odpowiedział:

– Do Babbulkund.

Wobec tego zaoferowaliśmy mu wielbłąda, którego mógłby dosiąść, i rzekliśmy do niego:

– My też jedziemy do Babbulkund.

Ale on dziwnie odrzekł:

– Nie, proszę, jedźcie przodem. Byłoby wielką stratą nigdy nie ujrzeć Babbulkund, póki jeszcze istnieje. Jedźcie przodem i obejrzyjcie miasto, a potem natychmiast uciekajcie z powrotem na północ.

Mimo że go nie zrozumieliśmy, zostawiliśmy go, ponieważ bardzo nalegał, i ruszyliśmy w dalszą podróż na południe, przez pustynię.

Nim słońce stanęło w zenicie, natknęliśmy się na oazę z palmami. Wodą ze studni napoiliśmy harde wielbłądy i napełniliśmy bukłaki. Nasyciliśmy oczy zielenią i zatrzymaliśmy się na parę godzin w cieniu. Kilku mężczyzn zasnęło, inni cicho śpiewali o Babbulkund pieśni, znane w ich rodzinnych stronach.

Dawno już minął środek dnia, gdy ruszyliśmy na południe. Wieczór był chłodny, a gdy słońce zeszło nisko, postanowiliśmy rozbić obóz. Kiedy odpoczywaliśmy, dogonił nas ten sam mężczyzna w łachmanach, który w podróży spędził cały dzień. Ponownie nakarmiliśmy go i napoiliśmy. O zmierzchu zaczął mówić:

– Jestem sługą Pana, Boga mojego ludu, i zmierzam spełnić jego wolę względem Babbulkund. Jest to najpiękniejsze miasto na świecie, nigdzie nie ma podobnego i nawet Boże gwiazdy zazdroszczą mu piękna. Jaśnieje bielą, jedynie smugi różu muskają jego ulice i domy, niczym porywy natchnienia w świetlistym umyśle rzeźbiarza, niczym zachcianka w raju.

Wykuto je dawno temu w świętym wzgórzu. Stolicy Cudów nie stworzyli niewolnicy, lecz artyści oddający się ukochanej pracy. Nie wzorowali się na budowlach stworzonych przez ludzi; rzeźbili w marmurze to, co w sennych wizjach podsuwała im wyobraźnia. Ponad dachem jednej z pałacowych komnat niczym nietoperze mkną uskrzydlone lwy o boskich rozmiarach, ze skrzydłami większymi niż u jakiegokolwiek stworzenia. Lwów jest tak dużo, że nie sposób zliczyć. Wyrzeźbione zostały z jednego bloku marmuru, tego samego, w którym wydrążono całą komnatę. Wznoszą się wysoko, jeden nad drugim, na kamiennych, gęsto ułożonych gałęziach paproci drzewiastych, stworzonych ręką jakiegoś kamieniarza dżungli, zakochanego w tych roślinach.

Nad Rzeką Mitu łączącą się z Wodami Baśni rozpościerają się mosty zaprojektowane na wzór wisterii i opadających złotokapów. Miasto pełne jest setek innych cudownych dzieł, oddających pragnienia żywione przez dusze dawno zmarłych budowniczych.

Och! Przepiękna jest jaśniejąca Babbulkund, piękna doprawdy, choć dumna; i Pan, Bóg mojego ludu, poznał jej dumę, ale gdy spojrzał w jej stronę, ujrzał też modlitwy Nehemotha do fałszywego bóstwa Annolitha i lud podążający za Vothem.

O tak, Babbulkund jest piękna; niestety nie mogę jej pobłogosławić. Mógłbym zamieszkać na stałe na jednym z jej wewnętrznych tarasów z widokiem na tajemniczą dżunglę i zwrócone ku niebu orchidee, które wyłoniły się z ciemności i wpatrują w słońce. Mógłbym obdarzyć Babbulkund wielką miłością, ale jestem sługą Pana, Boga mego ludu, a król, czczący fałszywego Annolitha, i jego poddani, nadmiernie wielbiący Votha, zgrzeszyli.

Niestety, Babbulkund, nie mogę teraz zawrócić, jako że jutro muszę prorokować i nawoływać przeciwko tobie. Ale wy, podróżni, którzy ugościliście mnie hojnie, powstańcie i jedźcie na swych

wielbłądach, bo nie mogę się dłużej ociągać, muszę iść wykonać wolę Pana, Boga mojego ludu, wobec Babbulkund. Idźcie teraz i ujrzyjcie piękno Stolicy Cudów, zanim ją przeklnę, po czym prędko uciekajcie na północ.

Tląca się szczapa drewna obsunęła się w ognisku, co roznieciło dziwne światło w oczach człowieka ubranego w łachmany. Powstał natychmiast, a jego wystrzępiona peleryna zawirowała w górę jak wielkie skrzydło. Nic więcej nie powiedział, odwrócił się od nas i odszedł w ciemność, na południe, w stronę Babbulkund.

W obozie zaległa cisza, a wokół unosił się zapach charakterystycznego dla tej krainy gatunku tytoniu. Gdy ostatni płomień w ognisku zgasł, zasnąłem, ale powracające sny o zagładzie zakłócały mój spoczynek.

Nadszedł poranek. Nasi przewodnicy orzekli, że powinniśmy dotrzeć do miasta przed zmierzchem. Znów przemierzaliśmy monotonną pustynię, kierując się na południe. Czasem spotykaliśmy podróżników wracających z Babbulkund, a piękno jej cudów nadal odbijało się w ich oczach.

W środku dnia zrobiliśmy postój. Zobaczyliśmy wówczas wielu ludzi śpieszących w naszą stronę z południa. Gdy się zbliżyli, zatrzymaliśmy ich i zapytaliśmy:

– Co się dzieje z Babbulkund?

Odpowiedzieli:

– Nie jesteśmy rdzennymi mieszkańcami Babbulkund. Zostaliśmy pojmani za młodu i uprowadzeni ze wzgórz północy. Teraz w cichych wizjach wszyscy ujrzeliśmy Pana, Boga naszego ludu. Usłyszeliśmy, że wzywa nas ze swych pagórków, dlatego też udajemy się na północ. Zaś co do Babbulkund, króla Nehemotha męczą nieznane dotąd monarchom sny o fatum, których nikt nie umie wyjaśnić. Oto, co przyśniło się królowi Nehemothowi pierwszej niespokojnej nocy: czarny ptak leciał przez wszechogarniający bezruch, a pod jego bijącymi powietrze skrzydłami jawiła się ponura i zaciemniona Babbulkund; później przeleciał inny ptak, w całości biały, i pod jego skrzydłami Babbulkund jaśniała i błyszczała; przefrunęły jeszcze cztery ptaki, na przemian czarne i białe. I gdy czarne mijały Babbulkund, wszystko

ciemniało, a gdy mijały ją białe, ulice i domy lśniły. Szósty ptak był ostatni, Babbulkund zniknęła, a na jej miejscu pozostała tylko pustynia oraz rzeki Oonrana i Plegáthanees, pogrążone w żałobie.

Następnego ranka królewscy prorocy zebrali się przed swymi fałszywymi bogami i poprosili o wyjaśnienie snu. Nie dostali jednak odpowiedzi. A gdy Bóg zesłał kolejną noc usianą gwiazdami, król Nehemoth znów zasnął i we śnie ujrzał tylko cztery ptaki, czarne i białe na zmianę, jak wcześniej. Babbulkund ponownie ciemniała przy czarnych, a błyszczała, gdy nadlatywały białe; po czterech ptakach miasto znikło, pozostała tylko niepomna pustynia i płaczące rzeki.

Fałszywi bogowie wciąż milczeli i nadal nikt nie potrafił wyjaśnić snu. Gdy z niebiańskich zakamarków przybyła trzecia noc ustrojona w gwiazdy, króla po raz kolejny nawiedził sen. Nehemoth jeszcze raz zobaczył czarnego ptaka przelatującego nad ciemniejącą Babbulkund, a później białego, pod którego skrzydłami Stolica Cudów jaśniała; po tym nie pojawiło się już nic, a Babbulkund przeminęła.

Nastał złoty dzień, który przepędził sny, a fałszywe bóstwa nadal nie powiedziały ani słowa. Królewscy prorocy nie potrafili wyjaśnić, co zwiastował senny majak. Tylko jeden z nich przemówił do władcy: „Czarne ptaki, drogi królu, to noce, białe zaś to dni...". Tego właśnie obawiał się Nehemoth. Wstał i ciął profetę swym mieczem; dusza proroka odeszła, zalewając się łzami, i więcej nie musiała się już zajmować nocami i dniami ze snu władcy. Trzeci sen przyśnił się królowi właśnie zeszłej nocy, a my dzisiejszego poranka uciekliśmy z Babbulkund. Z nieba leje się na nią potworny żar, a orchidee w dżungli zwieszają kielichy. Całą noc kobiety w haremie Północy zawodziły do swoich wzgórz; strach i przeczucie złego ogarnęły miasto. Dwa razy Nehemoth udał się chwalić Annolitha, a lud padał na twarz przed Vothem. Trzy razy wróżbici zajrzeli do wielkiej kryształowej kuli, która przepowiada, co ma nadejść, i trzy razy kula nie pokazała nic. Zaiste, poszli i czwarty raz, lecz żadna wizja się nie ukazała. Głosy wypełniające Babbulkund przycichły do szeptów.

Wkrótce podróżnicy podnieśli się i udali na północ, a nas zostawili w zadumie. Przez upalną część dnia próbowaliśmy w miarę możliwości odpocząć, lecz było bezwietrznie i duszno, a wielbłądy były niespokojne. Arabowie stwierdzili, że to zapowiedź burzy piaskowej, którą przyniesie potężny wiatr. Wstaliśmy więc po południu i przyspieszyliśmy tempo z nadzieją, że zdążymy znaleźć schronienie. Powietrze płonęło w bezruchu między spaloną pustynią a oślepiającym niebem.

Nagle z południa, od strony Babbulkund, zadął mocny wiatr. Piasek uniósł się i zaczął przybierać różne kształty, a wszystkie z nich szeptały. Wiało porywiście, słychać było zawodzenie; mijały nas setki ogromnych, piaszczystych konturów, którym towarzyszyły krzyki i odgłosy śmierci.

Wkrótce wiatr niespodziewanie ucichł, okrzyki zamarły, a wśród pędzących piasków ustała panika. I kiedy burza minęła, powietrze się ochłodziło, okropna parność i zły omen znikły, a wielbłądy się uspokoiły. Arabowie orzekli, że burzę, która miała miejsce, Bóg zapowiadał od dawna.

Słońce zaszło i nastał zmierzch, a my zbliżyliśmy się do miejsca, gdzie Oonrana łączy się z Plegáthanees, ale w ciemności nie widzieliśmy zarysów Babbulkund. Przyspieszyliśmy, żeby dotrzeć do miasta przed nocą. Dotarliśmy do miejsca połączenia Rzeki Mitu z Wodami Baśni, lecz nadal nie dostrzegaliśmy Stolicy Cudów. Ze wszystkich stron otaczały nas piaski i skały niewzruszonej pustyni, jedynie na południe ciągnęła się dżungla, w której orchidee zwracały się ku niebu. Wtedy zdaliśmy sobie sprawę, że przybyliśmy za późno, że przeznaczenie dopadło Babbulkund.

Przy rzece, na opustoszałej pustyni siedział na piasku człowiek w łachmanach, z twarzą ukrytą w dłoniach, i gorzko łkał.

Tak minęła, w godzinie nieprawego kultu Annolitha, po dwóch tysiącach i trzydziestu dwóch latach istnienia, w sześć tysięcy pięćdziesiątym roku od powstania świata, Babbulkund, Stolica Cudów, niekiedy nazywana przez tych, którzy jej nienawidzili,

Miastem Psa. Opłakiwano ją w Arabii oraz Indzie, w dżungli i na pustyni. Nie pozostawiła po sobie żadnego pomnika, ale – pomimo gniewu Boga – z nieprzemijającą miłością wspominają i wielbią ją wszyscy, którzy poznali jej piękno, i nadal o niej śpiewają.

Opowiadanie opracowali

Weryfikacja tłumaczenia: Ewelina Rozenek

Redakcja: Michał Kowal, Katarzyna Pikosz

Kontrola redakcji: Magdalena Świerczek-Gryboś

Korekta: Beata Sagan-Szendzielorz, Justyna Mroczek-Żal, Marta Sałapata-Doskocz, Ilona Żurawska

Weryfikacja: Barbara Uznańska-Loch, Marcin Bartosiewicz

Kontrola weryfikacji: Agata Graczyk

Kontrola przed składem: Dawid Wiktorski

Człowiek, który poznał prawdę

Algernon Blackwood
Tłumaczenie: Sylwia Kowalicka
Tytuł oryginalny: *The Man Who Found Out*

1

Profesor Mark Ebor wiódł podwójne życie. Tę prawdę znali jedynie jego wydawcy oraz asystent, doktor Laidlaw. Podwójne życie jednak nie zawsze musi być ciężkie i oba równoległe żywoty naukowca były tak samo udane, o czym ukontentowani wydawcy oraz doktor Laidlaw dobrze wiedzieli. Dwie strony doczesnego bytu profesora mogłyby znaleźć kontynuację w raju, gdzie owe jakże osobliwie przeciwstawne sobie cechy współistniałyby, z powodzeniem zestawione w jednej osobowości.

Mark Ebor, F.R.S.* et cetera, et cetera, stanowił bowiem – rzadko spotykaną w prawdziwym życiu – niezwykłą kombinację człowieka nauki i mistyka.

Jako naukowiec figurował w panteonie wielkich. Tajemnicą była jego druga natura. Jako mistyk skrywał się (równie skutecznie jak anonimowy twórca prognozy pogody w dzienniku) pod pseudonimem Pielgrzym i był autorem błyskotliwej oraz porywającej serii książek. Tysiące czytały sangwiniczne, optymistyczne

* *Fellow of the Royal Society* – członek Królewskiego Towarzystwa w Londynie (przyp. tłum.).

i stymulujące książeczki wychodzące dorocznie spod pióra Pielgrzyma. I tysiącom pomagały one łatwiej znosić codzienne trudy. Prasa uznawała powszechnie, że autor jest nie tylko niepoprawnym optymistą i pasjonatem, lecz także – kobietą. Nikomu nigdy nie udało się zerwać zasłony anonimowości i odkryć, że Pielgrzym i biolog to jedna i ta sama osoba.

Mark Ebor, jakiego doktor Laidlaw znał z laboratorium, był tylko jednym z dwóch wcieleń profesora. Mark Ebor, jakiego asystent widywał czasami po pracy, był osobowością zgoła odmienną: z płonącymi oczami i pełną ekstazy twarzą omawiał możliwość „zjednoczenia z Bogiem" i przyszłość rasy ludzkiej.

Pewnego wieczora profesor, kiedy ze swym asystentem i powiernikiem siedział w małym gabinecie przy laboratorium, rzekł:

– Jak wiesz, zawsze uważałem, że wizja powinna odgrywać istotną rolę w życiu przebudzonego człowieka. Oczywiście nie powinna być traktowana jako nieomylna, ale postrzegana i stosowana jako wyznacznik możliwości...

– Jestem świadom pańskich osobliwych poglądów, sir – odparł młody doktor z szacunkiem, lecz i z nutką niecierpliwości.

– Wizje pochodzą z tego obszaru świadomości, w którym nie ma mowy o obserwacji i eksperymentach – kontynuował profesor z entuzjazmem, jakby nie zauważył wtrącenia. – I chociaż ostatecznie należy na nie spojrzeć przez pryzmat rozumu, nie powinno się ich wyśmiewać czy ignorować. Uważam, że wszelkie inspiracje mają naturę wizji wewnętrznej i jestem głęboko przekonany, że cała nasza najwartościowsza wiedza jest wynikiem nagłego objawienia w umyśle gotowym na jej przyjęcie.

– Gotowym dzięki uprzedniej wytężonej pracy, koncentracji i możliwie najwnikliwszej analizie naturalnych zjawisk – pozwolił sobie zauważyć doktor.

– Być może – westchnął profesor. – Niemniej jednak dzięki procesowi duchowego olśnienia. Najlepsza na świecie zapałka nie zapali świecy, o ile knot nie zostanie właściwie przygotowany.

Tym razem to Laidlaw westchnął. Był w pełni świadom, że nie sposób dyskutować z przełożonym, kiedy ten błądzi w mistycznych sferach. Szacunek, jakim darzył zdumiewające osiągnięcia

profesora, był tak szczery, że zawsze słuchał pryncypała z uwagą i podziwem, a jednocześnie zastanawiał się, jak daleko ten wybitny człowiek mógłby się posunąć i dokąd ostatecznie doprowadziłoby go to osobliwe połączenie logiki i „oświecenia".

– Zaledwie zeszłej nocy – ciągnął starszy mężczyzna, a jego surowe oblicze rozjaśniło się wewnętrznym światłem – ponownie doznałem wizji, która nawiedza mnie od lat młodzieńczych i której nie sposób się oprzeć.

Laidlaw poruszył się na krześle.

– Ma pan na myśli wizję dotyczącą Tablic Bogów i tego, że spoczywają ukryte gdzieś w piaskach pustyni? – zapytał ze spokojem, ale na jego twarzy pojawił się nagły błysk zainteresowania, gdy spojrzał na swojego rozmówcę w oczekiwaniu odpowiedzi.

– I że to ja mam być tym, który je odnajdzie, odczyta i przekaże światu zawartą na nich doniosłą wiedzę – dopowiedział profesor.

– A świat nie da jej wiary – zauważył ze śmiechem Laidlaw, mimo zaciekawienia wciąż słabo skrywający wzgardę.

– Nawet ludzie o najbardziej dociekliwych umysłach, we właściwym znaczeniu tego słowa, nie potrafią postrzegać świata w sposób naukowy – odparł łagodnie profesor, z twarzą rozpromienioną na wspomnienie wizji. – Jednak, co bardziej prawdopodobne... – ciągnął po chwili, zapatrzony w dal, z zachwytem w oczach, które widziały rzeczy zbyt wyjątkowe, by można je było opisać. – Co jest jednak bardziej prawdopodobne niż to, że w początkach świata człowiek musiał otrzymać jakiś przekaz, dotyczący problemów i celów przed nim postawionych? Jednym słowem – zawołał i skupił swe lśniące spojrzenie na twarzy zakłopotanego asystenta – w odległych czasach posłańcy Boga powinni byli dać jego stworzeniom jakieś pełne wyjaśnienie tajemnicy świata, tajemnicy duszy, sensu życia i śmierci. Wyjaśnienie, dlaczego tu jesteśmy i jaki wspaniały cel jest nam przeznaczony u schyłku wszechrzeczy.

Doktor Laidlaw zaniemówił. Już wcześniej był świadkiem podobnych wybuchów mistycznego entuzjazmu. Nie wysłuchałby ani jednego zdania, gdyby chodziło o innego człowieka, ale wytrawnego badacza i naukowca, jakim był profesor Ebor, traktował

z szacunkiem. Stan pryncypała, chociaż patologiczny, uważał za przejściowy i tłumaczył w pewnym stopniu reakcją na intensywny wysiłek, związany z trwającą szereg dni koncentracją umysłu.

Gdy napotkał pełne entuzjazmu spojrzenie rozmówcy, uśmiechnął się z mieszaniną współczucia i rezygnacji.

– Ale wielokrotnie wyrażał pan przekonanie, że ostateczne tajemnice powinny być chronione przed wszystkimi możliwymi...

– Ostateczne tajemnice, tak – odparł niewzruszenie uczony. – Jestem jednak przekonany, że gdzieś tam spoczywa niezatarty zapis tajemnicy sensu życia, pierwotnie znanej ludziom w czasach ich dziewiczej niewinności. I dzięki tej niezwykłej wizji, którą miewam tak często, jestem równie pewien, że któregoś dnia będzie mi dane ogłosić znużonemu światu owo chwalebne, acz budzące grozę przesłanie.

I mówił dalej. Obszernie i żywiołowo opisywał rodzaj sugestywnego snu, nawiedzającego go co jakiś czas od wczesnego dzieciństwa. W tym śnie ze szczegółami widział siebie odkrywającego Tablice Bogów i ogłaszającego niezłomnej, choć udręczonej ludzkości ich cudowną zawartość, której dokładna natura była jednak w wizji zawsze przed nim ukryta.

– „The Scrutator" słusznie opisał Pielgrzyma jako apostoła nadziei – powiedział łagodnie młody uczony. – A gdyby tamten recenzent mógł pana teraz usłyszeć i uświadomić sobie, z jak osobliwych głębi wywodzi się pańska prosta wiara...

Profesor uniósł rękę, niczym promień porannego słońca przemknął mu po twarzy uśmiech małego dziecka, ale jego odpowiedź zabrzmiała smutno.

– Połowa dobra, jakie czynią moje książki, uległaby natychmiastowemu zniszczeniu. Uznaliby, że pisałem je z przymrużeniem oka. Ale zaraz – dodał znaczącym tonem. – Poczekaj, aż znajdę Tablice Bogów! Poczekaj, aż poznam rozwiązania odwiecznych problemów świata! Poczekaj, aż światłość nowego objawienia spłynie na zagubioną ludzkość, a ta obudzi się i uzna, że jej najśmielsze nadzieje są zasadne! Ach, wtedy, mój drogi Laidlawie...

Urwał nagle, ale doktor odgadł jego myśli i podchwycił je natychmiast.

– Być może tego właśnie lata – rzekł z usilnym staraniem, by jego sugestia szła w parze ze szczerością – podczas pańskich badań w Asyrii, wykopalisk w odległej cywilizacji niegdysiejszej Chaldei, może znajdzie pan to, o czym marzy.

Uśmiech na szlachetnej twarzy i gest ręki towarzyszyły cichej odpowiedzi starego profesora:

– Być może... być może!

Młody doktor, dziękując bogom nauki, że aberracje jego przełożonego miały tak nieszkodliwy charakter, udał się do domu utwierdzony w przekonaniu o swojej mądrości, dumny, że dał radę autosugestią wytłumaczyć wizje profesora. Zastanawiał się z wyrozumiałością, czy na starość sam przypadkiem nie będzie ulegał takiego samego rodzaju wizjom, jakie nękały jego szacownego zwierzchnika.

A kiedy położył się do łóżka i jeszcze raz wspomniał szlachetną sylwetkę swego mistrza, jego surową twarz o głębokich bruzdach wyżłobionych przez lata pracy i samodyscypliny, obrócił się na poduszce i zasnął z westchnieniem, na poły pełnym podziwu, na poły żalu.

2

W lutym, dziewięć miesięcy później, doktor Laidlaw udał się na dworzec Charing Cross, aby spotkać się ze swym przełożonym po jego długiej nieobecności spowodowanej wyjazdem i badaniami. W międzyczasie wizja Tablic Bogów prawie całkowicie uleciała z jego pamięci.

Pociągiem przyjechało niewiele osób, gdyż teraz ruch odbywał się głównie w przeciwną stronę. Doktor nie miał trudności z odnalezieniem mężczyzny, na którego spotkanie przybył. Już sama biała czupryna, wystająca spod niskiego, filcowego kapelusza, wystarczyła, by dostrzec naukowca.

– Wreszcie, oto jestem! – wykrzyknął profesor i ścisnął rękę przyjaciela. Z lekkim zmęczeniem wysłuchał serdecznych słów

powitania i pytań młodego naukowca. – Oto jestem, trochę starszy i znacznie brudniejszy niż wtedy, gdy mnie ostatnio widziałeś! – Ze śmiechem zerknął na swe ubranie sfatygowane po podróży.

– I znacznie mądrzejszy – powiedział z uśmiechem Laidlaw.

Rozejrzał się pośpiesznie za bagażowymi i przekazał przełożonemu najnowsze wiadomości ze świata nauki. W końcu przeszli do rozważań praktycznych.

– A gdzie pańskie bagaże? Jak mniemam, ma ich pan mnóstwo? – zapytał Laidlaw.

– Praktycznie nic. W zasadzie nic oprócz tego, co pan widzi.

– Nic prócz tej podręcznej torby? – zaśmiał się młodszy z mężczyzn, bo pomyślał, że Ebor żartuje.

– I mały kufer podróżny w wagonie – brzmiała cicha odpowiedź. – Nie mam innego bagażu.

– Nie ma pan innego bagażu? – powtórzył Laidlaw i odwrócił się gwałtownie, by sprawdzić, czy jego pryncypał mówi poważnie.

– Na cóż mi więcej? – odparł z prostotą Mark Ebor.

Coś w twarzy, głosie lub w zachowaniu przełożonego, doktor nie wiedział co, nagle wydało mu się dziwne. W profesorze zaszła zmiana. Zmiana tak dogłębna, tak mało zauważalna na pierwszy rzut oka, że początkowo Laidlaw nie zdawał sobie z niej sprawy. Przez chwilę miał wrażenie, że w gwarnym tłumie stoi przed nim zupełnie obca osoba. Pośród swojskiego zgiełku Charing Cross poczuł niezwykły chłód, który przeszył jego serce i musnął wnętrze lodowatymi palcami tak, że młody naukowiec aż zadrżał i poczuł strach.

Spojrzał pośpiesznie na przyjaciela, a w głowie kłębiły mu się natrętne, niepokojące myśli.

– Tylko to? – zapytał ponownie i wskazał torbę. – Ale gdzie są wszystkie rzeczy, z którymi pan wyjechał? I czy nie przywiózł pan nic z powrotem? Żadnych skarbów?

– To wszystko, co mam – stwierdził krótko Ebor.

Blady uśmiech, który towarzyszył tym słowom, wywołał u doktora kolejną, trudną do opisania falę niepokoju. Coś się nie zgadzało, coś wzbudzało jego wątpliwości. Zastanawiał się teraz, jak to możliwe, że nie zauważył tego wcześniej.

– Reszta jest w drodze. Oczywiście wolniejszym pociągiem towarowym – powiedział dyplomatycznie i tak naturalnie, jak to było możliwe. – Chodźmy, musi pan być zmęczony i głodny po długiej podróży. Zaraz wezwę taksówkę, a pozostałymi bagażami możemy się zająć później.

Laidlawowi zdawało się, że sam nie wie, co mówi. Zmiana w przyjacielu nastąpiła nagle i z każdą chwilą coraz bardziej go dręczyła. Nie mógł jednak zrozumieć, na czym dokładnie polega. W umyśle zaczęło mu się rodzić straszliwe podejrzenie, które wielce go niepokoiło.

– Nie jestem ani bardzo zmęczony, ani głodny, dziękuję – oznajmił spokojnie profesor. – I to wszystko, co mam. Nie ma żadnego bagażu, którym musimy się zająć. Nie przywiozłem niczego więcej. Niczego poza tym, co pan widzi.

Jego słowa brzmiały zdecydowanie. Dali napiwek bagażowemu, który ze zdumieniem wpatrywał się w czcigodną postać naukowca, wsiedli do taksówki i powoli, acz z hałasem, zostali zawiezieni do domu w północnej części Londynu, gdzie znajdowało się laboratorium, miejsce ich wieloletniej pracy.

Przez całą drogę Mark Ebor nie wypowiedział ani słowa, a doktor Laidlaw nie znalazł odwagi, by zadać choćby jedno pytanie.

Dopiero późnym wieczorem, pod koniec spotkania, gdy obaj mężczyźni stali przy kominku w gabinecie – tym gabinecie, w którym omawiali tak wiele istotnych i fascynujących problemów – doktor Laidlaw znalazł w końcu siłę, by przejść do sedna sprawy i otwarcie porozmawiać z profesorem. Pryncypał pobieżnie i zdawkowo relacjonował mu swoje wyprawy, podróże na wielbłądach, obozowanie pośród gór i na pustyni, eksploracje wiodące od pogrzebanych świątyń po pustkowia prehistorycznych piasków. Aż nagle, jakby w nerwowym pośpiechu, dotarli do kulminacyjnego punktu opowieści, na który doktor czekał niczym przestraszony chłopiec.

– I odnalazł pan... – zaczął, jąkając się.

Intensywnie wpatrywał się w groteskowo wykrzywioną twarz profesora. Twarz, z której niczym gąbką z łupkowej tabliczki starto wszelkie oznaki nadziei i radości.

– Odnalazł pan...

– Odnalazłem – odparł Mark Ebor uroczystym tonem. Był to ton raczej mistyka niż człowieka nauki. – Odnalazłem to, czego szukałem. Wizja ani razu mnie nie zawiodła. Poprowadziła mnie prosto na miejsce, jak gwiazda w niebiosach. Odnalazłem Tablice Bogów.

Doktor Laidlaw wstrzymał oddech i wsparł się o krzesło. Słowa, niczym cząstki lodu, zmroziły mu serce. Po raz pierwszy przełożony wypowiedział tę dobrze znaną frazę bez towarzyszących jej dotychczas blasku i zachwytu na twarzy.

– Przywiózł je pan? – zająknął się.

– Przywiozłem do domu – odpowiedział profesor mocnym głosem – i odczytałem je.

Głęboka rozpacz, nieskończona ciemność, martwy głos duszy pozbawionej nadziei i zastygającej w zimnie wszechświata zdawały się wypełniać przerwy między krótkimi zdaniami. Nastała cisza, w trakcie której doktor Laidlaw nie dostrzegał nic poza białym obliczem, na przemian niknącym i ukazującym się ponownie. A było to oblicze niczym u martwego człowieka.

– Są, niestety, niezniszczalne – dobiegł go ponownie matowy głos pobrzmiewający metalicznym tonem.

– Niezniszczalne... – powtórzył odruchowo Laidlaw, niemal nie zdając sobie sprawy z tego, co mówi.

I znów zapadła kilkuminutowa cisza. Doktor, z chłodem przenikającym serce, stał i wpatrywał się w oczy człowieka, którego tak długo znał i kochał, a nawet wielbił. Człowieka, który pierwszy otworzył mu niewidzące oczy i poprowadził ku bramom wiedzy i dalej, po niełatwej ścieżce przebytej razem. Człowieka, który – na innym polu działań – poprzez książki przekazywał siłę swej wiary sercom tysięcy ludzi.

– Mogę je zobaczyć? – zapytał w końcu cichym głosem, który z trudem rozpoznał jako własny. – Czy pozwoli mi pan poznać ich przekaz?

Profesor Ebor nie spuszczał wzroku z oblicza asystenta, gdy odpowiadał na jego pytanie, z uśmiechem bardziej przypominającym grymas śmierci niż wyraz twarzy żywego człowieka.

– Kiedy odejdę... – wyszeptał. – Kiedy mnie nie będzie... Wtedy znajdzie je pan i przeczyta przekład, którego dokonałem. – Przerwał na moment, a jego twarz stała się blada niczym twarz trupa. – Do tego czasu – kontynuował po chwili, nie patrząc w górę – muszę pana prosić o nieporuszanie więcej tego tematu. I o zachowanie poufności. Bezwzględnie.

3

Powoli minął rok, a pod jego koniec doktor Laidlaw uznał za konieczne zerwanie kontaktów zawodowych ze swoim przyjacielem i niegdysiejszym zwierzchnikiem. Profesor nie był już tym samym człowiekiem. Z jego życia uleciał blask, a laboratorium zostało zamknięte. Ebor nie brał już pióra do ręki ani nie angażował się w rozwiązywanie jakichkolwiek problemów. W ciągu zaledwie kilku miesięcy zmienił się z pełnego życia mężczyzny w średnim wieku w starca, załamanego i na krawędzi upadku. Nie ulegało wątpliwości – był tego świadom – że śmierć czyhała na niego w mrokach każdego dnia.

Trudno wiernie oddać naturę głębokiej przemiany w usposobieniu i temperamencie profesora, ale Laidlaw na własny użytek podsumował ją w dwóch słowach: utrata nadziei. Moc znakomitego umysłu uczonego pozostała wprawdzie niezmieniona, lecz profesor stracił motywację, by z niej korzystać, by używać jej do niesienia pomocy innym. Z przyzwyczajenia wciąż trzymał się pielęgnowanych latami szlachetnych nawyków, ale ostateczny cel, do którego miały prowadzić, przepadł. Pragnienie wiedzy, wiedzy dla niej samej, umarło. A żarliwa nadzieja, która dotychczas z niespożytą energią ożywiała serce i imponujący intelekt, została całkowicie zdławiona. Ogień zgasł. Nie warto było niczego robić, o niczym myśleć, dla niczego pracować. Nie miał już po co pracować!

Pierwszym krokiem profesora było wycofanie ze sprzedaży jak największej liczby swoich książek. Kolejnymi – zamknięcie

laboratorium i zaprzestanie wszelkich badań. Nie udzielał wyjaśnień, nie dopuszczał jakichkolwiek pytań. Jego osobowość jakby się rozpadła, a codzienne życie stało się zaledwie szeregiem mechanicznych czynności, ubieraniem i żywieniem ciała oraz utrzymywaniem go w dobrym zdrowiu, by uniknąć fizycznego dyskomfortu. A przede wszystkim – niepodejmowaniem żadnych działań, które mogłyby zakłócić sen. Profesor robił wszystko, co mógł, aby wydłużyć czas snu, a więc i zapomnienia.

Wszystko to było wystarczająco jasne dla Laidlawa. Wiedział, że człowiek o słabszym charakterze próbowałby się zatracić w takiej czy innej formie zmysłowej przyjemności, jak choćby picie czy środki umożliwiające ucieczkę w sen. Nieco odważniejsza osoba wybrałaby samozniszczenie. Jeszcze inny typ człowieka z pełną świadomością czyniłby zło i swą straszliwą wiedzą zatruwałby wszystko, co się da. Jednakże Mark Ebor nie należał do żadnej z powyższych kategorii. Utrzymywał żelazną samokontrolę, w milczeniu i bez słowa skargi stawiał czoła ponurym faktom, które miał nieszczęście odkryć. Nie wyjaśnił niczego nawet swojemu bliskiemu przyjacielowi i asystentowi, doktorowi Laidlawowi. Nigdy mu się też nie skarżył. Zmierzał wprost ku końcowi i miał świadomość, że ten jest już bliski.

Śmierć przyszła cicho, gdy profesor siedział w fotelu w gabinecie, naprzeciw drzwi laboratorium. Drzwi, które się już nie otwierały. Szczęśliwym zrządzeniem losu doktor Laidlaw był z nim wtedy. Zdążył stanąć u boku walczącego o każdy oddech Ebora w samą porę, by usłyszeć, niczym wiadomość zza grobu, słowa wyszeptane bladymi ustami.

– Przeczytaj je, jeśli musisz. A jeśli zdołasz, zniszcz. Ale – jego głos ucichł jeszcze bardziej, tak, że Laidlaw z trudem zrozumiał słowa umierającego – ale nigdy, przenigdy nie przekazuj ich światu.

I niczym garść szarego prochu, luźno rozrzuconego w starym ubraniu, profesor zapadł się w fotel i zgasł.

Jednak była to zaledwie śmierć ciała. Jego dusza odeszła dwa lata wcześniej.

4

Zmarły pozostawił skromny i nieskomplikowany majątek, a doktor Laidlaw, jako jedyny zapisobiorca i wykonawca testamentu, nie miał trudności z jego uporządkowaniem. Miesiąc po pogrzebie siedział samotnie w bibliotece na piętrze. Spełnił ostatnie smutne obowiązki, a jego umysł przepełniały poruszające wspomnienia i żal z powodu utraty przyjaciela, którego cenił i kochał i wobec którego miał niewysłowiony dług. Ostatnie dwa lata były dla niego zaiste trudne. Obserwowanie gwałtownego upadku najwspanialszego połączenia serca i rozumu, jakie kiedykolwiek widział, oraz świadomość, że jest wobec tego procesu bezsilny, stanowiły dla doktora źródło głębokiego smutku, który miał z nim pozostać do końca życia.

Zarazem opanowała go niezaspokojona ciekawość. Nauka o demencji leżała oczywiście poza jego specjalizacją, wiedział jednak wystarczająco dużo, by rozumieć, że nawet niewielka rzecz mogła się w istocie przyczynić do powstania wielkiej iluzji. Od samego początku trawiło go też nieustające pragnienie, aby się dowiedzieć, co profesor znalazł w piaskach Chaldei, czym mogą być cenne Tablice Bogów. A w szczególności, czym był zapis, który udało się Eborowi – jak wierzył sam profesor – rozszyfrować, a który stanowił prawdziwą przyczynę utraty przez niego zdrowia i nadziei.

Jeden aspekt całej sprawy wydawał się doktorowi najciekawszy: jego przyjaciel marzył o odkryciu przekazu niosącego nadzieję i pocieszenie, tymczasem odkrył (o ile w ogóle odkrył coś znaczącego, a nie – wymyślił wszystko w stanie otępienia) sens życia i śmierci oraz tajemnice świata o tak straszliwej naturze, że ograbiło to jego serce z odwagi, a duszę z nadziei. Cóż zatem mogła zawierać niewielka, brązowa paczuszka, którą profesor powierzył mu ostatnim tchnieniem?

I rzeczywiście, ręka mu drżała, gdy podszedł do biurka i zaczął powoli otwierać małą, staromodną szkatułkę, na której niczym melancholijne memento widniały złocone inicjały – M.E. Włożył klucz do zamka i przekręcił go do połowy. Nagle się zatrzymał

i rozejrzał wokół. Czyżby za jego plecami rozległ się w pokoju jakiś dźwięk? Zupełnie jakby ktoś się roześmiał, a potem próbował zdusić śmiech kaszlem. Kiedy tak stał i nasłuchiwał, przeszedł go lekki dreszcz.

– To absurd – powiedział. – To zbyt absurdalne, by uwierzyć. Żebym był aż tak zdenerwowany! To efekt zbyt długiego oczekiwania. – Uśmiechnął się z lekkim smutkiem, a jego oczy powędrowały ku błękitnemu letniemu niebu i kołyszącym się na wietrze platanom za oknem. – To emocje. Trwająca dwa lata ciekawość zaspokojona w jednej chwili! To oczywiste, że napięcie sięga zenitu.

Zwrócił się ku brązowej szkatułce i otworzył ją bez dalszej zwłoki. Już pewną ręką wyjął owiniętą w papier paczkę, która mieściła się w środku. Była ciężka. Po chwili na stole leżało przed nim kilka podniszczonych, szarych tablic. Chociaż wyglądały jak kamienie, w dotyku przypominały metal. Dostrzegł na nich osobliwe znaki, które równie dobrze mogły być śladami sił natury, powstałymi na przestrzeni wieków, jak i na wpół zatartymi hieroglifami, wyrytymi w minionych epokach przez mniej lub bardziej wprawną rękę pospolitego skryby.

Podniósł kolejno każdy z kamieni i zbadał je dokładnie. Miał wrażenie, że ich materia promieniuje delikatnym ciepłem. Raptem odłożył je z niepokojem.

– Tylko człowiek bardzo inteligentny lub obdarzony niezwykłą wyobraźnią mógł wycisnąć tajemnice życia i śmierci z tej plątaniny linii – powiedział do siebie.

Potem spojrzał na ukrytą w szkatułce żółtą kopertę, opisaną przez profesora jednym słowem: „Przekład".

– Teraz. – Chwycił ją gwałtownie, by ukryć zdenerwowanie. – Oto pora na wielkie rozstrzygnięcie. Na poznanie istoty światów i powodów stworzenia ludzkości. Na odkrycie, dlaczego dyscyplina jest warta zachodu, a poświęcenie i ból są realnymi prawami rozwoju.

W głosie pobrzmiewała mu kpina, ale jednocześnie coś w nim zadrżało. Trzymał kopertę, jakby ważył ją w dłoni. W głowie kłębiły się myśli. Potem ciekawość zwyciężyła i nagle rozerwał

kopertę gestem aktora, który stoi na scenie i wie, że w środku nie ma prawdziwego listu.

Przed nim leżała kartka zapisana drobnym pismem zmarłego naukowca. Nie pomijając żadnego słowa, przeczytał tekst od początku do końca; półgłosem, ale wyraźnie wypowiedział każdą sylabę.

Kiedy zbliżał się ku końcowi, bladość jego oblicza stała się upiorna. Zaczął się trząść jak w gorączce. Oddychał ciężko, z trudem łapał powietrze. Wciąż jednak ściskał kartkę i z pełną świadomością, jak gdyby ogromnym wysiłkiem woli, przeczytał ją po raz drugi od początku do końca. Tym razem, gdy ostatnia sylaba padła z ust doktora, cała jego twarz zapłonęła nagle wielkim gniewem, skóra przybrała odcień głębokiej czerwieni, a zęby się zacisnęły. Całą mocą swej żarliwej duszy walczył, by zachować panowanie nad sobą.

Przez nie mniej niż pięć minut stał obok biurka, w bezruchu, jak wykuty z kamienia. Miał zamknięte oczy i jedynie ruchy klatki piersiowej zdradzały, że jest żywą istotą. Potem z dziwnym spokojem zapalił zapałkę i przyłożył ją do trzymanej w ręku kartki. Popiół powoli opadał wokół niego, drobina za drobiną, a on zdmuchnął go z parapetu w przestrzeń. Podążył wzrokiem za ulatującym pyłem, gdy ten odpływał niesiony letnim wiatrem, omiatającym świat swym ciepłym tchnieniem.

Odwrócił się powoli od okna. Chociaż jego ruchy były spokojne i opanowane, nie ulegało wątpliwości, że znajduje się na krawędzi wybuchu. W każdej chwili w tym cichym pokoju mógł się rozpętać huragan. Mięśnie doktora napięły się i zesztywniały. Uczony pobladł raptem i osunął się na fotel, niczym wiązka bezwładnej materii. Zemdlał.

Po niespełna pół godzinie odzyskał przytomność i usiadł. Podobnie jak wcześniej nie wydał żadnego dźwięku. Ani jedna sylaba nie padła z jego ust. Podniósł się cicho i rozejrzał po pokoju.

Potem zrobił coś dziwnego.

Wziąwszy ciężki pręt ze stojaka w kącie, podszedł do kominka i potężnym ciosem roztrzaskał zegar na kawałki. Szkło rozprysło się na atomy.

– Ucisz na wieczność swój kłamliwy głos – powiedział dziwnie spokojnym, bezbarwnym tonem. – Nie ma czegoś takiego jak czas!

Wyjął z kieszeni zegarek i trzymając za długą, złotą dewizkę, zakołysał nim kilkukrotnie. Rozbił go jednym uderzeniem o ścianę, po czym wszedł do swojego laboratorium i zawiesił roztrzaskane szczątki na kościach szkieletu stojącego w rogu pomieszczenia.

– Niechże jedna przeklęta kpina zawiśnie na drugiej – powiedział z osobliwym uśmiechem. – Oba urojenia i oba tak okrutne, jak fałszywe!

Powoli wrócił do salonu położonego od frontu. Zatrzymał się naprzeciw regału, gdzie w rzędzie stały wybornie oprawione i kunsztownie wydrukowane „Święte księgi świata", najcenniejszy skarb zmarłego profesora. A obok nich kilka tomów autorstwa Pielgrzyma.

Po kolei zdejmował je z półki i ciskał przez otwarte okno.

– Diabelskie mrzonki! Głupie, diabelskie mrzonki! – krzyczał z jadowitym śmiechem.

Wkrótce znieruchomiał w wyniku skrajnego wyczerpania. Powoli spojrzał na przeciwległą ścianę, gdzie wisiał niezwykły zestaw wschodnich mieczy i sztyletów, szabel i włóczni – plonu zebranego podczas niezliczonych podróży. Przeszedł przez pokój i przejechał palcem wzdłuż jednego z ostrzy. Zdawał się wahać.

– Nie, nie w ten sposób. Są łatwiejsze i lepsze sposoby niż ten – wymamrotał.

Wziął kapelusz i zszedł na dół, na ulicę.

5

Była piąta, a żar czerwcowego słońca rozlewał się po chodniku. Doktor poczuł, jak metalowa klamka parzy dłoń.

– Ach, Laidlaw, cóż za spotkanie! – zawołał ktoś tuż za nim. – Właśnie do ciebie szedłem. Mam sprawę, która cię zainteresuje. I pamiętałem, że lubisz herbatę z dodatkiem liści pomarańczy! I przyznaję...

Był to doktor Alexis Stephen, znakomity hipnotyzer. Laidlaw wpatrywał się w niego przez chwilę, jakby ten uderzył go w twarz.

– Nie piłem dzisiaj herbaty – powiedział oszołomiony.

W jego głowie rodził się nowy pomysł.

– Co się stało? – zapytał doktor Stephen. – Coś z tobą nie tak. To ten niespodziewany upał albo przepracowanie. Chodź, człowieku, wejdźmy do środka.

Światło niebiańskiego natchnienia zagościło na obliczu Laidlawa. Spojrzał na przyjaciela i skłamał:

– Dziwne... Sam właśnie szedłem do ciebie. Jest coś bardzo ważnego, co chciałbym ci powiedzieć w zaufaniu. Lecz u ciebie – poprosił, gdy Stephen skierował się ku jego drzwiom. – U ciebie. To tuż za rogiem, a ja nie mogę wrócić do swojej kwatery, dopóki ci nie powiem.

Gdy tylko usiedli w zaciszu domostwa hipnotyzera, jąkając się, dodał:

– Tymczasem będę twoim pacjentem. I chcę, eee...

– Mój drogi Laidlawie – przerwał Stephen, kojącym, acz nieznoszącym sprzeciwu tonem, jakim to wielu cierpiącym duszom nie raz mówił, że lekarstwo na ból znajduje się w przebudzonej ponownie woli. – Wiesz, że jestem zawsze do twojej dyspozycji. Musisz mi tylko powiedzieć, co mogę dla ciebie zrobić, a zrobię to. – Zachowywał się bardzo delikatnie i było oczywiste, że głęboko pragnie pomóc koledze.

Doktor Laidlaw spojrzał na niego.

– Oddaję swoją wolę w twoje ręce – powiedział, uspokojony obecnością przyjaciela. – I chcę, byś wyleczył mnie hipnozą, natychmiast. Chcę, abyś sprawił – powiedział z napięciem w głosie – że zapomnę, zapomnę aż do śmierci wszystko, co mi się przydarzyło w ciągu ostatnich dwóch godzin. Aż do śmierci, pamiętaj – dodał z naciskiem. – Aż do śmierci.

Plątał się i zacinał niczym przerażony chłopiec. Alexis Stephen wpatrywał się w niego w milczeniu.

– Co więcej – kontynuował Laidlaw – chcę, abyś nie zadawał żadnych pytań. Pragnę zapomnieć na zawsze o czymś, co niedawno odkryłem. O czymś tak strasznym, a zarazem tak oczywistym, że

trudno mi pojąć, dlaczego nie jest to jasne dla każdego człowieka. Doznałem bowiem chwili absolutnej jasności, okrutnego widzenia. I nie chcę, żeby ktokolwiek na całym świecie wiedział, co zostało mi objawione. A szczególnie ty, stary przyjacielu.

Był całkowicie zagubiony i ledwie zdawał sobie sprawę z tego, co mówi. Lecz ból malujący się na jego obliczu i udręka w głosie okazały się natychmiastową przepustką do serca hipnotyzera.

– Nic prostszego – powiedział doktor Stephen z wahaniem tak lekkim, że Laidlaw prawdopodobnie nawet go nie zauważył. – Chodźmy do drugiego pokoju, gdzie nikt nie będzie nam przeszkadzał. Potrafię cię uzdrowić. Twoje wspomnienia z ostatnich dwóch godzin zostaną wymazane, jakby nigdy nie istniały. Możesz mi całkowicie zaufać.

– Wiem, że mogę – odparł krótko Laidlaw i podążył za Stephenem.

6

Godzinę później wrócili do salonu. Słońce zachodziło już za domy naprzeciwko i pojawiły się cienie.

– Poszło gładko? – zapytał Laidlaw.

– Początkowo nieco się opierałeś. Jednak chociaż zacząłeś jak lew, skończyłeś jak baranek*. Po wszystkim pozwoliłem ci się trochę przespać.

Doktor Stephen wpatrywał się nieruchomo w oblicze przyjaciela.

– Co robiłeś przy kominku, zanim tu przyszedłeś? – zapytał swobodnym tonem.

Zapalił papierosa i podał papierośnicę swojemu pacjentowi.

– Ja? Niech pomyślę. Już wiem. Przedzierałem się przez dokumenty i drobiazgi należące do biednego Ebora. Wiesz, jestem wykonawcą jego testamentu. Ogarnęło mnie znużenie, więc wyszedłem

* Nawiązanie do powiedzenia: *March comes in like a lion, and goes out like a lamb* (przyp. tłum.).

na świeże powietrze. – Mówił swobodnie i naturalnie. Było oczywiste, że nie kłamie. – Wolę okazy od papierów – dodał wesoło.

– Wiem, wiem – powiedział doktor Stephen.

Przypalił papierosa. Jego twarz przybrała wyraz zadowolenia. Eksperyment zakończył się pełnym sukcesem. Pamięć ostatnich dwóch godzin została całkowicie wymazana. Laidlaw opowiadał żywo i swobodnie o tuzinie innych interesujących go spraw. Razem wyszli na ulicę, a w drzwiach doktor Stephen pożegnał go dowcipem i zawadiacką miną, które sprawiły, że jego przyjaciel roześmiał się serdecznie.

– Nie zjedz przez pomyłkę starych dokumentów profesora – zawołał, gdy tamten zniknął na ulicy.

Doktor Laidlaw skierował się do swego gabinetu na górze. W połowie drogi spotkał gospodynię, panią Fewings.

– Włamywacze tu byli! – zawołała podekscytowana. – Albo inne draństwo! Wszystkie pana rzeczy porozrzucane. Wszędzie!

Jej zaczerwienioną twarz oblewał pot. Kobieta była roztrzęsiona i zmieszana. W tym starannie uporządkowanym domostwie niepodobna było znaleźć rzeczy nie na swoim miejscu.

– Och, moje okazy! – wykrzyknął doktor i pokonał resztę schodów z zawrotną prędkością. – Czy ktoś ich dotykał albo...

Pobiegł do drzwi laboratorium. Pani Fewings podążała za nim, ciężko dysząc.

– Nie ruszyli laboratoryjum – wyjaśniła z zapartym tchem. – Ale poczaskali zegar w bibliotece i powisili pana złoty zegarek na ręce skieletona. A książki, które tanie nie były, wyciepnęli przez okno, jak śmieci jakieś. Musi być, diabelnie pijani byli, panie doktorze Laidlaw!

Młody naukowiec dokonał pośpiesznego oglądu pomieszczeń. Nie brakowało żadnego wartościowego przedmiotu. Zaczął się zastanawiać, co to mogli być za włamywacze. Spojrzał przenikliwie na stojącą w drzwiach panią Fewings. Przez chwilę zdawał się szukać czegoś w myślach.

– Dziwne – powiedział w końcu. – Wyszedłem stąd ledwo godzinę temu i wszystko było wtedy w porządku.

– Tak? Tak, proszę pana.

Czujnie spojrzała na swego pracodawcę. Jej pokój wychodził na podwórze i musiała widzieć spadające książki, i słyszeć, jak jej pan opuszcza dom kilka minut później.

– A cóż to za śmieci zostawili ci brutale? – wykrzyknął Laidlaw i podniósł dwie tabliczki z wytartego, szarego kamienia leżące na biurku. – Kamień polerski* czy co, powiadam. – Rzucił kolejne ostre spojrzenie w stronę swej zdezorientowanej i strapionej gospodyni. – Proszę je wyrzucić na śmietnik, pani Fewings. I proszę dać mi znać, jeśli w domu czegoś brakuje. Wieczorem powiadomię policję.

Gdy gospodyni opuściła pokój, doktor wszedł do laboratorium i zdjął zegarek z palców szkieletu. Jego twarz przybrała niespokojny wyraz, ale po chwili namysłu znów się rozjaśniła. W jego pamięci panowała całkowita pustka.

– Pewnie zostawiłem go na biurku, kiedy wyszedłem zaczerpnąć powietrza – powiedział.

I nie było nikogo, kto mógłby mu zaprzeczyć.

Podszedł do okna, po czym niedbale zdmuchnął z parapetu kilka drobinek spopielonego papieru. Stał i patrzył, jak płyną z wolna ponad wierzchołkami drzew.

* W oryginale *bath brick* – kostka kształtem przypominająca cegłę, używana do polerowania i czyszczenia metalowych przedmiotów. Wytwarzana w Bridgwater od 1820 r. poprzez wypalanie rzecznego mułu. Opatentowana w 1823 r. pod nazwą *bath brick* ze względu na kolor, który po wypaleniu przypominał kolor kamienia z Bath (przyp. tłum.).

Opowiadanie opracowali

Redakcja: Katarzyna Pikosz

Kontrola redakcji: Magda Kowalewicz, Magdalena Świerczek-Gryboś

Korekta: Karolina Maślińska, Justyna Mroczek-Żal, Magdalena Kłodowska, Ilona Żurawska

Weryfikacja: Aleks Gapski, Agnieszka Ruczaj, Dorota Stolecka

Kontrola weryfikacji: Magda Kowalewicz

Kontrola przed składem: Dawid Wiktorski

Ciężar wschodzącego słońca

Vylar Kaftan
Tłumaczenie: Marcin Piecyk
Tytuł oryginalny: *The Weight of the Sunrise*

1. Oszpecony bóg

A więc pytasz o historię swego pochodzenia, piękny chłopcze, oraz o to, dlaczego ty i twój ojciec różnicie się od ludzi, którzy was otaczają. Masz czternaście lat i prawie jesteś mężczyzną. Nim wybierzesz imię, powinieneś poznać samego siebie. Zatem ja, twój dziadek, opowiem o tobie historię. Opowieść ta została zapisana w bliznach mych rąk i we krwi Inków.

Musisz, dziecię, wyobrazić sobie mnie, gdy byłem młodszy – kiedy miałem tyle lat, co twój ojciec. Zobrazuj sobie ciepły, grudniowy dzień, tuż przed przesileniem letnim. Był to rok tysiąc osiemset szósty, choć wtedy jeszcze nie liczyliśmy lat tak jak Europejczycy. Na południu Kraju Czterech Regionów szalała czarna ospa. Widziałeś dziobatą twarz babci; kiedyś ze względu na te charakterystyczne blizny uznawano ją za piękną. Pracowałem na polach niedaleko Cusco, ponieważ lubiłem uprawiać rolę. Nie przepadałem nigdy za miastem. Chłodna ziemia na rękach przypominała mi dzieciństwo oraz dom w północnych górach.

Kiedy wezwali mnie bogowie, sadziłem późnowiosenne pomidory – te, które miały rozkwitnąć krótko przed czerwcowym

mrozem. Uklęknąłem na tarasowatych zboczach na południe od Cusco, na ziemi będącej własnością klanu twej babci; jak bowiem wiesz, sam pochodzę z ubogiej, uprawiającej ziemniaki rodziny. Każde nasiono z miłością wnikało w ziemię; dziękowałem Pachamamie za to, że mogłem cieszyć się siewem i nie martwić o zbiory. Słońce w zenicie błogosławiło moją odkrytą głowę. Niedaleko spoczywał dzban z wodą, a opierał się o niego mój skałkowy karabin.

Coś przesłoniło światło, choć żadna chmura nie znaczyła nieba. Spojrzałem w górę. Nadeszło dwóch mężczyzn, sądząc po odzieniu i postawie – wielmożów. W okolicy gardła mieli naszyjniki z piór ar, zatem wiedziałem, że przewyższają rangą każdego szlachcica, którego kiedykolwiek spotkałem. Społeczeństwo nie wymagało, bym się kłaniał, ale tak czy siak wstałem i uczyniłem ten gest.

Wyższy mężczyzna, który nosił jaśniejsze pióra, rzekł:

– Lanchi Ronpa?

– Jam Lanchi – odparłem, przy czym jak zwykle opuściłem tytuł.

Nie podobało mi się, że otrzymałem status szlachecki ze względu na to, iż moja rodzina przeżyła ospę, nawet jeśli miałem do niego prawo. W tamtym czasie podróżowałem i nigdy nie wystawiłem się na działanie tej choroby. Z tego, co wiedziałem, ospa uśmierciłaby mnie, gdybym się nią kiedykolwiek zaraził. Nawet sam wspaniały lekarz Ronpa przyznał kiedyś, że o ile Inti naznaczał świętymi bliznami niektóre rodziny, o tyle nadal mógł zabierać im dzieci według swojej woli.

Niższy mężczyzna spojrzał pogardliwie na moje ręce i brudną tunikę. Domyślałem się, że to podwładny, bo się nie odzywał.

Ten pierwszy przemówił:

– Jam jest Amaru Aroynapa, a to mój kuzyn, Paucar Aroynapa. Przybyliśmy w imieniu samego Sapy Inki, Kondora Coniranyu, Imperatora Czterech Regionów. Wynikła sprawa wielkiej wagi. Jesteś wzywany przed jego oblicze.

Kolana pode mną zadrżały. Rodzina Aroynapów? Nie zwykła szlachta, ale kuzyni samego boga-imperatora! Poprzedni Sapa Inca dołączył do Dworu Umarłych zaledwie trzy lata wcześniej. Władca, zwany teraz Conirayą, dopiero co stał się mężczyzną,

lecz dowiódł swej boskości poprzez umiejętną walkę z bratem. A teraz śmiertelni kuzyni boga wzywali mnie przed jego oblicze?

– Jakiegoż to zaszczytu Sapa Inca chciałby mi udzielić? – zapytałem, czując suchość w ustach.

– Twój dziadek był Brytyjczykiem, zgadza się?

– Tak – odparłem. – Urodził się Smithem na ziemiach brytyjskich, lecz przybył tu jako handlarz i nauczył się naszych zwyczajów. Przyjął nazwisko...

– A czy znasz angielski?

Nie mówiłem w tym języku, odkąd skończyłem dziesięć lat. Mój dziadek żył na naszej farmie w odosobnieniu i zawsze obawialiśmy się edyktu skazującego go na śmierć. Zmarł na choroby układu pokarmowego przed dwudziestoma laty.

– Mówiłem po angielsku – przyznałem ostrożnie, w obawie, że zapomniałem, jak się nim posługiwać. – Ale obcy zostali przegnani z naszej ziemi czterdzieści lat temu. Do czego Sapa Inca może potrzebować moich umiejętności?

– Czasy się zmieniły – odparł szorstko niższy mężczyzna. – Nie kwestionuj obecnych potrzeb.

– To inteligentne pytanie, Paucar – odezwał się łagodnie Amaru. – Chciałby zrozumieć, dlaczego Sapa Inca go wzywa. – Zwrócił się do mnie: – Mamy gości z północnych ziem. Dzierżą brytyjską flagę, lecz zwą siebie Amerykanami. Przyprowadzili własnego tłumacza, ubogiego rybaka z odległej wioski, o takim samym rodowodzie jak twój. Ale taki człowiek nie może stanąć przed bogiem.

Nagle zrozumiałem.

– I nie ma już prawdziwych szlachciców, którzy władaliby tym językiem.

– Właśnie. Jest trochę rodzin angielskiego pochodzenia, głównie wśród rolników i rybaków z dalekiej północy. Jest też trochę rodzin, którym przyznano tytuł szlachecki Ronpa, ponieważ w każdej z nich rodzic i dwoje dzieci udowodnili, że są odporni na ospę. W Cusco jednakże tylko jedna osoba ma obie te cechy.

Odłożyłem motykę, gdyż dłonie zaczęły mi się pocić. Pomimo tytułu nigdy nie czułem, że należę do Cusco. Byłem już dorosły, kiedy moja rodzina, niejako przez przypadek, otrzymała miejsce

w stolicy, a równocześnie ospa zdziesiątkowała naszą wioskę. Nie byłem bardziej wytworny od rybaka, którego miałem zastąpić. W mieście jednak nauczyłem się trochę manier, a Sapa Inca oczywiście nie będzie rozmawiał z poławiaczem ryb. Zapewne gdybym poszedł, oszczędziłbym temu człowiekowi presji, którą sam czułem, odkąd się tu pojawiłem; brzemienia dzielonego tylko z żoną, rozumiejącą moje obawy.

– Skoro Sapa Inca mnie wzywa, odpowiadam z radością – odrzekłem spokojnie.

Amaru kiwnął głową.

– Przygotuj się i powiadom małżonkę. Przyjdź o zmroku do pałacu, gdzie rozpocznie się twoja kwarantanna.

Zawahałem się, zmartwiony swoim pospolitym wyglądem.

– Mam haftowaną tunikę, więc może...

Paucar prychnął, ale Amaru uśmiechnął się delikatnie.

– Twoje ubranie zostanie spalone, Lanchi. Równie dobrze możesz założyć to, co nosisz teraz.

Twarz mi się zaczerwieniła.

– Oczywiście.

Sapa Inca obdaruje mnie odzieniem i biżuterią z taką samą beztroską, z jaką linieją psy. A to dopiero początek. Bez względu na to, co przyniesie spotkanie, moje życie zmieni się na zawsze. Nikt nie mógł spotkać boga i pozostać sobą.

Zabrałem muszkiet i dzban z wodą, po czym ruszyłem do domu. Czekał mnie długi marsz. Niedaleko samego Cusco znajdowało się niewiele pól, gdyż w stolicy żyło mało plebejuszy. W tych czasach dość dziwnie było należeć do klasy Ronpów; staliśmy w rozkroku między szanowanymi rodzinami a robotnikami. Mój dom znajdował się po drugiej stronie miasta. Dotarłbym tam szybciej, gdybym przez nie przeszedł, lecz wolałem podziwiać malownicze krajobrazy, idąc po pięknych brukowanych drogach, które pozostawały solidne już od czterech stuleci. Słyszałem, że europejskie trakty mają pełno dziur. Zdumiewało mnie, że wynalazcy muszkietów nie potrafią wybudować drogi.

Gdy zbliżyłem się do domu, rozpoznałem zapach gulaszu z lamy, obiecanego mi przez moją ukochaną Ymę na kolację.

Pośpieszyłem w stronę znajomej kamiennej budowli, która nadal wydawała mi się zbyt luksusowa. Zamiast nowomodnych europejskich drzwi mieliśmy tradycyjną kotarę, ponieważ lubiliśmy czuć rześki wietrzyk.

Odsunąłem zasłonę.

– Yma, kochanie. Wróciłem wcześnie, bo mam wieści.

Spojrzała znad garnka. Na ten widok moje serce wypełniło się radością. Żona była tak samo wspaniała jak w dniu, w którym dałem jej matce liście koki; Yma wciąż miała ponętne kształty niczym bogini, a włosy przypominające włoski kukurydzy* opadały jej do bioder. Ślady znaczące twarz świadczyły o sile i zdrowiu; żadne częściowe zbliznowacenia nie zniszczyły symetrii jej oblicza! Moja Yma przeszła ospę w wieku piętnastu lat, co czyniło ją dobrą partnerką dla takiego Ronpy jak ja. Dzięki błogosławieństwu Inti nasze dzieci również mogły okazać się odporne.

Na twarzy Ymy pojawił się uśmiech, który zaraz zbladł.

– Wyglądasz na zmartwionego. Czy to złe wieści?

– Złe nie, jednak nieoczekiwane – odparłem.

Wtem do środka wbiegła ze śmiechem moja mała Chaska, pokryta kukurydzianą mąką.

– Tata! – krzyknęła, po czym zaczęła ściskać mnie i całować moje ramię.

Radość mojego życia! W trakcie przesilenia letniego skończy dziewięć lat. Jej przydomek oznaczał jasne gwiazdy... lub planety, jak zaczęliśmy je nazywać od chwili, gdy w zeszłym stuleciu my i europejscy astronomowie podzieliliśmy się ze sobą wiedzą.

– Witaj, kochanie – rzekłem czule i jedynie poklepałem ją po głowie, by jej nie rozpieszczać.

Odsunąłem córkę i podszedłem do syna, który pełzał w terakotowym kojcu. Podniosłem chłopca, zakręciłem się z nim i postawiłem z powrotem. Moje serce pragnęło nadać synkowi przydomek, lecz nie ośmieliłem się kusić duchów, by go uprowadziły. Po prostu do drugich urodzin musiał pozostać „dzieckiem".

* Chodzi o znamiona kukurydzy, czyli delikatne, nitkowate struktury na kolbach (przyp. tłum.).

– Chaska, wracaj do mielenia – powiedziała żona.

Córka wyszła. Praca zdawała się poprawiać jej nastrój, co, jak sądziliśmy, było czymś dobrym. Niezwykle o nią dbaliśmy, gdyż uważano ją za jedną z najładniejszych dziewczynek w Cusco, i mieliśmy nadzieję, że pewnego dnia zostanie wybrana na kapłankę.

– Co się stało? – zapytała Yma, odkładając łyżkę.

Kiedy opowiedziałem, co zaszło, żona otworzyła szeroko oczy, a jej twarz przybrała melancholijny wyraz. Yma była najmłodszą córką rodziców pochodzących z niższej szlachty i wiedziała, co oznacza wezwanie przez Imperium. Mogło przynieść naszej rodzinie wielkie szczęście... lub zgubę, jeśli urażę władcę.

W końcu żona rzekła tylko:

– Muszę przyciąć ci grzywkę, zanim pójdziesz. Nie chcę, by ktoś z pałacu zdobył kosmyki twoich włosów.

Kiwnąłem głową, mimo że strzygła mnie w zeszłym tygodniu. Yma poprosiła Chaskę o zamieszanie mięsa, a sama zgrabnie przycięła mi włosy, tak aby grzywka sięgała do brwi, a boki do brody. Troskliwie posługiwała się nożem, jakby wykonana jej ręką fryzura miała chronić mnie, kiedy ona sama nie będzie mogła.

Ach, dziecię, kochałem tę kobietę, twoją szacowną babcię! Tęsknię za nią każdego dnia, odkąd odeszła do Imperium Słońca. Była księżycem dla mego słońca, srebrem dla mego złota – skromniejszą, lecz równie ważną połową naszej pary; pasowaliśmy do siebie tak, jak pasuje do siebie wszystko na świecie. Bez niej byłbym nikim. Pewnego dnia sam wybierzesz sobie kobietę, a wówczas zrozumiesz, dlaczego rodzina jest prawdziwym złotem tego świata. Największa radość, którą można sobie wyobrazić, to kochać inną osobę, tak jak ja kochałem swoją Ymę.

Tego wieczoru ucałowałem żonę na pożegnanie, obawiając się, że mogę stracić całe to szczęście. Objąłem troskliwie dzieci, nie zważając na to, że inni mogą zarzucić mi ich rozpieszczanie.

Gdy przechodziłem przez miasto, ujrzałem je w nowym świetle. Podziwiałem plac na Huacaypata, gdzie robotnicy przygotowywali olbrzymie kamienne stoły na ucztę z okazji przesilenia. Obserwowałem niższą szlachtę, jak pędzi po ulicach na wieczorne odwiedziny, przyodziana w tuniki z jasnej wełny i błyszczące

pióra z Amazonii. Niektórzy nosili nawet kapelusze, które spopularyzowali Europejczycy, choć wielu Inków pogardzało tą tradycją jako obcą. Nikt jednak nie mógł zakwestionować, że kapelusze z jasnymi piórami są praktyczne, dlatego zwyczaj ten utrzymał się w kręgach szlacheckich.

Ostatnio Cusco nie wzbudzało mojego zachwytu. Nawet gdy służący zmyli ze mnie brud i znój w kamiennych salach Coricanchy, nie potrafiłem docenić urody pałacu. Ci Amerykanie! Czego mogli od nas chcieć? Byli brytyjską grupą odszczepieńców, którą rządzono zza oceanu, tak jak my rządziliśmy plemionami na trzech tysiącach mil pustyni, lasu deszczowego i gór. Nazywali siebie jednak zarówno brytyjskimi poddanymi, jak i Amerykanami.

Żaden inkaski władca nie tolerowałby czegoś takiego. Przywódcom ludów podbitych nadawano w Cusco tytuły szlacheckie, a imperialnych lojalistów wysyłano na nowe lądy jako zarządców. W ten sposób wszyscy stawali się Inkami. Nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego Brytyjczycy nie postępują tak samo.

Tak oto, nagi i samotny, czekałem na swoją kolej, by ujrzeć boga-imperatora. Przed kontaktem musiało minąć dwanaście dni, zgodnie ze wskazówkami Ronpy. Ów władca samodzielnie ocalił Imperium Inków... lub to, co z niego zostało po tym, jak miliony zmarły w szesnastym wieku. Czułem się dość komfortowo; poczekalne komnaty miały gorące cegły i fascynujące mozaiki. Nie wolno mi było niczego dotykać, więc siedziałem i myślałem. Trudno było nie zastanawiać się nad tym, czego uczono mnie na lekcjach historii, że wspomnę tylko o głupim Pizarro, który zaatakował osiemdziesiąt tysięcy Inków, mając jedynie stu sześćdziesięciu ośmiu Hiszpanów; konie, działa i pancerze nie mogły odstraszyć tylu inkaskich wojowników! Odważny Atahualpa zabił wielu towarzyszy Pizarra, ale zachował przy życiu siedmiu, by nauczyli go, jak obsługiwać działa.

Myślałem o tych ludziach, gdy słudzy ubierali mnie w najpiękniejszą tunikę, jakiej kiedykolwiek dotykałem. Nawet Hiszpanie, żyjący z ospą odkąd tylko sięgaliśmy pamięcią, nie wiedzieli, jak sobie z nią poradzić. To inkaska nauka odkryła, jak prowadzić

kwarantannę i odkażanie. W tym momencie znalazłem w sobie odwagę. Może i bogowie nas sprawdzali, lecz mój lud triumfował – w końcu odzyskiwał utracone ziemie, aż nasze Imperium zaczęło cieszyć się pełnią swej dawnej chwały. Obecnie Inkowie i cudzoziemcy byli sobie równi.

Gdy słudzy przeciskali mi przez uszy cienkie, złote wkładki, jedno nie dawało mi spokoju. Miałem być odpowiedzialny za słowa tych całych Amerykanów. Z pewnością przybyli, aby dokonać transakcji. Gdyby grozili Sapie Ince, musiałbym zmienić ton ich wypowiedzi, inaczej władca mógłby posądzić mnie o świętokradztwo. Gdyby jednak odkrył, że tłumaczę niedokładnie, mógłbym zostać zabity również za tę obrazę. Stałem na straconej pozycji.

Pachołkowie zapięli mi na plecach ciężki blok złota, gdyż żaden człowiek nie mógł zobaczyć się z Sapą Incą nieobarczony balastem. Zachwiałem się pod brzemieniem. Nawet jeśli barbarzyńcy nie mieli arystokratycznych manier, a więc nie byli pod każdym względem łagodni ani pełni szacunku, to i tak mój los zależał od nich. A ja nie robiłem sobie dużych nadziei, że uszanują boga-imperatora na tyle, by go nie znieważyć.

Sługa wyprowadził mnie z komnaty. Potykałem się boso na podłodze wyłożonej płytkami, niemal ślepy na otoczenie. Moją drogę wyznaczały masywne kamienne filary i złote ozdoby. Mijałem rzędy szlachciców, każdy kolejny ubrany wytworniej od poprzedniego; nosili złote maski słońca, symbole ich klasy. To było niczym dziwny sen, który może zniknąć wraz z przebudzeniem. Czekałem kolejno przed trzema różnymi drzwiami – jedne większe od wcześniejszych – aż wreszcie imperialny sługa wezwał mnie do środka.

Zebrałem się w sobie. Jeżeli Sapa Inca przyjął Amerykanów, było pewne, że musi wysłuchać ich prośby. Chciał ode mnie dokładnego tłumaczenia. Z bólem pleców i bijącym sercem wszedłem do sali tronowej. Pokonałem odległość, która wydawała mi się równa długości całego Cusco, i dotarłem do piedestału Sapy Inki. Przywarłem ciałem do podłogi i trwałem tak, dopóki mnie nie wezwano. Nawet wtedy jednak wstawałem powoli, ze spuszczonym wzrokiem.

Przede mną stał wielki, złoty ekran, rzeźbiony w pumy, kondory i kwiaty, a za nim skrywał się człowiek, którego moje oczy nie były godne zobaczyć.

2. Sapa Inca przemawia

Ty, wnuku, ujrzałeś tronową komnatę osobiście, dzięki zasługom ojca. Być może więc moja historia wydaje ci się przyziemna. Musisz jednak pamiętać – nigdy nie marzyłem o spotkaniu Sapy Inki. Kiedy miałem czternaście lat, wciąż mieszkałem w wiosce Pitahaya, gdzie pracowałem na roli, polowałem i studiowałem Biblię mojego dziadka, Brytyjczyka. Miałem tylko dwa marzenia: uprawiać własną ziemię i mieć brata. Nie zrozumiesz, jak trudne jest życie chłopca z dwiema starszymi i dwiema młodszymi siostrami!

Dlatego, dziecię, musisz zobrazować sobie ten dzień, jakbyś był na moim miejscu. Kiedy ospa nawiedziła Pitahayę, starsze siostry już dawno mieszkały w innych wioskach jako mężatki. Byłem wtedy daleko, na swoim pierwszym samodzielnym polowaniu, i przygotowywałem się, by zostać mężczyzną. Rodzice i młodsze siostry pozostali w domu.

Wyobraź sobie, że jesteś dzisiaj na łowach... Tak, wiem, że wolisz żeglować, lecz okaż mi cierpliwość. Jesteś sam, polegasz na muszkiecie i zmysłach. Tropisz drapieżnego ptaka lub dzikiego kota i uważasz się za sprytnego. Mógłbyś zabić kondora, tak jak ja, a potem ogłosić się mężczyzną. Oznaczasz sobie twarz jego krwią i po trwającym pięć dni polowaniu wracasz do domu, triumfujący i dumny.

Docierasz do wzgórza, na którym leży wioska, i dowiadujesz się, że nie możesz iść dalej. Imperialni żołnierze blokują drogę. Twoją okolicę nawiedziła ospa. Budynki podpalono, żeby pozbyć się choroby, a ty nie wiesz, kto jest w środku. Żołnierze mówią, że trzy czwarte mieszkańców wioski nie żyje. Nie wiedzą, co z twoją rodziną. Musisz przyglądać się gromadom chorych śpiących

na świeżym powietrzu, objętych kwarantanną przez pokrytych bliznami ocalałych. Nie możesz do nich dołączyć, więc zerkasz z pewnej odległości, pragnąc, by twoje oczy pochodziły od kondora, którego zabiłeś.

Ale nie, dziecię, nie możesz wyobrazić sobie takiego szaleństwa. Już nie musisz obawiać się ospy tak jak my. Minęły trzy dni, nim się dowiedziałem, jaki los spotkał moją rodzinę. Matka wyzdrowiała, lecz siostry oślepły. Ojciec zmarł, wyjękując moje imię. Wnuku, nigdy nie wrócisz do domu, do pokrytej głębokimi bliznami rodziny, i to tylko po to, by się przekonać, że z dnia na dzień zyskała nowy status – Ronpa. Wiele zdobyłeś, ale jakim kosztem! Spójrz na zniszczoną wioskę, gdzie kobiety płaczą, gdzie dobytki płoną. Popatrz na swoich przyjaciół i sąsiadów, którzy tuzinami padają ofiarą zarazy.

Spróbuj zrozumieć, drogi chłopcze. Twoja historia bierze się bowiem z tego strachu.

Wspomnienie płonącej wioski nawiedziło mnie, gdy spotkałem Sapę Incę, który siedział nieosiągalny za masywnym ekranem. Wiedziałem, że nigdy takich widoków nie uświadczył.

– Ty jesteś Lanchi Ronpa – stwierdził władczy głos zza złotej ściany.

– Tak, Wasza Boskość – odrzekłem, a gdy szlachta zachichotała za maskami, zarumieniłem się.

Powinienem był zwrócić się do niego „Wasza Wspaniałość"; tamten tytuł oznaczał jego brata, Wysokiego Kapłana.

Na szczęście głos zabrzmiał, jakby był rozbawiony.

– Lanchi Ronpa, będziesz tłumaczył dla Amerykanów, kiedy zostaną wpuszczeni do środka. Cały czas bądź stanowczy. Przekazując nasze słowa, przemawiaj tonem jak najbardziej władczym, jakbyś był najwspanialszym z ludzi. Kiedy będziesz przekładał ich wypowiedzi, używaj delikatnego tonu. Rozkazujemy ci, byś tłumaczył jak najdokładniej.

Słowa te przyniosły mi pewną ulgę, lecz nie całkowitą. Sapa Inca mógł ogłosić jedno, a potem uczynić co innego, jeśli dostatecznie się wścieknie. Nikomu nie wolno było podawać w wątpliwość jego kaprysów. Dlatego po prostu odparłem:

– Słyszę i się zastosuję, Wasza Wspaniałość.

– Stań obok ekranu i stamtąd przemawiaj.

Nerwowo zbliżyłem się do parawanu, który rozszerzał się po obu stronach, by całkowicie osłaniać boga-imperatora. Arystokraci szeptali. Nieważne, co jeszcze tego dnia się wydarzy, miałem zostać zapamiętany jako Ronpa, który stał na najwyższym stopniu. Kolana mi się trzęsły. Nie czułem się godzien tego, by zobaczyć twarz Sapy Inki.

Z boku dobiegł do mnie cichy kobiecy głos.

– Lanchi Ronpa, będziesz tłumaczył również każde pytanie, które ja zadam Amerykanom, kiedy nadejdzie pora.

Coya Inca! Ona także się tu znalazła. Najczęściej kobiety u władzy zostawały w domach, lecz ona zawsze była ambitna. Żona Sapy, księżyc jaśniejący od jego dziennego blasku. Nie miałem pojęcia, jak się do niej zwracać, więc powiedziałem niepewnie:

– Słyszę i się zastosuję, gwiazdo najczystszego nieba.

Komplement wydawał się do przyjęcia, jako że zza ekranu nie padły żadne słowa. Zatem czekałem na Amerykanów.

Wkrótce zjawili się imperialni strażnicy, dzierżący wszystkie znane nam rodzaje broni, od tradycyjnych bolasów aż do nowoczesnych karabinów skałkowych – najlepszych, jakie stworzyli nasi uczeni. Nie zatrzymaliśmy się w miejscu przez wieki ubóstwa i wojen; dopiero plagi przerwały nasze odkrycia naukowe. Od czasów rządów Atahualpy straż przez cały czas pozostawała uzbrojona. Nigdy nie było wiadomo, kiedy dyplomata może zaatakować.

Przybyło tylu wojowników, że nie widziałem niczego innego. Wówczas pochód rozdzielił się niczym ziarna na wietrze i zobaczyłem Amerykanów.

Dziecię, powiadam tobie – obawiałem się rozczarowania, że są tylko ludźmi, lecz w rzeczywistości czułem się zaskoczony. Było ich pięciu. Wszyscy nosili na plecach ciężkie kamienie. Wpierw dostrzegłem ich przywódcę, który, jak myślałem w tamtym czasie, mógł być królem. Miał oczy głębokie jak mój dziadek, z widmowymi tęczówkami i brwiami koloru rdzy. Jego włosy zadziwiały mnie, całe były kręcone i siwe jak u starca pomimo jego młodej twarzy. Wyglądały tak, jakby, póki były wilgotne, nawijał je na

pałeczki i tak spał. Zastanawiałem się, dlaczego człowiek ten ułożył włosy w tak niecodzienny sposób.

Te myśli jednak szybko zniknęły, gdyż wśród Amerykanów stał najdziwniejszy człowiek, jakiego kiedykolwiek widziałem. Jego skóra była ciemna jak żyzna gleba, a włosy – niczym sierść czarnych lam, istniejących ku czci boga stwórcy. Tak jak inni, nosił nietypowe odzienie: lekką, białą koszulkę wraz z nadmiarową tkaniną okalającą jego gardło. Tunika była stanowczo zbyt krótka, opadała tylko do pasa, a delikatna wełna ciasno przylegała, dopasowując się do kształtu nóg. Nie widziałem w tym sensu; wydawało się to ograniczające, jednak przypomniałem sobie, że Europejczycy od dawna ubierali się według tej mody. Wyglądał na młodszego niż przywódca, choć pewnie to ze względu na siwe włosy lidera.

Napotkałem spojrzenie ciemnego mężczyzny, lecz ten prędko spuścił wzrok. Jasny człowiek zwrócił się do mnie po angielsku. Dziękowałem Inti za to, że mówił powoli, gdyż to mi pomogło.

– Bogu niech będą dzięki, że przybyliśmy tu, by cię spotkać, oraz że nas powitałeś. Jesteśmy Amerykanami, obecnie podległymi imperium brytyjskiemu. W imieniu trzynastu Amerykańskich Kolonii pozdrawiam cię i zwracam się do ciebie z prośbą o podjęcie negocjacji.

Zawahałem się, zanim przetłumaczyłem „Bogu"; czy miał na myśli Inti, czy postać z brytyjskiej mitologii? Ostatecznie przetłumaczyłem to jako „bóstwo" i sądzę, że Sapa Inca przyjął, iż chodzi o tych prawdziwych bogów.

– Na potrzeby archiwów podaj imię i nazwisko, tytuł oraz klasę – powiedział nadworny skryba.

– Jestem ambasador John Fernando Loddington de Godoy. Skoro pytacie o moją klasę, oświadczam, że mój ojciec posiada ogromną farmę w Wirginii, która jest najdumniejszym i najdzielniejszym z amerykańskich terytoriów. Matka jest rodowitą Hiszpanką szlachetnej krwi, stąd mój tytuł wiąże się z lądami katalońskimi. W Ameryce moja przynależność do arystokracji bierze się z ilości ziemi, którą posiadam. Musicie mi wybaczyć to, że odpowiadam powoli. Nasze klasy są rozumiane w bardzo odmienny sposób.

Zastanawiałem się, jak Amerykanie nadają tytuł szlachecki, lecz nie moją rolą było pytać. Przetłumaczyłem jego słowa. Skryba zrobił notatki, po czym powiedział:

– Możecie zwracać się do Sapy Inki. Odpowie tylko, gdy uzna to za stosowne. Kiedy skończycie, musicie wyjść, nieważne, czy przemówi, czy nie.

Loddington spojrzał na ekran. Widziałem jego podejrzliwość; wyraźnie brakowało mu pewności, czy w ogóle siedzi tam ktokolwiek, a co dopiero Sapa Inca. Wiedział jednak, gdzie jego miejsce, a jego słowa udowadniały, że jest przenikliwy.

Rzekł:

– Cieszy mnie, że Sapa Inca uznał naszą propozycję za coś wartego wysłuchania oraz że zaszczycił nas swoją obecnością na tym spotkaniu, by usłyszeć wszystko na własne uszy i odpowiedzieć własnym głosem. Choć wybraliśmy naszego tłumacza i odpowiednio się przygotowaliśmy, wspaniała mądrość Sapy Inki skłoniła go do wyznaczenia własnego człowieka. Istotnie, jakiż skuteczny władca mógłby zaufać tłumaczowi, którego nie wybrał osobiście i którego interesy nie są zbieżne z jego?

Nauczyłem się dzięki temu, by nie lekceważyć tego człowieka. Czułem się niekomfortowo, tłumacząc ostatnią część, ponieważ mogła ona sprowokować Sapę Incę do tego, aby dopilnował, by nasze interesy rzeczywiście stały się zbieżne. Zmartwiłem się, że wymusiłoby to wydanie mojej córki za imperialnego kuzyna, najpewniej już w ciągu tygodnia. Możesz sądzić, że to przesadna reakcja, lecz dokładnie taką mocą dysponował władca – pod wpływem kaprysu był zdolny polepszyć mój los i zarazem pozbawić córkę swobody wyboru. W każdym razie dostrzegałem intencje Loddingtona. Zarówno pochlebił człowiekowi, jak i potępił go tymi samymi słowy... Upewnił się ponadto, że Sapa Inca własnym głosem udowodni, iż jest obecny.

Nasz władca uczynił dokładnie to, czego oczekiwał Loddington. Z siłą górskiej burzy przemówił zza ekranu:

– Najbardziej jesteśmy ciekawi twoich intencji. Dlaczego przybyłeś na naszą ziemię? Co twoi zubożali ludzie mogą nam zaoferować?

– Przynosimy ulgę od ospy, która pustoszy wasze Imperium.

– Lekarstwo? – wyrwało mi się pytanie.

– Coś lepszego niż lekarstwo. Przynosimy coś, co uczyni was... – i tutaj wymówił słowo, którego nie znałem.

Chciałem doprecyzować, lecz skryba mi przerwał:

– Tłumacz dla Sapy Inki, natychmiast.

– Próbuję – odparłem w języku keczua. – Muszę jednak najpierw prawidłowo zrozumieć. – Zwróciłem się do Loddingtona po angielsku: – Co oznacza to słowo? Wypowiedz je jeszcze raz.

– Odpornymi – powiedział wyraźnie. – Ospa nigdy was nie dotknie. To się dzieje po tym, jak człowiek otrzyma szczepionkę.

To ostatnie słowo również było obce, ale nie potrzebowałem definicji. Było to świetne narzędzie, które mogłoby uratować mój lud. Moje serce przyśpieszyło na samą myśl. Czym była szczepionka? Darem, a może przedmiotem? Wyobraźnia podsuwała mi ubiór w postaci złotego pancerza, z dziurami zbyt małymi, by krosty mogły przez nie przejść. Zastanawiałem się, ilu ludzi mogłoby go nosić.

Oczywiście musiałem jednak tłumaczyć, więc przemówiłem w keczua:

– Oferuje coś, co zwie się szczepionką, która według niego zabezpieczy ludzi przed ospą. Nie zachorują.

– Nie zachorują? – powtórzył Sapa Inca, wyraźnie zaskoczony.

Cała szlachta natychmiast zaczęła szeptać. Słowa rozchodziły się w tłumie i wypływały na zewnątrz z niższego pałacu, niczym woda opadająca kaskadą po zboczu.

– Tak twierdzi, Wasza Wspaniałość – rzekłem.

– Nie okazuj zaskoczenia ani zainteresowania. Zapytaj, jak działa ta szczepionka.

Tak uczyniłem, a Loddington uśmiechnął się w znajomy sposób – niczym mężczyzna, który wie, że wygra nadchodzącą bitwę. Wnuku, pamiętaj jednak, nieodbyta bitwa nie ma pewnego zwycięzcy, gdyż wynik kształtują czas i teren.

– Z pewnością Wasza Wspaniałość zrozumie, że szczegółami dotyczącymi sposobu podania szczepionki nie możemy się dzielić bez gwarancji zapłaty – powiedział Loddington.

Przetłumaczyłem to, po czym Sapa Inca odparł:

– Wyjaśnij, jak działa. Nie możemy uwierzyć, że cokolwiek znanego nauce jest w stanie powstrzymać chorobę.

Odpowiedź Loddingtona wielce mnie zaskoczyła.

– Przyprowadźcie dwudziestu zdrowych ludzi do mojego obozu pod Cusco i zostawcie ich na pięć dni. Zostaną przeze mnie zaszczepieni. Później poślijcie ich do wioski, w której szaleje ospa. Niech piją z zakażonymi z tych samych naczyń. Twoi ludzie wyjdą z tego cali i zdrowi.

Nie mogłem uwierzyć w to, co usłyszałem. Każdy wiedział, że picie z tego samego naczynia, co osoba zakażona, oznacza narażenie się na chorobę; człowiek mógł się nawet zarazić, oddychając. Nim to przetłumaczyłem, zapytałem dyplomatę:

– Czym jest ta szczepionka? Sapa Inca wykaże się większą tolerancją, jeśli będzie miał jakieś pojęcie o jej charakterze. Czy to jest maska, czy może... talizman? Albo rodzaj leczniczego błota? Skąd wiesz, że zadziała na nasz lud?

Loddington zachichotał, po czym rzekł:

– To jak uczyć chłopca strzelania do ptaka. Gdy chłopiec dorośnie, może strzelać do lwa. Nie mógłbym pokazać szczepionki, nawet gdybym chciał; jest tak mała, że żuk noszący okulary nie mógłby jej zobaczyć.

Wypuściłem powietrze z policzka, myśląc, że ten człowiek być może jest szalony, jednak przetłumaczyłem słuchaczom te słowa. To, czym są lwy, wiedziałem z Biblii, ale dla uproszczenia posłużyłem się nazwą „puma". Po mojej przemowie wśród szlachciców pojawiło się jeszcze więcej pomruków. Cusco miało rozmawiać o tym dniu przez następne lata.

Sapa Inca przez dłuższy czas trwał w milczeniu. Słyszałem, jak Coya Inca szepcze, lecz nie mogłem dosłyszeć słów. Wreszcie Sapa Inca przemówił:

– Lanchi Ronpa, czy jesteś pewien, że rozumiesz tego człowieka?

– Tak, Wasza Wspaniałość.

– Zapytaj go: jeśli ta szczepionka okaże się skuteczna, ilu ludzi moglibyśmy ochronić?

Po wysłuchaniu pytania Loddington śmiało odparł:

– Wasza Wspaniałość, nauczę waszych medyków, jak zabezpieczyć każdego mężczyznę, każdą kobietę i każde dziecko w Czterech Regionach. Za pomocą szczepionki lekarze uratują wasze potężne Imperium przed tą straszliwą plagą.

Kiedy się nad tym zastanawiałem, dodał:

– Pomyślcie, kim moglibyście się stać, gdybyście pozbyli się hiszpańskiej plagi. Wasze Imperium nawet teraz przewyższa imperia Wielkiej Brytanii i Hiszpanii, włącznie z ich koloniami w Nowym Świecie. Francja jest odległym rywalem, a wierzcie mi, patroluję naszą zachodnią granicę i miałem już do czynienia z wieloma Francuzami. Świat mógłby leżeć u waszych stóp. Inkowie mogliby przeprowadzić ekspansję na północy i wypędzić Hiszpanię z terytorium Kalifornii i z Meksyku. Oferujemy wam możliwość zabrania tych bogatych ziem ich panom zza oceanu, aby przysłużyły się chwale Inków.

Gdy tylko ośmieliłem się wtrącić, przetłumaczyłem, aby nie pominąć żadnego szczegółu. Trudno było to wszystko uporządkować. Rozmyślałem nad tym, że my, Inkowie, po najgorszej z plag szesnastego wieku potrzebowaliśmy dwustu lat, by zaledwie przywrócić naszej populacji dawną liczebność. Odbicie południowych ziem, spowolnione przez ospę, wymagało ogromnych wydatków i znacznego wysiłku. Straciliśmy czas na kwarantanny i medyczne eksperymenty. Nauczyliśmy się ograniczać zasięg choroby, jednak nie zrobiliśmy postępów w zrozumieniu jej przyczyny. Gdyby tylko te wielkie umysły badające ospę można było wykorzystać w przedsięwzięciu ekspansji inkaskiej...!

Wyglądało na to, że Sapa Inca uważa tak samo jak ja, gdyż jego następne pytanie brzmiało:

– Jeśli ta cała szczepionka okaże się skuteczna, ile będzie kosztować?

Większość dyplomatów unikałaby odpowiedzi, lecz Loddington udowodnił, że jest odważniejszy. Rzekł:

– Złoto ważące cztery tysiące razy więcej niż ja oraz traktat pokojowy między naszymi narodami.

Byłem pewien, że się przesłyszałem, więc poprosiłem o wyjaśnienie tej liczby. Usłyszałem jednak prawidłowo. Przekazałem

żądanie Sapie Ince, sądząc, że wyśmieje Amerykanina. Złoto należało do Inti; dla nas było cenne jako dobro duchowe, a nie środek płatniczy. Jednakże władca nic nie powiedział, nawet gdy szlachta wyraziła oburzenie.

Dopiero po pewnym czasie odparł:

– Toż to waga samego wschodzącego słońca.

– Taka jest nasza cena – powiedział stanowczo Loddington.

– Będąc zaledwie poddanym, nie masz prawa przemawiać w imieniu Brytyjczyków, a tym samym nie możesz proponować takiej transakcji. Ponadto, jeśli rzeczywiście posiadasz taki naukowy cud, każdy człowiek wyznający humanitarne wartości zaoferowałby go wyłącznie za cenę podróży i zaopatrzenia wraz z jakąś dodatkową nagrodą.

– Odnośnie do tej drugiej kwestii: gdybym działał na własną rękę, wówczas mogłoby dojść do takiej humanitarnej misji, co zapewniłoby mi najzaszczytniejsze miejsce w Niebie. Reprezentuję jednak trzynaście Amerykańskich Kolonii pod panowaniem Brytyjczyków i to w ich imieniu podaję tak ogromną cenę. Widzicie, chcemy, by nasz naród był wolny od brytyjskich rządów. Pragniemy kraju wolnych ludzi, którzy sami decydują o swoich sprawach zamiast znosić rządy z daleka. Za cenę tej szczepionki sfinansowalibyśmy wojnę przeciwko Brytyjczykom, którzy obciążają nas niesprawiedliwymi podatkami i ogałacają z zasobów, nie dając nic w zamian. Musicie zrozumieć: nasi tyrani zza oceanu w niczym nie przypominają tego, co widzieliście w historii swojego Imperium. Tutaj, w Czterech Regionach, władza dba o swój lud. Nasze książki historyczne obfitują w opowieści o tym, jak na waszych ziemiach Sapa Inca zaopatruje w nową odzież każdą pannę młodą i każdego pana młodego. Z pewnością rozumiecie, dlaczego ludzie muszą zabiegać o sprawiedliwe traktowanie ze strony przywódców.

Modliłem się, by zamilkł, tak żebym mógł nadążyć. Nawet uprzejmy gest dłonią nie podpowiedział mu, aby przerwał. Robiłem, co mogłem, choć zająknąłem się w części o buncie przeciwko władcom. Myślałem, że z pewnością Sapa Inca uzna tego człowieka i jego idee za groźne, lecz nasz władca ponownie zamilkł na dłuższy czas.

Gdy czekaliśmy, Loddington znów przemówił:

– To jest najrozsądniejsza cena za...

– Co by było, gdybyśmy zabili cię i przejęli tę szczepionkę? – przerwał Sapa Inca.

Przetłumaczyłem z nieprzyjemnym uczuciem, lecz Loddington nawet nie mrugnął.

– Nie wiecie nawet, jak wygląda, a co dopiero jak jej używać. Gdybyśmy sądzili, że jest inaczej, zniszczylibyśmy ją, zanim byście się do niej zbliżyli. Nie boję się waszej pustej groźby.

Kolejna chwila ciszy, po której władca rzekł:

– Podaj warunki umowy.

– Chcemy złota o wadze cztery tysiące razy przewyższającej moją oraz wiecznego pokoju między naszymi krajami. Zamierzamy przejąć ziemie na zachód od nas, aż do rzeki zwanej Missisipi.

Sapa Inca nie odpowiedział, więc Loddington dodał:

– Jeżeli trzeba, mogę Waszej Wspaniałości pokazać tę rzekę na mapie.

– Wiemy, gdzie jest – odparł imperator.

Zanim mogłem w ogóle przetłumaczyć tę odpowiedź, Loddington, prawdopodobnie zrozumiawszy ton Sapy Inki, ciągnął spokojnie:

– Możecie domagać się lądu na zachód od Missisipi, choć Hiszpania mogłaby się wam sprzeciwić. Kraj ten jest jednakże zdezorganizowany i zubożały, podobnie jak Wielka Brytania. Jestem pewien, że śledziliście problemy trawiące ich ziemie.

Nawet ja dostrzegałem prawdziwą naturę tej gry. Gdybyśmy odwrócili uwagę Hiszpanii od północnych ziem, nie mogłaby pomóc Brytyjczykom w obronie przed buntem Amerykanów. Obie wojny najprawdopodobniej zakończyłyby się sukcesem. Gdy przetłumaczyłem tę propozycję Sapie Ince, Loddington kontynuował:

– Z pewnością wy...

– Milczeć – przerwał władca. – Zastanawiamy się.

Komnatę na jakiś czas wypełniła cisza, zakłócana jedynie szeptami wielmożów. Obserwowałem towarzyszącego Loddingtonowi mężczyznę o włosach przypominających sierść lamy. Gdy

przyjrzałem mu się bliżej, zauważyłem, że choć był wyższy od Amerykanina i nosił się jak dorosły, zapewne nadal był chłopcem. Z pewnością nie miał więcej niż siedemnaście lat, a nawet jak sądziłem, zaledwie czternaście, co akurat stanowiło granicę wieku męskiego. Zastanawiałem się, dlaczego towarzyszy dyplomacie. Może był sługą? Jego postawa zdradzała uległość. Już wtedy mnie fascynował. Przypuszczam, że sam Inti dawał znak, iż mój los jest spleciony z tym nieledwie dojrzałym młodzieńcem w sposób, którego nikt nie mógł przewidzieć. W tamtym czasie pomyślałem, że w duecie z Loddingtonem jest tą mniej znaczącą osobą. Wszystkie cudowne rzeczy szły ze sobą w parze i prawdopodobnie trzymali się tego również Amerykanie.

Dyplomata przestępował z nogi na nogę. Był niecierpliwy; mój lud mógł w razie konieczności wykorzystać ten fakt przeciwko niemu. Zastanawiałem się, za jak wygórowaną uważał tę propozycję Sapa Inca. Nasz władca dysponował majątkiem wykraczającym poza jakiekolwiek ziemskie standardy, ale ciężar przewyższający cztery tysiące razy wagę człowieka? I to jeszcze domagać się zapłaty w złocie, które jest zbyt święte, by używać go w pospolitej transakcji! Sądziłem, że nawet jeśli władca uznaje podaną kwotę za astronomiczną, nie ośmieli się tego okazać.

Po ciszy, która wydawała się ciągnąć godzinami, żyjący bóg-imperator ludu Inków ogłosił swą decyzję:

– Zgodnie z prośbą zapewnimy dwudziestu ludzi. Podasz im tę szczepionkę i wystawimy ich na działanie ospy. Kiedy udowodnisz, że twoja deklaracja jest prawdziwa, otrzymasz w srebrze połowę zapłaty, o którą prosisz.

– Połowę! – krzyknął Amerykanin, ale opanowawszy się, kontynuował: – Połowa to po prostu za mało. W dodatku to właśnie złoto musimy dostać. Nasi wierzyciele nie przyjmą srebra. Jeśli nie chcecie tej szczepionki, wracam do domu.

– Jesteś głupcem, skoro odrzucasz tak wielkie bogactwo – odparł Sapa Inca.

– Znajdziemy środki innymi sposobami – odrzekł dyplomata.

– Z chciwości uśmiercicie niewinnych? Mężczyzn, kobiety i dzieci?

Twarz Loddingtona pociemniała.

– Ocalę każdego zagrożonego obywatela. To wy ich uśmiercicie przez to, że odmówicie transakcji.

Wzdrygnąłem się, gdy przyszło mi to tłumaczyć. W trakcie wyraźnie zaznaczyłem, że powiedział to wysłannik, a nie ja.

Po długiej ciszy imperator przemówił:

– Jedna czwarta żądanej ceny w złocie, kiedy udowodnicie prawdziwość swojej deklaracji, oraz kolejna jedna czwarta za pół roku, jeśli szczepionka wciąż będzie skuteczna.

Ach, zaiste mądrość bogów!

Dyplomata odparował:

– Jedna czwarta, gdy szczepionka okaże się skuteczna, i pozostałe trzy czwarte w odstępie pół roku.

– Możecie odejść – uciął zimno Sapa Inca.

Ku mojemu zaskoczeniu Amerykanin wzruszył ramionami i się uśmiechnął. Pokłonił się nisko, po czym odwrócił w stronę ciemnoskórego towarzysza.

– Chodź, Marco – powiedział. – Czeka nas długa podróż.

Loddington, z brodą podniesioną niczym cesarz, przeszedł długim korytarzem. Jego grupa podążyła za nim. Głowy wszystkich wielmożów skierowały się w ich stronę. Za ekranem słyszałem głośne szepty; tym razem były to trzy głosy: nieznanego mężczyzny oraz dwojga władców. Dyplomata prawie już wyszedł, kiedy Sapa Inca wydał rozkaz:

– Zawołaj go, żeby się zatrzymał.

– Stój! – krzyknąłem.

Amerykanin stanął przy drzwiach i przechylił głowę. Nie odwrócił się jednak. Nie pokazał po sobie, że zamierza dalej słuchać. Zdałem sobie sprawę, że spotkałem rzadkie stworzenie: człowieka, któremu musi się podporządkować sam żyjący bóg.

– Połowa, gdy szczepionka okaże się skuteczna – zadeklarował Sapa Inca – a drugie pół rok później. Pełna kwota, której żądacie, płatna w złocie.

W progu Loddington odwrócił się i uśmiechnął. Miał taki wyraz twarzy, że przypominał drapieżnego ptaka nurkującego w stronę ofiary.

– A traktat pokojowy?

– Tak jak sobie życzycie, pod warunkiem, że obejmie wzajemną pomoc w razie napaści przez którykolwiek naród.

– Wyrażam zgodę – odpowiedział spokojnie Loddington – mocą nadaną mi przez Gubernatora Wirginii i Generała Amerykańskiej Armii Rewolucyjnej. Czy dla formalności spiszemy postanowienia?

Reszta dnia – a później tygodnia – zeszła na niekończącym się sporządzaniu dokumentów. Skrybowie zajmowali się wersjami w keczua, Loddington zaś pisał angielskie. Musiałem wychwytywać rozbieżności, od czego skręcało mnie w brzuchu. Tyle papierów, a tak mało czasu! Szczęśliwie obydwa języki dzieliły ten sam alfabet, jako że przejęliśmy hiszpańskie pismo, lecz wciąż czułem się przytłoczony. Nikt nie mógł mi pomóc; nawet inne osoby władające angielskim mogły zaoferować niewielkie wsparcie, gdyż ci nieliczni mężczyźni byli niepiśmiennymi chłopami.

Nie wzywano mnie na kolejne spotkania, ponieważ najczęściej odbywał je Coniraya wraz z głównymi doradcami. Słyszałem jednak o zmianie planów. Początkowo zamierzano podać szczepionkę złoczyńcom na wypadek, gdyby Amerykanie zamierzali nas otruć. Jako że nie mamy więzień, musielibyśmy sprowadzić przestępców, którzy popełnili dwie zbrodnie i w zwykłych okolicznościach zostaliby straceni na miejscu. Mieli być trzymani pod ścisłym nadzorem, jednak ktoś w końcu uświadomił sobie, że straże nie mogą aż tak się zbliżać do złoczyńców w drodze do zakażonej wioski i narażać się na chorobę.

Zastanowiono się więc nad lojalnymi osobami, które zgłosiłyby się do tego zadania na ochotnika, i ku memu zaskoczeniu znaleziono dwadzieścia. Podejrzewałem, że Sapa Inca rozkazał im się podporządkować, a oni nie ośmielili się sprzeciwić, ale nie wtajemniczono mnie w rozmowy na ten temat. Prawdopodobnie zginęło wiele lam, gdyż Wysoki Kapłan sprawdzał ich wnętrzności, a biegacze opadali z sił, przekazując wiadomości między Sapą Incą a jego duchowym doradcą. Zawiadomiono mnie, że do testu wybrano wioskę Sayacmarca i że ochotnikom ma towarzyszyć kilkoro ocalałych po ospie, którzy muszą udzielić pomocy, jeśli ci pierwsi zachorują.

Wtedy się dowiedziałem, że wraz z tymi śmiałkami pójdzie Yma, gdyż wśród nich znajdowała się wdowa, która potrzebowała towarzyszki. Przypuszczałem, że to sprawka Coyi Inki. Upewnienie się, że szczepionka działa także na kobiety, miało sens, ale wolałem, by poszedł ktokolwiek inny. Moja rodzina już była uwikłana w sytuację zbyt mocno wykraczającą poza naszą pozycję społeczną. Wielka krzywda spotykała tych, którzy obracali się wśród najbardziej wpływowych ludzi. Yma miała pójść i wytrzymać dwunastodniową kwarantannę, zanim będzie mogła wrócić. Zapewniono mnie, że gdy żona będzie nieobecna, a ja będę potrzebny w pałacu, nasze dzieci otoczone zostaną opieką. Obiecano mi również, że w ramach nagrody od Sapy Inki moja kochana Chaska dołączy do kapłanek. Tak, o tym wszystkim mnie zapewniono.

Z tego względu, drogie dziecię, zrozumiesz moją skrajną panikę, gdy usłyszałem o planach władcy na udobruchanie bogów. Widzisz, Amaru i Paucar – jego kuzyni, którzy przybyli do mnie wcześniej – złożyli mi wizytę, niebawem po tym, jak zacząłem pracę z papierami. Tonąłem w zwojach, bolały mnie oczy i głowa. W pokoju bez okien było duszno i gorąco, a ja myślałem tylko o tym, by ponownie zobaczyć żonę i dzieci. Wtedy jednak Amaru powiedział, że czeka mnie kolejne zadanie w charakterze tłumacza.

– Sapa Inca oczekuje wyników z Sayacmarki. Tymczasem nakazuje nam, byśmy pokazali przywódcy Amerykanów i jego słudze wspaniałość Machu Picchu. Ich świta w tym czasie pozostanie w pałacu jako goście honorowi, pod strażą.

– Machu Picchu! – wykrzyknąłem, odkładając papiery. – Nikt nie może ujrzeć Machu Picchu prócz najbardziej...

– Nawet ja go nie widziałem – przerwał Paucar – i uważam, że to nie miejsce dla tego Amerykanina. Ale taki jest rozkaz, więc musimy go wykonać.

– Sądzę – rzekł cicho Amaru – że chodzi o zaimponowanie temu człowiekowi. Ale owszem, fakt, że nasz kuzyn pozwala, aby barbarzyńskie oczy oglądały święte miejsce... Myślę, że Coniraya już teraz wierzy, iż szczepionka zadziała, i chce, by nic nie przeszkodziło tej transakcji. Być może ma nadzieję, że pełen podziwu Amerykanin okaże łaskę w interesach.

Pokręciłem głową.

– To wszystko jest dla mnie niesamowite – wyznałem. – Nigdy nie marzyłem o tym, że odwiedzę Machu Picchu.

– Spotkamy tam Wysokiego Kapłana – powiedział Amaru. – Sądzę, że Ahuapauti chce porozmawiać z Amerykanami bez swego brata.

Wiedziałem, że ma na myśli Sapę Incę, gdyż Sapa, Coya oraz Wysoki Kapłan zawsze byli rodzeństwem albo choć kuzynami; wówczas zaś, co szczególnie niezwykłe, rodzeństwem była cała trójka.

Zapytałem:

– Jak myślicie, co Wysoki Kapłan sądzi o Loddingtonie?

Paucar prychnął.

– Wiesz tyle, co my. Przetłumaczyłeś każde jego słowo.

Mrugnąłem zaskoczony. Wysoki Kapłan przemawiał w sali tronowej, jakby rządził krajem? Słyszałem zza ekranu dwa głosy męskie i jeden kobiecy. Mówiło się, że Ahuapauti jako starszy brat zawsze pragnął tronu, mimo że przegrał w walce z Conirayą. Być może ustalili między sobą, że będą dzielili się władzą, a ich siostra będzie żoną obydwu.

– Czy w takim razie to Ahuapauti rządzi tym krajem? – zapytałem, czując się jak ignorancki wieśniak.

– Po dworze krążą plotki, że Sapa Inca ustępuje Wysokiemu Kapłanowi we wszystkich skomplikowanych i nietypowych kwestiach – rzekł Amaru. – Spędza czas na słuchaniu zamiast na mówieniu, dzięki czemu może dokładnie ocenić sytuację. Niektórzy czują, że to zachęca Wysokiego Kapłana do tego, by pragnął zbyt wielkiej władzy, lecz inni sądzą, że bracia znaleźli skuteczny balans.

– Są tacy, którzy twierdzą, że Coya Inca woli starszego brata – dodał Paucar – ale nikt o tym nie mówi, chyba że chce, by go zrzucono ze szczytu góry.

Amaru popatrzył na kuzyna spod zmrużonych powiek, po czym podjął:

– Z tym że to Sapa Inca podejmuje wszystkie decyzje, włącznie z tą w sprawie planu złożenia stukrotnej ofiary w Atun Cusqui.

– Stukrotnej! – wykrzyknąłem, gdyż w normalnym przypadku na festiwalu wyprawiano śluby tylko sześciu chłopcom i sześciu dziewczynkom.

– Tak. Sześciuset chłopców i sześćset dziewczynek, w wieku od dziewięciu do trzynastu lat, weźmie ślub, a następnie zostanie oddanych bogom nieopodal jeziora Titicaca. Sapa Inca uważa, że musimy zwiększyć naszą ofiarę w ramach pokuty za wydanie złota, stanowiącego pot Inti, na który zapracowaliśmy.

Ledwo usłyszałem jego słowa, gdyż cały świat mi się zawalił. Już teraz o mojej rodzinie mówiono w każdym szlacheckim domu. Wszelka nadzieja, by żyć na uboczu, prysła. Moja piękna Chaska – moja kochana córka, podziwiana przez wszystkich, z pewnością miała wziąć udział w tych ślubach. W zasadzie nie mogłaby uniknąć zagarnięcia do tak dużej gromady dzieci. Moja córka miała zostać ukoronowana kwiatami, a potem zabita przez skruszonego kapłana.

Nigdy nie przepadałem za składaniem festiwalowych ofiar, lecz żądał ich Inti, a któż mógłby podważać wolę boga? Teraz poświęcanie ludzi wydawało mi się przerażające. Jakiż bóg miałby prosić ojca o coś takiego? Odwróciłem się, tak żeby obaj mężczyźni nie ujrzeli mego bólu. Stałem uwięziony między dwiema strasznymi ewentualnościami. Gdyby Sapa Inca sfinalizował tę transakcję, kosztowałoby mnie to córkę, a także setki innych córek i synów. Gdyby jednak ją odrzucił, ile dzieci umarłoby na ospę? Zapewne tysiąc dwieście żywotów istotnie stanowiło dobry interes.

Nie miałem na to odpowiedzi wtedy i nie mam jej teraz. W tamtej chwili desperacko pragnąłem ujrzeć słodką twarz mojej córeczki oraz poczuć, jak zarzuca mi ręce na szyję.

3. Machu Picchu

Powiem ci, dziecię, jak atakuje ospa. To historia, którą opowiedziała mi twoja babcia, a działa się w czasach, gdy Yma miała piętnaście lat.

Postaw się w jej sytuacji. Leżysz na trzcinowej macie na strychu. Trwa lato i jest ci stanowczo zbyt gorąco. Słyszysz dobiegające z dołu głosy rodziców, którzy rozmawiają o tym, że zaraza ogarnia

wioski znajdujące się zbyt blisko Cusco. Plotkują, że ktoś uciekł z kwarantanny. Sądzisz, iż ten człowiek może być teraz w mieście i zarażać miliony, które się tam zebrały.

Wizja ta sprawia, że po twoim czole spływa pot. Drżysz. Myślisz sobie: „Sam wpędzam się w trwogę", lecz wiesz, że myślami nie można wywołać choroby. A jednak skręca cię w brzuchu i bolą cię plecy, może od dzisiejszego tkania wełny. W ustach pojawia się zgrubienie, które sprawdzasz językiem; mogłeś się sparzyć podczas kolacji. Powinieneś zapewne pokazać to ojcu; albo może jednak nie – w końcu po co martwić go czymś takim? – lecz ostatecznie postanawiasz, że pokażesz. Próbujesz wstać, ale cały świat się kręci. Wtedy czołgasz się i upadasz na rękę; gdzie dorobiłeś się tych dwóch pęcherzy na policzku? Jesteś pewien, że są nowe, te dwie kropki będące niczym słońce i księżyc. Wołasz rodziców, ale twój głos jest słaby.

W końcu przychodzą i otulają cię kocami, a ty słyszysz żołnierzy okrążających dom. To musi być kwarantanna – już kiedyś się to wydarzyło, w dzieciństwie. Ale wtedy to inne dzieci, a nie TY, leżały tutaj, pocąc się i trzęsąc, z nabrzmiałym językiem. Cała twoja skóra pokrywa się gorącą, czerwoną wysypką. Nieznajomy z bliznami przynosi ci wodę, a ty pijesz, po czym tamten znika i ponownie się zjawia. Wołasz rodziców, ale nie przychodzą. Wszyscy w mieście Cusco milczą, słychać tylko krzyki bólu i śmierci. Nie wiesz, co stanie się potem.

Po pewnym czasie odzyskujesz przytomność, nie mając pojęcia, jaki jest dzień albo tydzień, a nieznajomym okazuje się ktoś inny. Jesteś słaby jak nowo narodzone szczenię, a twoja twarz poznaczona została bliznami niczym spieczona ziemia. Pytasz o rodziców, lecz nieznajomy kręci głową. Wyjesz, gdyż zżera cię rozpacz. Dom zaś należy teraz do ciebie, pusty i zimny.

A domem tym jest dom, w którym teraz siedzimy i gdzie opowiadam twoją historię. Zaraza przyszła w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym trzecim roku, kiedy to przez ospę zmarła jedna piąta ludności Cusco; a i tak było to żniwo mniejsze, niż zebrały szesnastowieczne plagi, w których mogło umrzeć nawet dziewięciu na dziesięciu ludzi. To cud, że w ogóle przeżyliśmy, błogosławieństwo

Inti, że lekarz Ronpa wynalazł kwarantannę. Nawet Europejczycy, którzy sprowadzili ten horror, nie zdołaliby zniszczyć Imperium Inków u jego szczytu. Gdyby jednak Hiszpanie zaatakowali nas w pierwszych latach wszystkimi siłami, mogłoby to wyglądać inaczej, dziecię... tak bardzo inaczej.

Widzisz zatem, z jakim wyborem zmierzyliśmy się w tysiąc osiemset szóstym roku, drogi wnuku, oraz dlaczego miał on znaczenie. Ospa nas sparaliżowała. Wymuszała na wszystkich podróżnikach dwunastodniową kwarantannę. Gdyby nie zaraza, nasze Imperium rozlałoby się na północ i odebrało Hiszpanom ziemie wraz z całym dobytkiem. Moglibyśmy odzyskać środki, które przeznaczylibyśmy na zdobycie szczepionki. Wszystko jednak zależało od tego, czy działa ona tak, jak obiecali Amerykanie.

Udaliśmy się do Machu Picchu w lektykach noszonych przez imperialnych biegaczy i ledwo rozpoczęliśmy podróż, a już Amaru rozkazał swoim, by ponieśli go obok mnie. Amerykanie ostali się daleko za nami; nie miałem wątpliwości, że przypominano im, gdzie ich miejsce.

– Powiedziano mi, że gdy do obozu Loddingtona zgłosiło się dwudziestu ochotników, to zawiązał im oczy i oddzielił ich od widzących towarzyszy – rzekł Amaru. – Przyprowadził ich do namiotu i zapewnił, że szczepienie będzie bolało przez chwilę i że lekko zachorują, a potem wydobrzeją w ciągu trzech dni. Później mieli udać się do Sayacmarki. W tamtej chwili zrezygnowało pięciu ochotników. Sądzę, że woleli zaryzykować gniew Sapy Inki, niż zachorować.

– Co im zrobił Amerykanin? – zapytałem zaintrygowany.

– Nikt nie jest pewien – odparł Amaru. – Wszyscy mówili o ukłuciu w ramię, tak jak kaktusem. Kobieta stwierdziła, że poczuła igłę do szycia. Paru usłyszało ciężkie oddechy i pokasływania jak u dziecka. Jeden mężczyzna mówił o smrodzie zwietrzałego moczu i kału, jakby ktoś przez jakiś czas leżał w nieczystościach.

Zastanowiłem się nad tą zagadką, ale nie miałem pomysłu, o co mogło chodzić.

– A czy chorowali?

– Tak – odpowiedział mój towarzysz, jakby myślał na głos. – Zachorowali, ale nie na ospę. Wszyscy musieli czekać w namiotach przez trzy dni. Tym, którzy przyszli wraz z nimi, zabroniono wchodzić do środka, więc niczego nie zobaczyli. Tyle że wszyscy ci ochotnicy wyszli z niewielkimi bliznami, głównie na rękach.

– Tak jak po ospie.

– Nie, nic podobnego. Blizny były tak delikatne, że równie dobrze mogły to być rany z dzieciństwa. Mówili, że czuli się, jakby gorączkowali, do tego byli odrobinę rozpaleni... ale pęcherze były podobno większe, sądząc po rozmowach z ocalałymi po ospie.

Zerknąłem do tyłu, tam gdzie jechali Amerykanie.

– I teraz się nie zarażą?

– On tak twierdzi. Podróżują teraz do Sayacmarki. Jestem pewien, że wieści z wioski dotrą do nas, zanim powrócą ochotnicy. Imperator, rzecz jasna, przydzielił ocalałym po ospie rolę biegaczy.

Zanim ocalali spotkają kolejnego biegacza, ich ubrania zostaną spalone, a oni sami – ostrzyżeni. Nie można było ryzykować. Nagle zrozumiałem, że żona straci piękne włosy, a to miał być zaledwie początek zmian w mej rodzinie.

Uświadomiłem sobie, że Amaru zwracał się do mnie, gdy trwałem zatopiony w myślach.

– Czy możesz powtórzyć? – poprosiłem.

– Powiedziałem: zaprzyjaźnij się z tym Amerykaninem. Spraw, by ci zaufał. Muszę zgrywać aroganckiego szlachcica, lecz on rozluźni się przy człowieku bardziej pospolitym. Dowiedz się, czym jest ta szczepionka, jeśli zdołasz. Jeżeli nic więcej nie da się zrobić, odkryj, na czym mu zależy, tak żebyśmy w razie potrzeby mogli to wykorzystać przeciwko niemu.

– Spróbuję – mruknąłem, czując presję.

Niebawem przekroczyliśmy święty most nad Urubambą i zatrzymaliśmy się, by nasi tragarze odpoczęli. Amaru i Paucar zaproponowali liście koki przy rzece, jako że to miejsce znajdowało się na świętym terenie. Amaru dał mi dwa, a ja zrozumiałem jego zamiar.

Zaniosłem je do Loddingtona i jego towarzysza. Ten pierwszy wyglądał po podróży dość blado, z kolei jego sługa z szeroko

otwartymi oczami zdawał się ekscytować otoczeniem. Z bliska zobaczyłem, że zwinięte siwe włosy dyplomaty są tak naprawdę czymś dopasowanym, co leży na czubku głowy, tak jak kapelusz. Poniżej wystawały małe kępki rudobrązowych kosmyków. Cóż za osobliwość, żeby zakładać to jak kapelusz. Zastanawiałem się, czy przypominające sierść lamy włosy chłopaka również są nakryciem głowy, lecz te akurat wyglądały naturalnie.

Delikatnie się kłaniając, zaoferowałem Amerykanom dwa listki na wyciągniętej dłoni.

– Co to jest? – zapytał Loddington.

– Koka – odparłem. – Pomoże wam przystosować się do górskiego powietrza.

Loddington chwycił obydwa i wepchnął je do ust. Spojrzałem zaskoczony na jego towarzysza, lecz on wydawał się spodziewać takiego zachowania. Chciałem dać każdemu po jednym, ale rzeczywiście chłopak zdawał się zdrowszy. Od swojego dziadka wiedziałem, że niektórzy znoszą nasze powietrze lepiej niż inni.

– Zwą mnie Lanchi Ronpa – rzekłem. – Lanchi to moje imię, zamiast Ronpy zaś powinienem mieć nazwisko swojego ojca... ponieważ jednak niektórzy z mojej rodziny przeżyli ospę, jesteśmy dziećmi Ronpy, wspaniałego lekarza, który stał się Sapą Incą. Jest on oszpeconym bogiem naszego ludu.

– Wiem, kto to jest – odparł Loddington. – Gdyby nie on, cywilizacja Inków by upadła. Macie u niego wielki dług. Właściwie część naszej współczesnej nauki opiera się na jego odkryciach. Jak na kogoś, kto nie wiedział, czym jest zarazek, wykonał niesamowitą pracę, chroniąc wasz lud.

Ja też nie wiedziałem, czym jest zarazek, ale nie czułem potrzeby, żeby o to pytać.

– Spotkamy się z Ronpą w Machu Picchu. Mieszka tam wraz ze wszystkimi poprzednimi władcami.

Loddington obdarzył mnie dziwnym spojrzeniem. Domyśliłem się, że może nie rozumieć, iż nasi bogowie-imperatorzy są nieśmiertelni, lecz nie zadawał dalszych pytań. Jeśli o mnie chodzi, byłem niewyobrażalnie podekscytowany tym, że zobaczę mumie Ronpy i Atahualpy, jak również innych naszych wspaniałych

przywódców. Amerykanin, który zdecydowanie nabrał kolorów dzięki liściom koki, zapytał:

– Jak to możliwe, że mówisz po angielsku?

– Mój dziadek był brytyjskim kupcem. Przybył na te ziemie przed Wygnaniem i tutaj się ożenił.

– O, stał się tubylcem. Rozumiem. Nasz poprzedni tłumacz miał podobną historię, lecz językiem angielskim władał lepiej. Przepraszam, to było niegrzeczne z mojej strony. Wolę mówić, co myślę. Dyplomacja mnie męczy.

Chłopak się uśmiechnął, ale nic nie powiedział. Sięgnął po wachlarz i powachlował Loddingtona. Podobało mi się, jak zachowuje własną opinię dla siebie i nigdy nie odzywa się niepytany. Nagle przyszło mi do głowy, że może jest niemy. Zapytałem:

– Jak masz na imię?

Nieśmiało odwrócił wzrok.

Mężczyzna rzekł:

– No już, chłopcze. Odpowiedz człowiekowi.

– Marco – odparł cicho, lecz wyraźnie.

Zauważyłem, że jego podbródek jest niemal tak kwadratowy jak dyplomaty i że obaj Amerykanie mają haczykowate nosy. W pewnym sensie prezentowali się barbarzyńsko; bardziej przypominali pospolitych chłopów niż eleganckich szlachciców. Pomimo ich dziwaczności czułem się z nimi bardziej komfortowo niż z najzamożniejszymi ze społeczeństwa Inków.

– Otrzymał to imię na cześć sławnego odkrywcy, który znalazł drogę do Chin – wyjaśnił Loddington. – Jego mama wciąż gotuje dla mojej rodziny w Wirginii. Marco jest tu po to, żeby pomagać mi w pracy. Również z jego wsparciem tutaj przyżeglowałem. To mądry chłopak. W wodzie czuje się jak ryba. Szkoda, że jest mulatem, gdyby nie to, byłby teraz kapitanem!

– Kto to mulat? – zapytałem.

Mężczyzna wyszczerzył zęby.

– Dość ciemny, żeby był służącym, ale i dość biały, by w nocy nie stracić go z oczu!

Nie zrozumiałem jego zagadki, więc zapytałem:

– I jego rodzina dla was pracuje?

– Blisko – odparł. – Marco urodził się w naszym gospodarstwie. Zawsze był dla ojca kimś szczególnym.

– Ach! – rzekłem, w końcu rozumiejąc. Spojrzałem ponownie na ich twarze i zobaczyłem w nich dowód. – Jesteście braćmi!

Oczy Marca rozszerzyły się jak u wystraszonego kota. Twarz Loddingtona stężała.

– Nie jesteśmy braćmi – skwitował chłodno. – Moja matka jest hiszpańską damą, pochodzącą z domu szlacheckiego de Godoyów. Zrezygnowała z przywilejów, by wyjść za mojego ojca w Nowym Świecie. Więzy krwi łączą ją z kuzynami królowej Izabeli sprzed trzech stuleci. Ten chłopak mi służy, a jego matka pochodzi z Afryki.

Serce mi łomotało. Wyraźnie obraziłem Loddingtona. Marco gwałtownie schylił głowę i zajął się dziwną skórzaną torbą, jakby jej zawartość wymagała natychmiastowego sprawdzenia. Pośpiesznie dodałem:

– Proszę wybaczyć mi despekt, którego się dopuściłem. Musicie zrozumieć, języka angielskiego uczyłem się tylko z Biblii dziadka i rozmów z nim, a o Ameryce właściwie nie wiem nic. Nie mam wykształcenia, które otrzymuje inkaska szlachta, gdyż wychowywałem się na farmie, a status osiągnąłem dzięki szczęściu. Żałuję swego uchybienia i proszę tylko, żebyście pozwolili mi się od siebie uczyć. Może nie przysługiwały mi od urodzenia szczególne względy jak tobie, lecz wytrwale nad sobą pracowałem.

Czułem, że nie wypowiedziałem żadnych magicznych słów. Może jednak Loddington odzyskał panowanie nad sobą, ponieważ rzekł:

– Proszę wybaczyć mój temperament. Jestem bardzo dumny ze swego ojca i mam pewność, że to rozumiesz.

– Któż miałby się wstydzić własnego ojca? – zapytałem, uśmiechając się do Marca, aby pokazać, że nie szukam zwady. – Sam mam małego synka oraz starszą córkę i modlę się o to, bym był godny szacunku swojego chłopczyka.

– Proszę, dołącz do nas w lektyce – zaproponował Loddington. – Chciałbym dowiedzieć się więcej o Inkach. Dużo czytałem, nim tu przybyłem, lecz oczywiście po Wygnaniu niewiele ostało

się naszych historii. Jak to możliwe, że twój dziadek został tutaj i przetrwał gniew Sapy Inki?

Z wdzięcznością dołączyłem do niego i Marca, po czym resztę drogi spędziliśmy na uprzejmej rozmowie. Opowiadałem o tym, że mój dziadek przyjął inkaskie zwyczaje na tyle, że mieszkańcy wioski go zaakceptowali, a żołnierze z Cusco nigdy nie zmusili go do opuszczenia kraju. Garstce ludzi udało się w ten sposób uniknąć Wygnania.

Poprawiłem akcent, kopiując mowę Loddingtona – dłuższe dźwięki, niż się przyzwyczaiłem, głębsze w gardle, wraz z „r" rozciąganym bardziej, niż wydawało się to konieczne. Wtedy pomyślałem, że musiałem wyjść z wprawy w posługiwaniu się językiem angielskim, choć później się dowiedziałem, że Amerykanie mówią inaczej.

Opowiedziałem Loddingtonowi, że z rodziną żony uprawiamy ziemię. Wyglądał na bardzo zainteresowanego tarasami, a ja w trakcie podróży mogłem wskazać kilka dobrze zbudowanych, na których chłopi produkowali żywność dla wspaniałego imperialnego pałacu w Machu Picchu. Dowiedziałem się, że pasjami Amerykanina są praca na roli i żeglowanie; uprawiał tytoń, który na moich ziemiach stanowił luksus, a pływał po wodach morza* zwanego Atlantykiem. Zapytałem, jak zarządza obydwoma przedsięwzięciami, na co odparł:

– Moja żona nadzoruje plantację, a pracę na polach wykonują moi ludzie.

Na tej podstawie doszedłem do wniosku, że amerykańskie rodziny muszą być tak samo liczne i skomplikowane jak nasze.

W pewnym momencie przekroczyliśmy masywny, kamienny most nad wąskim strumieniem. Zauważyłem, że Marco przypatruje się wodzie zachłannie, jakby pragnął zgłębić, dokąd prowadzą wartkie prądy. Pochyliłem się i rzekłem:

– Mamy tratwy z trzciny, gdybyś akurat nabrał ochoty, by zwiedzić kraj wraz z imperialnymi towarzyszami.

* Zapis zgodny z oryginałem, chodzi oczywiście o Ocean Atlantycki (przyp. tłum.).

Marco wyszczerzył zęby, po czym zerknął na Loddingtona, który wzruszył ramionami. Chłopak odparł:

– Nie sądzę, żebym miał czas na przygodę.

– Pobędziemy tu trochę – stwierdził dyplomata – i przemierzymy znaczne odległości, by szczepić ludzi. Możliwe, że twoje życzenie się spełni.

– Tak bardzo jesteś pewien swej szczepionki? – zapytałem.

– Jak najbardziej. Ona działa. Jestem całkowicie spokojny, jadąc do waszego słynnego pałacu, choć mam świadomość, jak łatwo możemy tajemniczo zniknąć w trakcie podróży lub w drodze powrotnej. Wasz władca nie jest głupcem.

Nie potrafiłem wymyślić dyplomatycznej odpowiedzi, więc tylko powiedziałem:

– Mądrze z twojej strony, że to dostrzegasz.

Po południu dotarliśmy do wąskiej ścieżki, na końcu której, w oddali, wyrastało Machu Picchu. Przed promieniami słonecznymi osłaniał nas baldachim z liści. Po lewej stronie wznosiła się ogromna kamienna ściana; po prawej zbocze opadało ku stromej skale i odległej szczelinie. Choć do górskich wysokości byłem przyzwyczajony, widok mnie powalał; nikt nie mógł spojrzeć w dół i zapomnieć, gdzie jego miejsce w dziele Viracochy. Loddington ledwie rzucił okiem, a już z powrotem usadowił się wygodniej. Marco wpatrywał się w dół, jego oczy były dziko roztańczone. Nasi tragarze maszerowali powoli, krok za krokiem, w kierunku najświętszego pałacu. Czuło się, jakby drzewa tonęły w miarę, jak się wspinaliśmy.

Gdy tylko pałac się ukazał, Marcowi opadła szczęka. Popłynęła przeze mnie energia, jakby sami bogowie przemówili i uznali mnie za godnego. Nigdy w życiu nie marzyłem o ujrzeniu tego cudu, pięknego klejnotu w masce ludu Inków; ja, skromny wieśniak, którego los zaprowadził do świętego miejsca. Nawet brwi Loddingtona uniosły się na widok zalanych słońcem kamieni, doskonale ukształtowanych ponad trzy stulecia temu i od tamtej pory pozostających bez skazy.

Teraz, dziecię, powiem ci: choć wcześniej już widziałeś Machu Picchu, nie oglądałeś go moimi oczyma; tamtego dnia, krótko

przed przesileniem, kiedy słońce zaszczycało swą obecnością to niezwykłe dzieło. Biegałeś pałacowymi korytarzami wraz z synami Sapy Inki. Dla ciebie, zapewne, Machu Picchu jest szczęśliwym wspomnieniem z dzieciństwa, miejscem, w którym szlacheccy kuzyni bawili się z tobą w chowanego. Przejeżdżałeś rękoma przez krawędzie dopasowanych kamieni, nie czując żadnych szczelin... Tak, pałac udowadnia, że Inkowie byli mistrzami kamieniarstwa, i to zanim w ogóle usłyszeliśmy o Europie bądź ospie. Czy możesz uwierzyć, dziecię, że do dziś Amerykanie kładą na kamieniach zaprawę przypominającą grube wnętrzności lam, aby wznosić ściany?

Ach, nasi inżynierowie – przewyższali nawet współczesnych europejskich rzemieślników! Zbudowali siedemnaście kanałów, by rozprowadzać wodę po pałacu i odprowadzać ją w porze deszczowej, dzięki czemu budynek nigdy nie ulegnie zalaniu ani erozji. Zmienili ukształtowanie terenu pod pałacem na żwirowe tarasy, tak aby woda mogła ożywiać ziemię. Tego wszystkiego dokonano w ciągu kilku dekad, wyłącznie dlatego, że tak zażądał Sapa Inca Pachacuti, a rozkaz boga należało wykonać bez pytania. Ludzie oddali życie, by dopilnować, żeby Machu Picchu zasługiwało na swoje święte miejsce. Po cóż bowiem stawiać wspaniały pałac w najbardziej niedostępnych górach, jeżeli nie po to, by udowodnić, że to wykonalne?

Gdy przybyliśmy, w mojej głowie pojawiła się refleksja, że Machu Picchu reprezentowało szczytowe osiągnięcie wczesnego Imperium, zanim europejskie choroby wykończyły nas tak dalece, że poświęciliśmy stulecie na odzyskiwanie ziem. Cusco i Machu Picchu jednak zawsze były nasze, a ich wspaniałość stanowiła ukoronowanie inkaskiego dziedzictwa.

Nie chcąc zakłócać niczyich myśli, milczałem, dopóki tragarze nie dotarli do wejścia pałacu. Marco chłonął widoki niczym przędza farbę; patrzył, jakby zapamiętywał wszystko, co widzi, jakby mogło go to pokrzepić w trudnych latach. Spojrzenie Loddingtona przesunęło się po placu, od złotych pum po rzeźbione ptaki aż do masywnych kamiennych słupów, które wyznaczały pierwszy krok. Nad nami wznosiły się tarasy. Woda przepływała

kanałami i uklęknąłem, by się orzeźwić. Nie miałem obaw, że ją skażę, gdyż stałem w najniższym punkcie. Ze wzniesień mógł pić tylko Sapa Inca.

Gdy zbliżyli się Amaru i Paucar, ten pierwszy zwrócił się do Loddingtona:

– To imperialny pałac Machu Picchu, letni dom samego Sapy Inki. Władca nas poinstruował, byśmy pokazali ci tę budowlę w całej jej okazałości.

– Dziękuję za ten przywilej – rzekł Amerykanin, lecz w jego głosie usłyszałem nutkę sarkazmu. Nie rozumiałem tego.

Amaru i Paucar prowadzili nasz mały pochód, w którym dyplomata podążał za nimi, a Marco i ja trzymaliśmy się z tyłu. Towarzyszyło nam ośmiu uzbrojonych strażników, czujnych i niezdradzających emocji; my, Inkowie, długo chowaliśmy w sobie urazę po tym, jak spotkaliśmy zdradzieckiego Pizarra. Jeśli o mnie chodzi, nie obawiałem się, że Amerykanie mogą nas skrzywdzić, ale rozsądnie było zachować ostrożność.

Zwiedzaliśmy niekończące się tarasy i place, każde z tych miejsc wspanialsze od poprzedniego, pokryte tyloma złotymi łodygami kukurydzy, że aż dostałem oczopląsu. Wszechobecny przepych mnie przytłaczał. Doceniałem piękno odosobnionych fontann oraz pojawiających się tu i ówdzie ustronnych korytarzy, lecz dziękowałem Inti, że nie uczynił mnie Sapą Incą, gdyż sądzę, iż umarłbym od takiego bogactwa.

Amaru omawiał historię pałacu, a Paucar komentował jego architekturę. Wiele się uczyłem, gdy tłumaczyłem Amerykanom, ale najczęściej mówiłem do Marca. Słuchał z lśniącymi oczami, jakbym opowiadał legendy, a nie historię. Loddington również się przysłuchiwał, jednakże wzrok miał nieobecny. Z czasem mężczyzna się oddalił, by przestudiować delikatne, złote rzeźby, które zdobiły baseny i przejścia z łukowym sklepieniem.

– Rozumiemy, że złoto jest cenne dla każdego narodu – rzekł Amaru. – Europejczycy oraz, zdaje się, Amerykanie wymieniają je na ziemskie towary i usługi. Lecz my uważamy je za walutę duchową. Dzięki niemu w oczach Inti stajemy się godnymi obywatelami; ten święty kruszec stworzyło słońce we własnej osobie.

Oto dlaczego pot słońca wypełnia Machu Picchu; ów pałac stanowi oznakę wytężonej pracy, wykonanej po to, by uczcić naszego Sapę Incę i samego boga Inti.

Kiedy to przetłumaczyłem, Marco zapytał:

– Czego używacie jako pieniędzy?

– Od pierwszych dni istnienia prowadziliśmy handel wymienny – odparł Amaru. – Gdy przybyli Europejczycy, omal nas nie zniszczyli. Nasze Imperium jednak przetrwało i w końcu powitało cudzoziemców. Szybko zauważyliśmy, jaką wartość ma jeden zbywalny przedmiot, którego można używać w każdej sytuacji. Dlatego Sapa Inca, a to było za rządów Ronpy, w roku tysiąc pięćset czterdziestym trzecim, ogłosił, że naszą walutą będzie srebro. Złoto jest zarezerwowane do użytku religijnego i imperialnego. Oczywiście niektórzy szlachcice kupują je i sprzedają, lecz nie umniejszamy jego wartości, używając go do celów gospodarczych.

– Więc skoro płacicie nam złotem – powiedział Marco zamyślony – to tak, jakbyście sprzedawali nam kawałek nieba.

– Marco! – zawołał Loddington. – Chodź tutaj. Potrzebuję cię, natychmiast.

Chłopak udał się do przywódcy, zaś Amaru zapytał mnie cicho:

– Czy dowiedziałeś się już czegoś interesującego?

– Nie – odparłem.

Martwiłem się, że otrzymałem zbyt trudne zadanie. Nie rozumiałem, dlaczego Loddington miałby mi mówić cokolwiek zaskakującego. Wyglądał na człowieka zbyt bystrego, by miał zdradzać swe myśli.

– O ile trafnie przypuszczam, on się przed tobą otworzy – powiedział Amaru z uśmiechem. – Tłumacz dalej, proszę.

Delikatnie się ukłoniłem, wciąż zaniepokojony słowami Marca. To była prawda – skoro płaciliśmy złotem, sprzedawaliśmy swoich bogów za ludzkie zdrowie. Nic dziwnego, że Sapa Inca czuł, iż należy poświęcić sto razy więcej dzieci. Gdyby nie ta dodatkowa ofiara, bogowie wściekliby się z powodu naszego barbarzyńskiego wyboru i mogłaby nas powalić nowa choroba.

Zmierzaliśmy teraz do wspaniałej Świątyni Trzech Okien, w której mieszkali wszyscy poprzedni Sapa Inca. Ich pieczołowicie

zawinięte mumie żyły niegdyś w Coricanchy, by doradzać Sapie Ince, lecz zostały przeniesione tutaj w tysiąc siedemset sześćdziesiątym szóstym roku ze względu na spokój i prywatność. Teraz, gdy poczułem autentyczną moc Machu Picchu, kolana się pode mną ugięły. Amaru prowadził nas przez wijące się korytarze w stronę alków władców, gdzie wybrał najpierw wnękę Ronpy.

Podziwiałem czyste bandaże Ronpy i wyobrażałem sobie, że stoi przed nami żywy bóg. Amaru monotonnym głosem opisywał skomplikowane więzy rodzinne między różnymi władcami – większość to byli w pewnym sensie kuzyni – oraz podkreślał wagę dobrego imperialnego rodowodu. Tłumaczyłem bezrefleksyjnie; rodzinne pojęcia i imiona były proste, nie zawierały żadnych niuansów i mogły zniknąć z mojej głowy natychmiast po wypowiedzeniu. Loddington podczas tej części wyglądał na szczególnie znudzonego, nawet oczy Marca nieco pociemniały. Gdy wyjaśniłem, że Sapa Inca i Wysoki Kapłan często są braćmi, a obecna Coya Inca jest ich siostrą, z miejsca zainteresowało to dyplomatę.

– Czy chcecie mi przez to powiedzieć, że wasi władcy są rodzeństwem? – zapytał.

– Tak – odparłem, zbity z tropu. – Zawsze tak było.

Amerykanin wyglądał, jakby chciał rzec coś gniewnego, lecz się opanował, ściągając przy tym wargi i mrużąc oczy. Marco zdawał się po prostu zdezorientowany, jakby nie mógł zrozumieć, jak coś takiego jest możliwe.

Amaru zapytał:

– Czy jest jakiś problem?

– Chcieli, żebym doprecyzował tłumaczenie – odpowiedziałem.

– Ach. Zwiedzimy teraz plac z fontannami, a potem możemy odpocząć. Podejrzewam, że nasi goście tego potrzebują.

Istotnie, Loddington wyglądał na wycieńczonego i nawet Marco zdawał się zmęczony. Amaru jednak spędził całe popołudnie, opowiadając im o widokach z Machu Picchu. Sądziłem, że moje oczy nie zniosą już więcej złota. Amaru przystanął w pokoju z pięknym oknem, które ukazywało opadający krajobraz doliny i zachodzące słońce. Nie potrafiłem go już nawet docenić, czułem się nazbyt przytłoczony.

– Możecie tutaj odpocząć – rzekł Amaru do Amerykanów. – Lanchi będzie wam towarzyszył na wypadek, gdybyście czegoś potrzebowali. Paucar i ja udamy się do Wysokiego Kapłana. – Przekazał mi dwa kolejne liście koki, po czym wyszedł. Zostaliśmy sami.

Loddington usiadł na ławce i wziął głęboki wdech, wyglądał blado. Marco zajął miejsce naprzeciwko i oparł się o ścianę. To on wniósł wszystkie tobołki Amerykanina na górę po setkach schodów, więc zaoferowałem mu liście koki. Zabrał je i oba zaproponował dyplomacie, który rzucił na mnie okiem, a następnie wybrał tylko jeden.

Przeżuwał go niedbale, jakby go to złościło.

– Władza królewska jest taka sama, gdziekolwiek nie spojrzysz.

Nie byłem pewien, czy zwraca się do Marca, czy do mnie. Kiedy chłopak nie odpowiedział, zapytałem:

– Jak członkowie rodziny królewskiej zachowują się w koloniach, w których mieszkacie?

– Bezczelnie. Sądzą, że do nich należymy. Szlachta uważa, że wszystko zależy od pochodzenia. Słyszałeś go, jak opowiadał o linii genealogicznej każdego władcy? Tak jakby dziedzictwo liczyło się bardziej niż to, czego dokonał człowiek.

Uważałem, że dziwne jest słyszeć to od kogoś tak dumnego ze swojej matki, hiszpańskiej szlachcianki, ale nie skomentowałem.

– Według legendy my, Inkowie, pojawiliśmy się na ziemi na końcu złotej wędki – powiedziałem. – Szlachta pilnuje, by nasi władcy zawsze byli powiązani z Manco Incą oraz z pozostałą siódemką pierwszych ludzi.

– Ale co to ma za znaczenie? Wartość człowieka tkwi w jego czynach. Nieważne, czy urodził się królem, czy szewcem. Dobry człowiek udowadnia swoją wartość niezależnie od pozycji społecznej.

– To prawda – zgodziłem się. – Znałem chłopów, którzy byli bardziej życzliwi, niż zasłużyłem, oraz wielmożów, którzy złościli się bez powodu.

– O tym mówię – przytaknął Loddington. – Uważasz, że ci szlachcice zasługują na cały ten majątek? Popatrz na złoto w tym miejscu.

Każdy człowiek w twoim kraju mógłby być bogaty. A mimo to ludzie pracują w pocie czoła na polach należących do Sapy Inki i w sprawie swojej przyszłości nie mają nic do powiedzenia. Sądzisz, że to uczciwe?

– Sapa Inca zasługuje na wszystko, co najlepsze – odparłem. – Bogowie wybierają go, by nami rządził, i nie może mu niczego zabraknąć.

– Ale dlaczego przeciętny człowiek ma cierpieć, żeby zapewniać mu tak ogromne bogactwo? W sytuacji, gdy nie ma żadnych szans, aby samemu zostać szlachcicem, chyba że choroba oszczędzi jego rodzinę, tak jak przydarzyło się to tobie?

– Interesujące pytanie – rzekłem ostrożnie, gdyż przyszły mi do głowy mądrości, które przekazał mi Amaru. – To prawda, że człowiek może odnaleźć w sobie wielką siłę, kiedy robi wszystko sam. Wielu szlachciców tego nie rozumie.

– Otóż to – powiedział Loddington. – Marco, przynieś mi trochę wody z tej fontanny, dobrze? Po pokonaniu tych schodów starczy mi wysiłku na tydzień.

– Większość szlachciców rodzi się, mając wszystko, czego mogą zapragnąć, i nigdy tego nie podważają. Moje pochodzenie jest skromniejsze i wciąż czuję się wśród nich nieswojo.

– Doprawdy? – zapytał Amerykanin, jakby był zainteresowany. Marco wyjął z plecaka kubek i napełnił go wodą. – Jak to się stało, że trafiłeś na dwór?

– Tak naprawdę nie jestem jego częścią – odparłem.

Opowiedziałem o dniu, w którym udałem się na łowy i wróciłem jako mężczyzna. Kiedy doszedłem do części o młodszych siostrach, które doświadczyły ospy, słuchał bardzo uważnie. Przez okno wleciał ptak, ale on praktycznie tego nie zauważył; słuchał, jak opisywałem ten horror, gdy odkryłem kalectwo sióstr i śmierć ojca.

– To musiał być koszmar – przyznał cicho i upił nieco wody. – Masz szczęście, że nigdy nie naraziłeś się na tę chorobę. Mogłaby cię zabić. Jeśli Bóg da, Sapa Inca dobije targu i oszczędzi waszemu ludowi takiego cierpienia. Ospa zawsze była okrutna, zwłaszcza dla Inków. Nikt nie wie dlaczego.

– Mam szczerą nadzieję, że szczepionka zadziała – powiedziałem – ale serce będzie mi się krajało z powodu osobistego smutku, jeśli tak się stanie.

– Jak to?

Byłem rozdarty. Nie miałem pewności, co zrobić. Chciałem mu powiedzieć o planie Sapy Inki, by poświęcić tysiąc dwieście dzieci w Atun Cusqui, oraz że prawdopodobnie zaszczytu tego dostąpi moja Chaska. Z jednej strony Amaru poinstruował mnie, abym zaprzyjaźnił się z tym człowiekiem i poznał jego tajemnice, a czy istniał lepszy sposób na zachęcenie do zwierzeń, niż otworzyć się samemu? Z drugiej, rozmawiając z nim na temat realnego kosztu żądania, mógłbym zaszkodzić przyszłym negocjacjom.

Nie jestem pewien, co mną powodowało. Sądzę, że coś w twarzy Marca skłoniło mnie, bym podzielił się swoimi obawami, jakaś niewinność pomieszana z ekscytacją. Gdzieś, jak sądziłem, była matka tego chłopca, która puściła go w świat, aby został mężczyzną, i teraz musiała za nim niesamowicie tęsknić. Poza tym, gdyby Loddington poznał wszelkie konsekwencje, być może opuściłby cenę. Z pewnością już złoto ważące raptem tysiąc razy więcej niż on wystarczyłoby, aby kupić całe królestwo.

Dlatego powiedziałem, jaki jest ostateczny koszt szczepionki, a wtedy twarz Loddingtona całkiem zbielała. Wstał i przeszedł się po pokoju, po czym wychylił się przez okno, obserwując krajobraz.

– To okropne – szepnął Marco. – Te biedne dzieci... zostaną zabite? W jakim celu?

– Żeby przebłagać bogów – odparłem. – Ponieważ jeśli zapłacimy obiecaną cenę, wydamy samą boskość. Dla nas złoto to nie pieniądze.

– Barbarzyńcy – wymamrotał prawie niesłyszalnie Loddington.

Teraz się przestraszyłem, że narobiłem ogromnych szkód. Powiedziałem:

– Może jest inny sposób, by mój kraj zapłacił, choćby srebrem? Albo mniejsza kwota, albo...

– Srebro w ilości, której potrzebuję, byłoby zbyt ciężkie – odpowiedział. – Nie mógłbym go przetransportować. Poza tym, nie wymienimy go na pieniądze. Wojsko również by nie pomogło;

nie znacie naszych terytoriów tak dobrze jak my, a do tego... Uch! Poświęcanie dzieci i kazirodcze małżeństwo. Jezu, chroń nas.

Wielce zmartwiony rzekłem:

– Być może Sapa Inca zmieni swój plan albo...

– To nie moja sprawa – uciął ostro dyplomata. – Moje zadanie to zrealizować tę transakcję i sfinansować naszą wojnę. O to, żeby mi się powiodło, modli się więcej niż tysiąc dwieście amerykańskich dzieci. Modlą się o niepodległy kraj, wolny od niesprawiedliwej polityki podatkowej i królewskiego wścibstwa... o kraj braterstwa i równości. A w mojej ojczyźnie wszystkie te dzieci mają wartość ze względu na to, kim są. Każdy chłopiec może ciężko pracować i stać się właścicielem ziemskim, tak jak pracował mój ojciec, który dzięki temu dorobił się plantacji. I to jest sprawa, o którą warto toczyć walkę, nawet jeśli cena jest dalece zbyt wysoka. Każde życie ma wartość, nawet jeśli Sapa Inca nie potrafi tego zrozumieć. Ale ty to pojmujesz, jak mniemam.

Jego przemowa poruszyła mnie pomimo moich obaw. Sądziłem, że choć miał obcesowe maniery, był typem człowieka, który tworzy historię. Jeżeli rzeczywiście planował uwolnić swój dom z rąk brytyjskich ciemiężycieli, było to coś, co zrobi za wszelką cenę. Słowo „braterstwo" dzwoniło mi w uszach. Zawsze marzyłem, by mieć brata, przytłoczony tym, że mieszkałem wśród sióstr. Ktoś taki jak Loddington by się do tego nadawał, tak bardzo opanowany i niewzruszony był w swoich przekonaniach.

– To brzmi jak niezwykły kraj – powiedziałem. – Chciałbym się przekonać, co by się działo, gdyby ludzie godni mogli stać się majętni.

– Ja również – rzekł Loddington, przyglądając się dolinie. – Tak bardzo chciałbym się o tym przekonać.

Coś w jego sposobie bycia niepokoiło mnie, jakby żółte oczy kota mignęły mi pośród nocy.

4. Brat Kondora

Wnuku, dzisiaj powinieneś się zastanowić, co to znaczy być mężczyzną. Historia o tobie obejmuje kilku wielkich ludzi oraz kilku takich, którym nie udało się osiągnąć owej wielkości. Twoja historia opisuje także osoby, których motywacje były zarówno dobre, jak i złe, zgodnie z tym, jacy ostatecznie są ludzie. W tej opowieści większość tych, którzy chodzą po ziemi od początku czasu, pojawia się w tej czy innej formie, osądzenie ich serc pozostawiam zaś tobie.

Tego wieczoru zostaliśmy wezwani do Świątyni Trzech Okien, gdzie się dowiedzieliśmy, że Wysoki Kapłan zamierza poradzić się bogów. Loddington i Marco do tego czasu dobrze odpoczęli. Zmierzaliśmy więc w kierunku świątyni, idąc po kamieniach lekkim krokiem. Jako że w ciągu trzech dni miało nadejść przesilenie, wieczorem słońce było wysoko, co wyglądało tak, jakby ciemność nie miała nigdy tknąć tego wspaniałego miejsca.

W świątyni myły i perfumowały nas setki kapłanek. Miałem nadzieję, że pewnego dnia właśnie tę rolę moja Chaska będzie mogła pełnić, jeśli dożyje dorosłości, i modliłem się o to po cichu, gdy kobiety czesały nam włosy. Jedna z nich zaoferowała mi kubek chichy, świętego wina produkowanego ze śliny i kukurydzy; wypiłem z niego dużo.

Loddington bez większego zainteresowania poddał się zabiegom. Marco wyglądał na bardzo zaabsorbowanego podziwianiem czarujących kapłanek, które reprezentowały sobą wszystko, co najlepsze w urodzie Inków.

Podczas przygotowań Amaru odciągnął mnie na bok i rzekł:

– Mówi się, że dzisiaj Wysoki Kapłan zadecyduje, czy zaproponowana transakcja jest satysfakcjonująca oraz czy w Atun Cusqui będzie potrzebna większa ofiara.

– Mam nadzieję, że znaki będą pomyślne – odparłem.

– Jak my wszyscy – odpowiedział tamten. – Niektórzy się martwią, włącznie ze mną. Nie byłoby mądrze, gdyby Wysoki Kapłan otwarcie podważył wolę Sapy Inki. Mówić niekiedy w jego imieniu to jedno, lecz radzić się bogów w sprawie decyzji innego boga to zupełnie co innego.

Zdumiony otwartością Amaru spojrzałem na jego ręce, które to składał, to rozkładał przed sobą. Stwierdziłem, że musi być zdenerwowany, a prawdopodobnie nawet szuka porady u kogoś tak nieistotnego jak ja. Być może mógł porozmawiać ze mną, nie martwiąc się o to, którzy szlachcice usłyszą o jego obawach.

– Może bogowie potwierdzą decyzję Sapy Inki – powiedziałem.

– Na to liczę – odparł tamten, roztargniony, po czym przeszedł do innego pomieszczenia.

Tymczasem ja z całego serca miałem nadzieję, że wnętrzności wskażą inaczej, tak bym nie musiał się martwić o los córki, związany z losem innych dzieci w Czterech Regionach.

Zebraliśmy się na zewnątrz Świątyni, Amaru zaś ustąpił kuzynowi Paucarowi, który najwyraźniej w sprawach religijnych przewyższał go pod względem doświadczenia i wykształcenia. Paucar pouczył mnie:

– Wysoki Kapłan zajrzy do wnętrza lamy, by upewnić się w sprawie propozycji Amerykanów. Oni muszą stać cicho w pobliżu i nie mogą przeszkadzać. Przetłumacz im podstawowe kwestie, ale nie podawaj zbyt wielu szczegółów. Nie mogą zrozumieć zbyt wiele. Ceremonia odbędzie się na zewnętrznym ołtarzu, tak że ci barbarzyńcy nie zobaczą najświętszego miejsca.

Nie miałem pojęcia, jak połączyć to pouczenie z instrukcją od Amaru, by być otwartym wobec Amerykanów, więc postanowiłem, że będę udawał, jakbym mało rozumiał z tego, co się dzieje. Okazało się, że nie muszę udawać; ceremonia rzeczywiście w niczym nie przypominała publicznych festiwali, w których brałem udział.

Obok złocistego ołtarza stał rząd kapłanów noszących cętkowane złote maski. Cicho intonowali niezrozumiałe dla mnie słowa, choć słyszałem imiona Inti, Viracochy i wiele innych. Zerknąłem na Paucara, który stał po przeciwnej stronie od Loddingtona i Marca. Ze spuszczoną głową powtarzał za duchownymi.

Kapłan przyniósł zakapturzonego kondora ze skrzydłami podciętymi, by nie mógł odlecieć. Łańcuchem przymocowali mu stopę do żerdzi ponad ołtarzem. Domyślałem się, że chcą, by reprezentował Kondora, pod którego to mianem Sapa Inca Coniraya był znany w czasach swojej młodości, gdy walczył o rządy nad naszą

ziemią. Sądziłem, że to dziwaczny symbol – ptak przywiązany łańcuchem do gałęzi, ale to nie ja byłem kapłanem i przypuszczałem, że jest to niezbędne dla rytuału.

Inny duchowny prowadził do ołtarza młodą lamę. Przewrócił ją na blat pokryty szczelinami barwionymi złotem. Beczała głośno. Siłacze przywiązali ją grzbietem do dołu i skrępowali jej razem przednie, a następnie tylne nogi. Rzuciłem okiem na Loddingtona, który patrzył na to z delikatnym niesmakiem, a potem na jego towarzysza, który wydawał się zmartwiony.

– Marco – powiedziałem cicho – może wolałbyś na chwilę odwrócić wzrok?

– Wytrzymam – odrzekł z determinacją.

Tak też uczynił. Gdy duchowny przeciął brzuch lamy i jelita wyskoczyły niczym wijące się larwy, chłopak zachował spokój, a Loddington zbladł. Smród przetrawionych roślin i gnoju wykręcał mi włosy w nosie; mimo że na polach zarżnąłem sporo zwierząt, nigdy nie lubiłem tego zadania.

Z cienia wystąpił Wysoki Kapłan. Twarz skrywał pod wymyślną złotą maską z rozproszonymi promieniami, które były tak wielkie, że dwóch duchownych musiało chodzić wraz z nim i je podtrzymywać. Zanurzył pięść w trzewiach lamy i uniósł krwawą masę. Obejrzał ją ze wszystkich stron, tak jak jubiler ogląda turkus, a następnie włożył z powrotem. Gdy wygładził brzuch zwierzęcia, jego wnętrzności się wydęły.

– Co to oznacza? – szepnął zawsze ciekawy Marco.

– Nie mam pojęcia – odparłem szczerze.

Zerknąłem za krawędź dachu. W tym miejscu wznosił się on wysoko nad nami, a na nim stały nieregularnie ukształtowane kamienie, wyrzeźbione w interesujące wzory. Czułem, że coś jest nie tak, lecz nie mogłem skojarzyć co. Noc była czarna. Widziałem tylko setki pochodni otaczających ołtarz i gwiazdy ponad dachem. Pomyślałem wówczas o Chasce, mej błyszczącej planecie, i ujrzałem widok, który był inspiracją dla jej przydomka. W polu widzenia mignęło światło, zniknęło, potem mignęło ponownie. Zdumiony spojrzałem na niebo. Jak planeta mogła zniknąć?

Zbyt późno uświadomiłem sobie, co widzę.

– Uwaga! – krzyknąłem, nie bacząc na ceremonię. Wyskoczyłem do przodu i pchnąłem Loddingtona, gdy z dachu w naszą stronę potoczył się kamień.

Wnuku mój, wyobraź sobie te wydarzenia, jakby działy się teraz. Wyobraź sobie, że czas płynie niczym woda, a powietrze twardnieje, jak gdyby stawało się skałą. Nie mogę się odezwać; moje płuca są pełne kamieni. Dyplomata odskakuje tak jak ja, ale nic nie mówi. Jego milczenie jest oskarżeniem. Sam czas spowalnia, by być świadkiem zbrodni. Amerykanin stoi bezczynnie, nie zbliża się do chłopaka, który ma tego samego ojca, co on; do swojego brata, którego twarz mówi prawdę. Kamień spada, a ja nie mogę uratować Marca. Pomóc jednak może jeden człowiek – i p o m a g a. Po dziś dzień go błogosławię i wierzę, że Inti ogrzewa jego ducha najjaśniejszym światłem słońca.

Czas zaczął biec. Marco, odrzucony z drogi spadającego głazu, leżał twarzą do ziemi, miał tylko zadrapania. Pod skałą tkwiły za to zmiażdżone nogi Paucara, który wciąż żył, choć później się dowiedziałem, że trwało to krótko. Kapłani pognali w jego stronę, by się nim zająć. Wielmoża nic mi nie powiedział, gdy dogorywał, ani ja jemu. Tak bardzo chciałbym z nim teraz porozmawiać, by podziękować za odwagę! Nie wiem, co nim kierowało, był jednak wspaniałym człowiekiem, godnym swego pochodzenia. Tak poznaje się wartość człowieka: to, jak umiera, świadczy o tym, jak żył. W mojej głowie puste słowa Loddingtona o braterstwie rozbrzmiewały echem. Oto jak traktował brata: zignorował niebezpieczeństwo, gdyż w ogóle nie obchodziło go życie chłopca. To nie był brat, lecz wąż.

Reszta nocy zatarła się w moich wspomnieniach. Położyliśmy się na trzcinowych matach, wszyscy w jednym pomieszczeniu. Spałem niespokojnie, śniąc o zmiażdżonych nogach Paucara oraz o wnętrznościach lamy wieszczących los mego ludu oraz dziecka. W snach trzewia oplątywały mi nadgarstki i kostki. Próbowałem uciekać długą drogą przez Imperium, lecz cały czas przewracałem się w kałużach krwi.

Blisko północy ktoś potrząsnął moim ramieniem. Szybko się obudziłem i zobaczyłem twarz Marca, rysującą się w świetle

księżyca wpadającym przez okno. Gdy usiadłem, chłopak przystawił sobie palec do warg. Wskazał Loddingtona, który spał głęboko.

– O co chodzi? – zapytałem.

– Dziękuję, że uratowaliście nam życie – rzekł zwyczajnie. – Chciałem sam ci powiedzieć. Przykro mi z powodu tego człowieka, który odniósł tak poważne obrażenia.

– Marco – zagadnąłem zmartwiony. – Dlaczego twój towarzysz nie ocalił cię, kiedy mógł?

– Z pewnością chciał – odparł chłopak defensywnie. – Był zaskoczony i nie myślał trzeźwo.

Spojrzałem na niego, zdając sobie sprawę, że jakaś jego część musiała podtrzymywać to kłamstwo.

– Jesteście przyrodnimi braćmi, czyż nie? Czy może w Ameryce wygląda to tak, że bracia przyrodni nie są krewnymi?

– Jego ojciec sypiał z moją matką – odpowiedział chłopak z wielkim wstydem. – Na pewno tutaj też jest to zbrodnia, jeżeli mężczyzna i kobieta nie są małżeństwem.

Ach, nieślubne pochodzenie! Wreszcie zrozumiałem, dlaczego Loddington nie uznaje go za brata. A przynajmniej tak w tamtym czasie sądziłem.

– A więc, gdy będziesz już mężczyzną, opuścisz dom i ułożysz sobie własne życie z dala od oskarżeń skierowanych w twoją stronę.

– Muszę zostać z Johnem Fernandem, chyba że sprzeda mnie gdzieś indziej – wyznał Marco. – Jestem zaskoczony, że nie zrobił tego po śmierci ojca, ale być może chce w ten sposób zadowolić swoją siostrę, która mnie lubi. Traktuje mnie przyzwoicie, nigdy nie bije ani nie obraża.

– Sprzeda? – zapytałem, zastanawiając się, czy to słowo ma współcześnie znaczenie, którego nie znam.

W oczach Marca pojawił się błysk.

– John Fernando może sprzedać mnie innemu człowiekowi, kiedy tylko zechce, a ja będę służył tej osobie tak jak jemu.

Och, dziecię, tak bardzo nie rozumiałem wtedy tego świata! Myślałem tylko o braterstwie, a także o Ameryce, jaką przedstawiał Loddington, kraju, w którym każdy człowiek może wywalczyć sobie prawo do wyboru tego, jak pragnie żyć. W głowie usiłowałem

pogodzić ten obraz ze słowami chłopca, myśląc, że słudzy mogą zmieniać panów dla lepszej płacy... W tym lustrze jednak już pojawiły się pęknięcia. Nawet wtedy wiedziałem, że braterstwo dyplomaty jest w głębi duszy równie marne jak on sam.

Powiedziałem więc:

– Drogi chłopcze, byłbym dumny ze znajomości z tobą, bez względu na to, jaką rolę przydzieliłby ci Inti w Kraju Czterech Regionów: sługi, wolnego człowieka bądź brata, gdyż podziwiam twego ducha. Cieszę się, że dzisiaj nie ucierpiałeś.

Marco uśmiechnął się i ścisnął moją rękę.

– Pewnego dnia, Lanchi, chciałbym nazwać statek na twoją cześć.

Znów położył się spać, ja uczyniłem to samo i z trudem udało mi się nieco wypocząć.

Rano przybył Amaru ze smutkiem i bólem wypisanymi na twarzy. Poprosił mnie, byśmy wyszli na zewnątrz. Pośpieszyłem za nim, a on rzekł:

– Ufam, że jesteś cały i zdrowy.

– Na łaskę Inti, jestem – odparłem. – Przykro mi z powodu tego, z czym się zmagasz. Pamiętaj jednak, że Paucar ocalił życie Marca.

– Jeśli mój kuzyn przeżyje, będzie kaleką – powiedział Amaru. – Modlę się, by ten chłopak okazał się wart zachodu.

Tę nieżyczliwość przypisywałem niewyspaniu i głębokiemu cierpieniu.

– Wszystkie żywoty mają wartość, a Paucar jest dla tego dziecka bohaterem – rzekłem.

Nie byłem pewien, czy moje słowa pomogą. My, Inkowie, kochaliśmy nasze pociechy tak bardzo, że aż bolało. W ich oczach widzieliśmy mądrych dorosłych, którymi mieli się stać. Dlatego w tamtych czasach poświęcaliśmy tyle dzieci – zwracaliśmy bogom ich potencjał. Tyle że praktyka ta jest współcześnie anachronizmem i budzi wątpliwości; w tamtych czasach oddawaliśmy potomstwo bogom i nikt tego nie kwestionował.

Amaru uśmiechnął się smutno.

– Mnie również podoba się duch tego chłopaka, lecz wolałbym, by przeżył mój kuzyn – stwierdził. – Ale przychodzę tutaj

z wieściami. Szczepionka działa, a Sapa Inca jest zadowolony z efektów. Wszyscy ochotnicy pozostali w Sayacmarce, podzielili się napitkiem z chorymi i wyszli bez uszczerbku.

– Na wschodzące słońce, prawdziwy cud – szepnąłem.

Istotnie, nie wierzyłem w to aż do tej chwili! Dzięki takiemu lekarstwu mógłbym zabezpieczyć dzieci i siebie przed tą straszną chorobą; każdy ojciec w Cusco zresztą uczyniłby podobnie. Moje serce wezbrało pragnieniem zobaczenia się z rodziną, ale zamarło, gdy przypomniałem sobie, co te wieści oznaczają. Działająca szczepionka determinowała sfinalizowanie przez Sapę Incę transakcji z amerykańską delegacją. Wtedy moją Chaskę prawdopodobnie czekała przyszłość u podnóża śnieżnej góry, gdzie będzie leżała martwa w wianku na głowie.

– Mamy natychmiast wracać i znów poddać się kwarantannie – ciągnął Amaru. – W tej sytuacji Sapa Inca będzie potrzebował tłumacza, aby kontynuować negocjacje.

– A ta próba zabójstwa? – zapytałem. – Z pewnością każdy rozumie, co to było. Przypuszczam, że bronią palną nie dałoby się tak dobrze upozorować wypadku.

– Wszyscy robotnicy, którzy pracowali tego dnia na murze, zostali zabici – odparł rzeczowo Amaru. – Chodzą plotki, że w skandal zamieszanych może być kilku wysokich rangą kapłanów. Nie kłopocz się takimi sprawami. Zostaw je mojemu dochodzeniu. Nie zaprzyjaźniaj się już z Amerykanami; w tej chwili mogłoby to wszystko skomplikować. Niech pilnują swoich spraw, gdy ty zajmiesz się swoimi.

Wówczas nasz pochód oddalił się od Machu Picchu oraz jego wysokich kolumn będących niczym zęby na niebie. Wracaliśmy do Cusco. Zgodnie z instrukcjami od Amaru przekazałem Amerykanom informację, a potem trzymałem się od nich z daleka. Znaleźli się przez to w sytuacji, w której nie mogli się z nikim porozumiewać. Gdy dotarliśmy na miejsce, zabrano ich na kwarantannę, ja swoją odbywałem gdzie indziej.

Spodziewałem się, że dwanaście dni po przybyciu jeszcze raz staniemy wszyscy przed Sapą Incą, a najpewniej przed bratem Kondora przemawiającym zamiast władcy. Piątego dnia

usłyszałem jednakże od służby pogłoski o wielkich niepokojach w pałacu, ósmego zaś poczułem odór palonych na dziedzińcu ciał. Ze swej pustej komnaty odosobnienia nie mogłem nic zobaczyć, lecz sługa powiedział, że osoby lojalne wobec Wysokiego Kapłana spalono żywcem za zdradę. Dziewiątego dnia usłyszałem o egzekucji Ahuapautiego za obrazę bogów. Nikt nie mógł przybliżyć mi szczegółów – być może nikt ich nie znał – ale wywnioskowałem, że dotyczy to zamachu na życie Amerykanów. Miałem pewność tylko, że los mojej córki został przypieczętowany. Teraz Sapa Inca Coniraya dzierżył pełnię władzy, a to przecież on nalegał, byśmy zwiększyli liczbę festiwalowych ofiar.

Drogi wnuku, nie jestem kapłanem, lecz wydaje mi się, że człowiek zabijający tych, którzy się z nim nie zgadzają – zwłaszcza swego duchowego przewodnika – nie może później twierdzić, iż jego droga jest słuszna.

Spodziewałem się, że sprawa zostanie teraz zakończona, ale zamiast tego przetrzymano mnie w izolacji jeszcze trzynastego i czternastego dnia. Piętnastego do mych komnat przybył nieznany mi szlachcic, który rzekł, bym udał się do domu i pozostał tam, dopóki nie zostanę wezwany z powrotem. Tego poranka usłyszałem, że Coyę Incę na zawsze wygnano do odległego górskiego pałacu. Gdybyśmy tylko wtedy wiedzieli, jak skomplikowana jest sieć zdrad, utkana przeciwko Sapie Ince i ludowi inkaskiemu przez wysoko postawionych kochanków będących jednocześnie rodzeństwem! Mamy jednakże wobec zdrajców ogromny dług. Gdyby zwlekali z próbą przejęcia tronu, Sapa Inca mógłby zapłacić wygórowaną cenę żądaną przez Amerykanów. Zbrodnie rodzeństwa ocaliły Inków przed świętokradztwem.

Ale zboczyłem z tematu. Byłem zaskoczony, lecz cieszyłem się z powrotu. Myślałem o Amerykanach, jednak nie wiedziałem, gdzie mogą się podziewać. Kiedy wróciłem do domu, znalazłem swoją żonę, Ymę – w nowym odzieniu i z ogoloną głową, mimo to jeszcze piękniejszą niż kiedykolwiek. Ucałowałem ją namiętnie i powiodłem kciukiem po jej kościach policzkowych; znajome grudki poznaczonej bliznami skóry były niczym błogosławieństwo. Zaledwie skończyłem ją obejmować, a w moje ramiona wskoczyła

Chaska, którą przytuliłem, jakby to miał być ostatni raz. Stanowczo kazałem jej wracać do obowiązków, ignorując ukłucie w sercu, ona zaś posłuchała nawet bez typowego dla dziecka ociągania. Pogłaskałem po głowie syna, a ten zachichotał, gdy wkładałem go z powrotem do kojca.

W pokoju unosiła się woń ziołowego odwaru; Yma przygotowywała uśmierzającą ból stawów jukkę, którą sprzedawała na targu lekarstw. Połączyliśmy się na nowo, tak jak czynią to mężczyzna i kobieta, po czym objęci delektowaliśmy się sobą nawzajem. Później oczywiście wezwały nas codzienne obowiązki oraz syn, który wołał, by matka go nakarmiła.

Słuchała mojej opowieści z fascynacją, a przy tym zadawała wiele pytań na temat Amerykanów. Na wieść o cenie Loddingtona aż się zachłysnęła, przerażona bardziej ode mnie.

– Żądają pieniędzy niczym krwi – stwierdziła. – Jak oni mogą kraść nam esencję ducha? Nie widzą, że całe rodziny, całe klany, są dziesiątkowane przez tę straszną chorobę?

– Widzą – odparłem – lecz pragną swojego kraju braterstwa... a przynajmniej tak to nazywają.

Opowiedziałem o Machu Picchu i bezdusznym zignorowaniu przez Loddingtona własnego brata, a wówczas twarz Ymy wykrzywiło obrzydzenie. Gdy powiedziałem jej o prawdopodobnej decyzji Sapy Inki, by poświęcić tysiąc dwieście dzieci, natychmiast w sprawie Chaski doszła do podobnego wniosku, co ja. Moje serce zamarło, gdyż udowodniła, że się nie pomyliłem.

– Moglibyśmy opuścić Cusco – zasugerowała. – Udać się do odległych ziem na południu i tam wychować dzieci.

– To niemożliwe – odrzekłem. – Teraz służę Sapie Ince jako tłumacz, w związku z czym nasza rodzina jest związana z władcą. Nie zezwoliłby mi wyjechać, a my nie możemy uciec przed imperialnymi strażnikami. Wszędzie by nas znaleźli.

W tym momencie żona popadła w rozpacz. Po narodzinach Chaski mieliśmy jeszcze jedną córkę, którą straciliśmy tuż po urodzeniu, więc Yma znała ból towarzyszący utracie dziecka. Trzymałem ją i gładziłem ostrzyżone włosy, aż skończyła płakać.

– Powiedz mi, co widziałaś w Sayacmarce.

Wyprostowała się i odparła:

– Zaprawdę, chciałabym móc przekazać więcej! W tej dotkniętej nieszczęściem wiosce ujrzałam śmierć i udrękę, tak jak zawsze, i chciałabym pozbyć się tych wspomnień. Ale wszyscy ochotnicy przeżyli, a na rękach nosili tylko dziwne blizny, ślady po chorobie.

– Jakiej chorobie?

– Amerykanin zabrał ich do swej siedziby w obozie i na kilka dni uczynił jakby chorymi. To było jak lżejsza wersja ospy... taki rodzaj, który nie zrujnował ich ciał, tylko ledwie je musnął.

– A widziałaś, jak to się stało?

– Nie, choć w pewnym momencie usłyszałam płacz dziecka.

– Płacz dziecka? – zapytałem, mając w pamięci opowieść Amaru o dziwnych dźwiękach i zapachu moczu. – Jesteś pewna?

– Jestem matką – stwierdziła dobitnie.

Uznałem jej autorytet. Tak jak twierdziłem, mąż bez żony nie jest kompletny; może być w parze tym silniejszym, ale nie może działać sam.

– To wszystko jest bardzo dziwne – przyznałem. – Ciągle myślę, że w tych targach Amerykanie są nieuczciwi. Zabiliby miliony inkaskich mężczyzn, kobiet i dzieci... a to ze względu na swój bunt wobec Anglii, który zresztą ma toczyć się w imię braterstwa. Nie okazują go jednak nawet w sytuacjach, gdy chodzi o mniejszą stawkę. Dlaczego miałbym uważać, że na większą skalę zachowają się inaczej?

Żona kiwnęła głową i powiedziała:

– To niegodne, by czynić z nas zakładników w obliczu tak zabójczego wroga.

Drogi wnuku, muszę ci coś powiedzieć. W pewnym momencie przychodzi ci do głowy pomysł, wprost od samych bogów. Jest to gość, i to godny jak najlepszego przyjęcia. Puka do drzwi albo zwyczajnie przez nie wchodzi, jakby tam mieszkał, a ty musisz obejść się z nim mądrze, inaczej może uciec na zawsze. Bogowie dali mi pomysł i sprawili, że dojrzewał przez jakiś czas, nim go zauważyłem. Do tej chwili wrósł w moje jestestwo tak mocno, że wydawał się częścią mej rodziny, którą muszę chronić za wszelką cenę.

– Ymo – rzekłem do żony – gdybym cię zapytał, gdzie mieści się obóz Amerykanów, jak blisko tego miejsca potrafiłabyś mnie poprowadzić?

– Na wyciągnięcie ręki – odparła. – Bacznie zwracałam uwagę, dokąd idziemy, na wypadek oddzielenia mnie od pozostałych.

– Mądra kobieta.

Nie chciałem zdradzać jej swojego planu, bo gdyby skończył się dla mnie źle, istniała szansa, że Yma będzie mogła błagać o litość i utrzymywać, że nic na jego temat nie wiedziała. Nadzieja była płonna, gdyż rodzina mężczyzny odpowiada za jego przestępstwa; biorąc jednak pod uwagę szlachecki ród żony, sądziłem, że jej kuzyni mogą ją uchronić przed imperialnym gniewem.

Ostrożność okazała się zbędna, gdyż żona, mrużąc oczy, zapytała mnie:

– Lanchi Ronpa, co zamierzasz zrobić?

Nie ośmieliłem się odpowiedzieć, ale wstałem i sprawdziłem muszkiet, który wisiał nad drzwiami. Pozwoliłem jej sądzić, że chcę zastrzelić Amerykanina, gdyż mogłoby to być bardziej honorowe niż to, co planowałem. Nie doceniłem jednak Ymy – ach, jak często mi się to zdarzało!

– Mężu, w naszym kraju lekarstwa są dostępne dla każdego, kto ich potrzebuje.

– To prawda.

– Gdyby złodziej udowodnił, że urzędnik miał go w coś zaopatrzyć i nie zrobił tego, to właśnie urzędnik zostałby stracony za niedopełnienie obowiązku.

– Istotnie – przyznałem.

Ucałowała mnie i powiedziała:

– Kochanie, dokonaj miłosiernego czynu. Ukradnij tę szczepionkę, jeśli dasz radę, i przekaż ją naszemu ludowi! Uznałabym to za moralne oraz właściwe i nawet sam Sapa Inca nie odwiódłby mnie od tego.

– Boję się o ciebie, skoro wiesz, co chcę zrobić.

Zaśmiała się.

– Może powiem ci dokładnie, gdzie jest ten obóz, na wypadek gdybyś przy okazji zechciał odwiedzić to miejsce nocą.

Widzisz, kochałem swoją żonę całym sercem, ale w tamtym momencie kochałem ją po stokroć. Modlę się, dziecię, by ciebie pewnego dnia spotkało porównywalne szczęście.

5. Błogosławieństwo Ronpy

Szedłem zgodnie ze wskazówkami Ymy i dotarłem do zagajnika – okolicy, której nie odwiedzałem często. Spodziewałem się, że ludzie Loddingtona będą strzegli obozu, gdzie przechowywano cenną szczepionkę. Nie wiedziałem, czego szukam. Wiedziałem tylko, że jest mała i być może zawiera w sobie igłę do szycia... a przynajmniej tak podejrzewał Amaru, opierając się na zeznaniach ochotników. Obawiałem się, że może być czymś, co Loddington trzyma przy sobie, a wtedy nie wiedziałbym, jak ją zdobyć. Czy zabiłbym dla niej człowieka, jeśli miałbym pewność, że to konieczne? Rozważyłem to w myślach i stwierdziłem, że owszem, zrobiłbym to, gdybym musiał; wtedy jednak nie mógłbym spierać się z bogami, jeśli to Chaska zostanie wybrana na ofiarę. Przygotowywałem się na taką ewentualność, modląc się, aby do tego nie doszło.

Jak widzisz, był to próżny wysiłek – wypatrywałem szczepionki, nie znając jej kształtu, rozmiaru ani nie podejrzewając, gdzie może być. Wyobrażałem sobie coś w rodzaju nitki przechodzącej przez ucho igielne, ale nie miałem potwierdzenia, czy właśnie o to chodziło.

Łatwo było poruszać się po okolicy samotnie; po obozie krążyli strażnicy, lecz chronili go na wypadek, gdyby wtargnęła tu armia albo doszło do krwawej bitwy. Amerykanie prawdopodobnie sądzili, że jedna osoba, taka jak ja, najpewniej nie znajdzie ani nie rozpozna szczepionki. Nie rozumieli, że zdeterminowany człowiek – odpowiedzialny za los swojej rodziny – dysponuje przebiegłością lisa i siłą drapieżnego ptaka.

Przesuwałem się bliżej, skryty w cieniu drzew i bujnych paproci. Jeden Amerykanin się wzdrygnął, jakby mnie zobaczył; na krótko przycelował muszkietem. Gdy wybiegła wiewiórka, mężczyzna

się uspokoił, sądząc zapewne, że to zwierzę go zaskoczyło. Podziękowałem wiewiórce i przyrzekłem oddać jej cześć później, jeśli przeżyję. Pomodliłem się szybko do Mamy Quilli, bogini księżyca, by zacieniała moją drogę, po czym pognałem polaną do następnego celu.

W ten sposób znalazłem ścieżkę do pobliskich namiotów, a potem się zastanowiłem, gdzie najpierw zajrzeć. Nie minie wiele czasu, zanim ktoś mnie zauważy. Wiedziałem, że w zewnętrznych namiotach znajdują się tylko zapasy, nic kluczowego; dlatego szedłem powoli w stronę centralnie położonych schronień, licząc na jakiś boski znak aprobaty, który upewniłby mnie, że idę w dobrym kierunku.

I wtem! Cichy kaszel. Choć brakowało mi kobiecej intuicji, wiedziałem, że ten dźwięk wydało dziecko. Miałem nadzieję, że go nie wystraszę, ale może przekonałbym malucha, by powiedział mi, gdzie jest szczepionka, o ile oczywiście wiedział. Natomiast gdyby doszło do tego, że dziecko oświadczy, iż widziało intruza, zostałoby to potraktowane jako fantazja i nic poza tym.

Niosło to ze sobą ryzyko, ale tak samo było z całą tą wyprawą. Odsunąłem tkaninę namiotu i zerknąłem.

Było ciemno, lecz światło księżyca wkradało się do środka jako mój cichy pomocnik. Gdy oczy się przyzwyczaiły do półmroku, ujrzałem dwóch śpiących chłopców, pewnie w wieku pięciu albo sześciu lat. Ich głowy były skierowane w moją stronę, stopy zaś leżały z dala ode mnie. Nawet pomimo leśnego powietrza dzieci śmierdziały ludzkimi odchodami. Wiatr poruszył liśćmi drzew, dzięki czemu wpuścił na chwilę nieco więcej światła. Ku mojemu zdumieniu dostrzegłem, że dzieci te są nawet ciemniejsze niż Marco – jak to było możliwe? – i jak on mają włosy podobne do sierści lamy. Może to kuzyni? Ich ciała owijały żelazne łańcuchy z solidnie wyglądającymi zamkami. Nie wiedziałem, co to oznacza. Namiot znowu pociemniał, gdy liście drzew przestały się ruszać. Jedno dziecko zakasłało, a ja pośpiesznie się cofnąłem.

Obróciłem się i zobaczyłem lufę muszkietu wycelowanego prosto we mnie. Za tą bronią stał Marco, a jego oczy były puste i nic nie dało się z nich odczytać.

Stałem jak sparaliżowany. Chłopiec i ja spojrzeliśmy na siebie. Nie miałem wątpliwości, że dobrze wie, jak używać broni, ani nawet nie pragnąłem sprawdzać jego odruchów. Nie wiedziałem natomiast, dlaczego jeszcze mnie nie zastrzelił ani co wobec mnie zamierzał.

Wydawałoby się, że staliśmy w ten sposób całą noc, choć jestem pewien, że minęło ledwie kilka chwil. Niebawem mruknąłem:

– Lepiej byłoby dla nas, gdybyś podjął decyzję.

Warga Marca zadrżała, ale broń się nie poruszyła.

– Mam chronić obóz – rzekł.

– Gdzie jest Loddington?

– Został w pałacu w Cusco. Odmawia jego opuszczenia, dopóki Sapa Inca nie zgodzi się ponownie z nim pomówić, ale poprzez naszego pierwszego tłumacza.

Dalej staliśmy nieruchomo, patrząc na siebie. W końcu powiedziałem:

– Przepraszam, że będziesz musiał wymyślić inną nazwę dla swojego statku.

– Wchodź – nakazał Marco, trzymając mnie na muszce.

Weszliśmy do namiotu, w którym leżeli chłopcy.

– Co się teraz stanie, Marco?

– N-nie wiem – przyznał, brzmiąc jak dziecko bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. – John Fernando powiedział, że ktoś pewnie się wślizgnie i spróbuje ukraść szczepionkę, ale nigdy się nie spodziewałem, że to mógłbyś być ty, Lanchi. Jak... jak możesz być złodziejem?

– W tym kraju... – zacząłem, zamierzając przytoczyć słowa mojej żony, lecz chłopak opuścił broń i spojrzał na ziemię. Mogłem oczywiście doskoczyć i go obezwładnić bez wszczynania alarmu, ale nie zamierzałem tego robić.

Przyglądałem się mu, gdy opadł przy ścianie namiotu, i po prostu rzekłem:

– Wiele żywotów jest w niebezpieczeństwie. To dla mnie nie do pomyślenia, żebym stał z boku i się przyglądał, jak mój lud umiera, i to ze względu na obcą wojnę, która nie ma żadnych sensownych podstaw.

– Żadnych podstaw! – wykrzyknął Marco. – John Fernando walczy o wolność Amerykanów, o to, by mogli żyć tak, jak sami wybiorą.

– Tak twierdzi – odparłem na tyle uprzejmie, na ile mogłem. – Ale jego działania pokazują, że to kłamstwo.

– Nieprawda!

– Czy walczy o twoją wolność?

– Ze mną to co innego – przyznał. – I z innymi niewolnikami też.

Wiedziałem oczywiście, kim są niewolnicy; wspomniano o nich w Biblii dziadka. Zawsze było mi ich żal z powodu losu, który ich spotkał w opowieściach. A teraz wiele kwestii dotyczących zarówno Marca, jak i tego, jak traktował go Loddington, nabrało dla mnie sensu.

– Kim są ci chłopcy? – zapytałem.

– To nosiciele szczepionki – odpowiedział. – Pomagam Johnowi Fernandowi w jego pracy medycznej. Przywieźliśmy z aukcji pięć tuzinów chłopców niewolników. Podtrzymujemy działanie szczepionki dzięki temu, że przenosimy ją za ich pomocą, po dwie osoby w jednym czasie. Dlatego John Fernando tak zdecydowanie nalega na spotkanie z Sapą Incą; negocjowanie transakcji zajmuje mu więcej czasu, niż sądził, że jest to możliwe. Jeśli ostatni chłopak wyzdrowieje, zanim szczepionka zostanie przeniesiona, to wszystko będzie stracone.

– Czym jest szczepionka? – zapytałem. – Czy nosi ją w sobie każdy z chłopców?

Słysząc to, Marco uśmiechnął się, po czym wyjaśnił:

– To jest bardzo sprytnie pomyślane. Istnieje choroba zwana krowianką, która pochodzi z Wielkiej Brytanii i dotyka niektórych rolników i niektóre dojarki, co pracują ze zwierzętami. Osoba zarażona choruje, ale zdrowieje... i jej ciało po takim doświadczeniu broni się przed ospą! Ten okropny zarazek nie tknie już tej osoby, gdyż ciało rozumie zagrożenie i nie pozwoli mu nad sobą zapanować.

Tak proste! Tak niesamowite! Widzisz, zasada szczepienia znana była Inkom od początku czasu. Zostało to zapisane w naszym dualizmie – większy i mniejszy, słońce i księżyc, mąż i żona. Istniała większa choroba i mniejsza, żadna z nich zaś nie mogła być kompletna bez drugiej.

– Jak więc przekazuje się tę chorobę? – zapytałem Marca. – Zakażę się, będąc tutaj?

– Nie – odparł. – Ja albo John Fernando musielibyśmy cię zaszczepić. Najpierw wyciągnęlibyśmy ropę z pęcherza po krowiance, a później wstrzyknęlibyśmy ją tobie.

– Zatem jeśli nie uczynicie tego, nim te pęcherze znikną... – rzekłem, wreszcie rozumiejąc.

– Lanchi, po co tu przyszedłeś? – wypalił Marco. – Wolałbym, żeby cię tu nie było. Nie chcę cię zabić, ale nie mogę pozwolić ci odejść. Co mam robić?

– Możesz mnie zaszczepić – powiedziałem. – I wtedy pozwolić mi odejść. Nic nie mów Loddingtonowi. Albo powiedz mu, że nigdy mnie nie widziałeś.

– Nie mogę – zaoponował Marco. – Dowie się. On zawsze się dowiaduje. Nie mogę się od niego uwolnić.

– Możesz zatem pójść ze mną – zaproponowałem – gdyż podziwiam twoją odwagę i szczerość. Widzę, że stajesz się dobrym mężczyzną... i że już prawie nim jesteś.

Jego oczy się rozpogodziły, a ja miałem świadomość, że jest zaintrygowany. Wciąż jednak wyraźnie nie był przekonany.

Odparł:

– John Fernando jest dla mnie miły...

– Przypuszczam, że traktuje cię jak złoto. Jest niezwykle ostrożny, kiedy chodzi o jego majątek – zauważyłem. – Choć grudka kruszcu nie może się oprzeć spadającemu kamieniowi.

W oczach Marca mignęła złość i wtedy pomyślałem, że mimo wszystko może we mnie strzelić. Zaczął jednak mówić:

– Nie mam dokąd iść ani nie znam tego kraju. Nie byłoby mi lepiej, gdybym służył tobie.

– W takim razie chodź ze mną jako syn – odpowiedziałem. – Przyjąłbym cię do rodziny. Tutaj zostaniesz uznany za mężczyznę w wieku piętnastu lat, kiedy to przyjmiesz nowe imię. Nauczę cię języka keczua. Będę też zajmował się handlem tak długo, aż sfinansuję ci przygodę, której pragniesz. Będziesz swoim własnym panem.

Marco zapłakał cicho i zadrżał. Uklęknąłem, by go objąć.

– Nie mamy wiele czasu. Szybko, podaj mi szczepionkę. Przeniosę ją w swoim ciele.

– Nie mogę zostawić chłopców – odparł. – Jest ich prawie sześćdziesięciu, leżą we własnych odchodach, przykuci do łóżek. Płaczą w nocy i nie potrafię ich uspokoić. Niektórzy mają ledwo trzy lata. Wołają matki, ale żadnej tu nie ma.

Serce mi się krajało na myśl o tych biednych dzieciach, które nie rozumiały, jaką pełnią rolę.

– Skąd oni wszyscy pochodzą?

– To są chłopcy z pola, wybrani ze względu na ich krzepę. Sądzę, że John Fernando planuje ich sprzedać z powrotem na aukcji, kiedy wróci do domu... każdego, który przeżyje. Trzech chłopców zmarło w trakcie podróży tutaj.

– Nie potrafię wymyślić, jak możemy ich wszystkich uwolnić – rzekłem powoli.

– Nie mogę ich tu zostawić – upierał się Marco. – Nie mógłbym odejść, wiedząc, jaka czeka ich przyszłość. Jeśli zostanę, mogę chociaż przekonać Johna Fernanda, żeby sprzedał ich do zaprzyjaźnionych domów, gdzie ktoś mógłby się nimi zaopiekować.

– Musimy znaleźć sposób – odparłem. – Jest wiele bezdzietnych rodzin, które byłyby wdzięczne, że mogą adoptować syna... nawet takiego, który nie pochodzi z Czterech Regionów. W dawnych czasach Imperium często przyjmowaliśmy dzieci z podbitych terytoriów. Ci chłopcy nie mogą z nim wrócić.

Zastanawiałem się jednak, jak ich wszystkich stąd wydostać. Marco mógłby przekraść się ze mną niezauważony, ale nie pięć tuzinów dzieci.

Rozważałem to przez jakiś czas, aż zapytałem:

– Czy kiedykolwiek usuwałeś zęby wężowi?

Szybko wdrożyliśmy nasz plan. Chłopak zakaził mnie krowianką i dał mi dziesięć igieł do przenoszenia choroby. Obiecałem mu, że wkrótce ponownie się spotkamy, on zaś do tego czasu musi zachować milczenie. Odciągnął uwagę strażników, dzięki czemu mogłem odejść niezauważony.

Wróciłem do żony i opowiedziałem jej całą historię. Zaniepokojona odesłała mnie do łóżka i nalegała, żebym odpoczywał,

tak abym nie pogorszył gorączki. W ciągu kilku dni na moich dłoniach i ramionach wytworzyła się wysypka, a także żółte pęcherze, które bolały przy dotyku. Żona powiedziała, że to istotnie ta sama choroba, którą widziała, gdy zjawiła się w obozie; zgodnie z moimi wskazówkami ostrożnie wyciągnęła ropę i wstrzyknęła ją obojgu naszych dzieci.

Och, jak trudną decyzją było to, by je zarazić, nawet gdy znało się korzyści! Gdy zachorowały, wracałem już do zdrowia; najtrudniejszą częścią było ukrycie naszych starań przed sąsiadami, albowiem bałem się, że jeśli odkryją u nas chorobę, żołnierze obejmą dom kwarantanną i ostrzegą Loddingtona o moim planie. Córkę przekonaliśmy, by zachowywała się jak najciszej, ale syn nie rozumiał i wył z bólu. Pomyślałem o chłopcach z obozu Loddingtona, nieznacznie tylko starszych od mego synka. Nie wiedziałem też, co się stanie z Markiem; obawiałem się, że ktoś mógł nas zauważyć. Formalna kwarantanna zabrałaby nam cenny czas. Nie mogliśmy pozwolić sobie na to, by ostatni pęcherz się zaleczył, dokąd nie przeniesiemy tej cennej choroby na innych ludzi.

Choć nie czułem się zupełnie zdrowy, postanowiłem, że najwyższa pora przyśpieszyć realizację planu. Poprosiłem żonę, by w pałacu wybłagała przysługę – miała wykorzystać status społeczny i każdy pretekst, o jakim tylko zdoła pomyśleć – żeby przekazać wiadomość mądremu Amaru, w którym pokładałem całą nadzieję. W tym politycznym chaosie nie byłem pewien, czy Yma podoła. Dobra żona nie ustępowała jednak i spędziwszy dzień oraz bezsenną noc na prośbach o audiencję, znalazła sługę, który zechciał dostarczyć wiadomość.

Następnej nocy, gdy moje ciało wyzdrowiało, a dzieci leżały chore, przybył Amaru. Był ubrany w niewytworny sposób i nie nosił maski, inaczej mógłby zwrócić na siebie uwagę.

Kiedy opowiedziałem mu swoją historię, jego twarz pociemniała ze złości. Przez chwilę się zastanawiałem, czy nie rozgniewa się na mnie za kradzież, lecz bezsensownie się niepokoiłem. Amaru w końcu rzekł:

– A więc teraz ta szczepionka znajduje się w posiadaniu Inków. Nie potrzebujemy już tego chciwego negocjatora.

– Nie chcę, żeby go zabito – odparłem z wahaniem, zastanawiając się, czy właśnie to ma na myśli.

– Ani ja – zapewnił mnie. – Amerykanie mogliby nie przyjąć tego dobrze. Nie chcę jednak patrzeć, jak czerpie korzyści z cierpienia innych, nawet jeśli cierpiącymi są zaledwie dzieci.

– Możemy teraz odmówić transakcji, pod warunkiem, że utrzymamy szczepionkę wśród naszego ludu.

– Odmówić transakcji, zdecydowanie. Prowadził negocjacje w złej wierze. Są gorsze kary dla takich ludzi jak on.

Mając to na uwadze, omówiliśmy plan.

Następnego dnia odwiedziliśmy Loddingtona, który koczował w poczekalnych komnatach znajdujących się w pałacu. Mówił łamanym hiszpańskim do każdego, kto rozumiał i chciał słuchać; błagał o audiencję u Sapy Inki. Ręce trzymałem splecione za plecami. Kiedy mnie zobaczył, jego twarz pojaśniała i pojawił się na niej życzliwy uśmiech.

– Lanchi Ronpa! – wykrzyknął. – Pytałem o ciebie, ale nikt nie chciał cię przyprowadzić.

– Sapa Inca jest niedostępny – odparł Amaru – lecz upoważnił mnie do sfinalizowania naszej transakcji. Oto oznaka naszej dobrej woli.

Otworzył sakiewkę i wysypał złote paciorki – więcej, niż kiedykolwiek sam posiadałem – które spadły na dłonie Loddingtona i rozsypały się po podłodze. Amerykanin pełzał za nimi i podnosił je garściami, niczym małpa zbierająca pożywienie.

– Mam tego więcej, wszystko dostarczą do waszego obozu moi wojownicy – powiedział Amaru. – Chodźmy tam, a przyniesiemy wam, zgodnie z obietnicą, przynajmniej jedną dziesiątą tego, o co prosiliście, resztę zaś otrzymacie jutro. Przekazalibyśmy całą kwotę dzisiaj, lecz złota jest po prostu za dużo; jutro wojownicy z nim powrócą.

Gdy przetłumaczyłem, Loddington zmrużył oczy.

– To nagła zmiana nastawienia ze strony Sapy Inki.

– Jest zajęty – odparł spokojnie Amaru. – Zajmuje się sprawami krajowymi i nie może bezpośrednio uczestniczyć w tej

transakcji. Pragnie jednak tej szczepionki, odkąd dowiedliście, że jest skuteczna.

Dyplomata spojrzał prosto na mnie i rzekł:

– Lanchi, powiedz mi prawdę. Czy Sapa Inca rzeczywiście jest gotowy na szczepionkę?

– Zapewniam cię – zacząłem, dobierając słowa ostrożnie – że Sapa Inca będzie zadowolony, kiedy pozna sekret tej szczepionki.

Tamten uśmiechnął się i wstał.

– W takim razie wspólnie załatwimy interesy – powiedział. – Chodźmy do mojego obozu.

Tak więc poszliśmy wraz z procesją wojowników prowadzonych przez Amerykanina, który jeszcze nie wiedział, że właśnie został pokonany. Loddington siedział na imperialnej lamie służącej do jazdy, miał podniesioną głowę, jakby rządził całym krajem. Trzymałem się środka pochodu, nie chcąc, by mężczyzna zobaczył moje ręce i zrozumiał, że już jest skończony.

Kiedy dotarliśmy do obozu, Amaru do mnie mruknął:

– Zaczynamy. Powodzenia. – Przyjął dumny wyraz twarzy i głośno powiedział: – Wysłannik Sapy Inki wymaga, aby wszyscy ludzie, którzy odwiedzają ten kraj, pokazali się i wystąpili naprzód, tak aby można było ich zobaczyć.

Przetłumaczyłem te słowa Loddingtonowi, a następnie dodałem:

– Wszyscy oczywiście mogą zachować broń; wiemy, że nie jesteś głupcem.

Marco wyszedł, niosąc muszkiet.

– Co się dzieje? – zapytał mnie.

Odezwałem się bezpośrednio do niego:

– Przedstawiciel Sapy Inki prosi, by wszystkie osoby były widoczne.

Marco zerknął na Loddingtona, który powiedział:

– Ustąp im, chłopcze. Przynoszą złoto w zamian za naszą szczepionkę.

Marco spojrzał na mnie, lecz, trzeba mu przyznać, nie okazał zaskoczenia. Zza drzew wychynęło około dwudziestu amerykańskich mężczyzn, wszyscy ciężko uzbrojeni, gotowi, by nas

zastrzelić. Amaru subtelnie uderzył kolanem swoją lamę, przez co zwierzę stanęło dęba i prychnęło.

– Jest ich więcej – rzekł spokojnie, co przetłumaczyłem.

– Lepiej, żebyś przyprowadził tu wszystkich – dodałem. – Lama wyczuwa obecność wielu ludzi, którzy pozostają w ukryciu.

Loddington zmarszczył brwi, po czym dał sygnał ręką. Pokazało się dziesięciu kolejnych amerykańskich mężczyzn. Bystry człowiek.

Marco jednak przejrzał nasze zamiary i zapytał:

– Johnie Fernando, czy mam przyprowadzić wszystkie...

– Nie! – wykrzyknął dyplomata. – To mój obóz. A teraz dobijmy targu.

– Nie jesteś z nami uczciwy – ocenił Amaru. – Czuję zapach dzieci tak wyraźnie, jak ta lama.

Słysząc te słowa, Amerykanin zbladł, a Marco pobiegł, by otworzyć kilka namiotów. Odsunął płótna, aby pokazać dzieci stłoczone ze sobą niczym zgromadzone razem kamyki i wpatrujące się w nas ogromnymi oczami.

Na ten widok szlachcic zmarszczył brwi.

– Kim są te dzieci?

– Pomagają mi ze szczepionką – odpowiedział gniewnie Loddington. – Należą do mnie.

Policzyłem naszych wojowników. Było ich prawie stu. Amaru miał dość wpływów, by dowodzić armią.

– Chodź tu, Marco – poprosiłem.

Chłopiec podszedł do mnie, chwyciłem jego ramiona pewnie niczym ojciec.

Wielmoża poruszył dłonią władczo, a ja zwróciłem się do Amerykanina:

– Sapa Inca zmienił zdanie. Pragnie nabyć twoje dzieci zamiast szczepionki. Ta sakiewka, którą przekazał ci wysłannik, zawiera więcej, niż wynosi kwota, jaką za nie zapłaciłeś. Te dzieci staną się teraz poddanymi Sapy Inki w Kraju Czterech Regionów.

– Ale... – zająknął się Loddington. – Ale... dlaczego?

– Słowo Sapy Inki jest prawem, a jego przedstawiciel tylko je egzekwuje. Nie podważamy jego decyzji i tego samego nie wolno czynić tobie.

– Ale one są moje!

– Te dzieci stały się wolne w chwili, gdy wkroczyły na nasze ziemie – oznajmiłem. – Wszelkie straty zostaną ci wynagrodzone w złocie. Kilka paciorków w zamian za kilkoro dzieci, wyraźnie zaniedbanych. Czy to cię nie satysfakcjonuje?

– Nigdy nie dostaniecie szczepionki – odparł dyplomata z twarzą czerwoną ze złości.

Widziałem, że pragnął wydać rozkaz ataku, ale nie ośmielił się w obliczu tylu uzbrojonych inkaskich wojowników.

Marco przekornie się odezwał:

– Już ją mają. Spójrz na ręce Lanchiego.

Uniosłem je. Amerykanin wpatrywał się w nie z niedowierzaniem. Obawiałem się, że może nakazać mnie zastrzelić, niezależnie od konsekwencji, lecz chłopak zaraz dodał:

– Dotychczas przeniósł szczepionkę na inne osoby, a one mogą zostać wykorzystane dalej. Najpewniej zresztą już zostały.

– Możesz opuścić ten kraj – powiedział Amaru. – Nasza transakcja dobiegła końca.

– Wy... Wy złodzieje! – wrzasnął Amerykanin. – Ukradliście coś, co należy do mnie!

– Próbowałeś sprzedać coś, co powinno należeć do wszystkich – odparłem. – Zabranie tego nie jest przestępstwem.

Loddington nagle zbladł. Podniósł broń i wycelował w Marca. Nim ktokolwiek zareagował, strzelił. Chłopak zatoczył się do tyłu i upadł przy lamie. Czterech inkaskich wojowników zastrzeliło mężczyznę na miejscu, lecz ja trzymałem chłopca i uciskałem na jego ramieniu ranę, z której lała się krew. Praktycznie nie zauważyłem upadku Amerykanina ani nie widziałem jego zszokowanych ludzi. Jesteśmy szczęściarzami, że nie strzelili w odwecie; być może także mieli wątpliwości co do sytuacji. Albo może tego dnia bogowie kierowali naszymi rękami. Nie potrafię tego stwierdzić ja ani nikt inny.

– Marco! – krzyknąłem.

– Nie... – Próbował nabrać powietrza. – Nie jest tak źle. Zawiąż ściśle ranę.

Zdarłem tunikę i tak zrobiłem. Och, wnuku, pękało mi serce – myślałem, że stracę chłopaka. Ścisnąłem jednak jego rękę swoją i rzekłem:

– Marco... bądź silny. Niech moja dłoń zatrzyma cię na tym świecie. Moja dłoń, którą naznaczyłeś błogosławieństwem... Zostań tutaj ze swym darem i ze mną.

Uśmiechnął się pomimo bólu, ja zaś pomyślałem, że ten chłopiec ma jeszcze wiele do zrobienia. Nie opuszczał tego świata... jeszcze nie.

I nie opuścił. Wiesz, kim został Marco.

A zatem, dziecię, oto twoja historia, którą opowiadam ci w twoje piętnaste urodziny, tak żebyś lepiej poznał siebie. Ponadto znasz dalszy ciąg opowieści o tym, jak Amerykanie stoczyli wojnę bez naszego finansowania i tak czy inaczej wywalczyli sobie wolność, choć wciąż doświadczają rozłamu w sprawie niewolnictwa w tak zwanym wolnym kraju. Chłopców, których uwolniliśmy spod władzy Loddingtona, adoptowało Imperium; bezdzietny Amaru i jego żona sami przygarnęli trzech, a mnie sowicie wynagrodzili. Z tych środków zbudowałem szkołę, tak aby wszystkie dzieci mogły do niej uczęszczać i się uczyć.

Marco osiedlił się w Kraju Czterech Regionów i został moim synem. Przyjął me nazwisko, a potem odbył podróż po morzach do obcych krajów jako wspaniały odkrywca Marco Ronpa. Twój ojciec rozpoczął przynoszący zyski handel, który teraz prowadzimy z Chinami, a w tym celu żeglował statkiem „Lanchi" przez ogromny ocean. Wszystko to krótko po poślubieniu mojej kochanej Chaski, pięknej, samodzielnej kobiety, która honorowo opuściła świątynię z powodu miłości. Odziedziczyłeś po ojcu urodę i głos, a do tego pobłogosławił cię dumną, hardą twarzą – twarzą, którą kocham tak mocno jak twarze moich dzieci, żony oraz własną, gdyż należysz do ludu Inków całą swoją duszą. Spodziewam się, że pewnego dnia na naszych szybszych, nowoczesnych statkach odkryjesz więcej niż twój ojciec i odwiedzisz ojczysty ląd swej babci w Afryce. Ten dzień jednakże na razie nie nadszedł, a ty, wnuku, musisz odnaleźć własne przeznaczenie.

Jeszcze jedno, dziecię – interesujące w kwestii Chin jest to, że zdążyły rozwiązać problem ospy dzięki technice zwanej wariolizacją*, której nauczyły się od mieszkańców Indii. Tyle że nasza szczepionka była bezpieczniejsza i skuteczniejsza, Marco zaś uważał, że ta technologia jest niezbędna, by Chiny mogły otworzyć się na handel. Ale to już inna historia, dziecię. Teraz idź spać, rano zaś musisz mi podać swoje nowe imię, które w Kraju Czterech Regionów uczyni cię mężczyzną.

www: https://vylarkaftan.com/
x (dawniej Twitter): @Vylar_Kaftan

* Wariolizacja (także wariolacja) – metoda wariolizacji rozwinęła się najprawdopodobniej w starożytnych Indiach lub Chinach. Polegała na kontrolowanej ekspozycji zdrowych osób na materiał zakaźny pobrany od chorych z łagodnym przebiegiem ospy prawdziwej. Wykorzystywano suszone, sproszkowane krosty, wyciąg ze strupów lub płyn z pęcherzy ospowych. Znane były dwie drogi podania: donosowa oraz poprzez skaryfikację. Celem było wywołanie choroby o możliwie lekkim przebiegu i spowodowanie wytworzenia odporności. Poddawani wariolizacji stanowili jednak zagrożenie dla otoczenia, bo mogli zarażać ospą prawdziwą. Ponadto część z nich umierała, chociaż śmiertelność była znacząco niższa niż podczas epidemii (przyp. tłum.).

Opowiadanie opracowali

Weryfikacja tłumaczenia: Joanna Gasińska
Redakcja: Aneta Marciniak
Kontrola redakcji: Magdalena Świerczek-Gryboś
Korekta: Beata Sagan-Szendzielorz, Justyna Mroczek-Żal, Magdalena Kłodowska, Ilona Żurawska
Weryfikacja: Barbara Uznańska-Loch, Patrycja Pancerz, Renata Rabczewska
Kontrola weryfikacji: Agata Graczyk
Kontrola przed składem: Dawid Wiktorski

Fantazmaty działają non-profit od 2017 roku. To nasza dwudziesta dziewiąta antologia. Blisko 150 osób wolontariacko poświęca swój czas, byśmy mogli działać skutecznie i profesjonalnie. Chcemy, by nasze książki nadal docierały do każdego czytelnika w formie bezpłatnych ebooków i audiobooków, a kolejne darmowe poradniki pisania pojawiały się na stronie WWW.

Wiesz, że ty też możesz mieć swój wkład w Fantazmaty?

Zostań naszym Patronem.

Wspierając projekt, pomożesz nam utrzymać stronę internetową i opłacić koszt serwera, dasz nam możliwość pojawiania się nie tylko na konwentach, ale też na targach książki. Dzięki tobie więcej osób będzie mogło dowiedzieć się o Fantazmatach, a przez to spełnić swoje marzenie o opublikowaniu tekstów, wydać swoją twórczość przy wsparciu zaangażowanych redaktorów i korektorów, sprawdzić się jako ilustrator, przyłączyć się do zaangażowanego zespołu, zdobywać wydawnicze doświadczenie oraz przeczytać książki takie jak ta.

Zajrzyj na patronite.pl/grupawydawniczafantazmaty lub na https://buycoffee.to/fantazmaty

Zapraszamy też na nasze social media i serwer Discorda!
https://www.facebook.com/fantazmaty,
https://www.instagram.com/grupa_wydawnicza_fantazmaty,
https://discord.gg/nuS68Ej5tc (Grupa Czytelnicza Fantazmaty).

Informacje o opowiadaniach | *Content warnings*

***Nieszczepiony*, APP Pekurinen:** science fiction | *cierpienie zwierząt, przemoc*

***Nieznane dzieło*, Paul van Leeuwenkamp:** urban fantasy | *morderstwo, przemoc, żałoba, depresja, śmierć*

>*RESTART SYSTEMU*, Novae Caelum: cyberpunk | *choroba, przemoc, śmierć, utrata tożsamości*

***W domu pogodnego seniora na końcu świata*, John P. Murphy:** fantasy, postapokalipsa | *śmierć, trupy, przemoc, starzenie się*

***Somadewa: Sutra Niebiańskiej Rzeki*, Vandana Singh:** science fiction, space opera | *samobójstwo, wojna, trucizna, utrata pamięci*

***Rozbójnicy*, Lord Dunsany:** dark fantasy | *egzekucja, śmierć, rozkład i bezczeszczenie zwłok, bluźnierstwo*

***Krewniacy elfów*, Lord Dunsany:** fantasy | *umieranie, samotność*

***Rekompensata*, Charles Victor Tench:** science fiction, kryminał | *morderstwo, samobójstwo, zemsta, trauma, klaustrofobia, depresja*

***Gość*, Lord Dunsany:** dark fantasy | *samobójstwo, śmierć, fatalizm, nihilizm*

***Upadek Babbulkund*, Lord Dunsany:** fantasy | *niewolnictwo, przemoc, morderstwo, fanatyzm religijny, ksenofobia*

***Człowiek, który poznał prawdę*, Algernon Blackwood:** weird fiction | *nihilizm, śmierć, umieranie, tematyka religijna, bluźnierstwo*

***Ciężar wschodzącego słońca*, Vylar Kaftan:** historia alternatywna | *choroby zakaźne, przemoc, niewolnictwo, rasizm, okrucieństwo wobec zwierząt*